887 n 4to

N. Inv. 2725.

Niewiasta polska
w trzech wiekach

Przemowa.

Przyszła na mnie pokusa, z którą nie wiem jak wyjdę na świecie: ona mnie gna ciągle ku drammatyzowaniu zdarzeń ojczystych; pędzi i zgina kolana przed każdym objawem cudu, woli, charakteru, które w Kronikach naszych rozlazły się szeroko, pognałwane nieraz — którym święcą nieraz symbola mistyczne przeżytej mocy, a żywej siły; dawności czynu — a świeżości skutku, którym wreszcie brak tylko dobrego opowiadania, aby dzisiejszemi były.

Spowiadam się z tej pokusy właśnie na dobie, bo ona dała początek trzem obrazom niewiast które tu umieszczam; bo ona zarysowała mi i szranki roboty i cel jej wskazała. Zaiste, gdybym był sobie założył napisanie powieści dla zajęcia i zabawy, bez szczególnej myśli, może ni takie rozmiary, ni taki wybór byłby mi przypadł do serca. By więc je odkląć i wytłumaczyć czem one chcą zagadać do czytelników, powiem ich pierwotwór.

W czytaniu Drammatów naszych, uderzała mnie ciągle jednota moralnej strony przedstawianych bohatérek niewieścich. Historja czynów, wiekowa różnica zdań, odcienia myśli porodzonej w jednym okresie, a kończącej w drugim, jeszcze się jako tako wybijały swém piętnem w charakterach męzkich; bo im w pomoc przychodziły imiona Chodkiewiczów, Sapiehów, Glinskich, Żółkiewskich, co jak drogoskazy historyczne, w sztuce przypominały mniej więcej czar przedstawianego wieku. Ale niewiasta, bohatérka drammy, wciąż wieczna, wciąż ta sama i językiem i uczuciami i czynem; matka, kochanka, żona, siostra, czy za Bolesławów czy za Zygmuntów czy za Sasów, wszędzie uczucia jej jednako wyrobione, czute jednako, jednako wydane. Więc historja jej serca, nie miałaby swych perjodów, jak historja czynów??— więc uczucia w niej nie miałyby cieni wiekowych?— więc w życiu prywatném, więc w schowaniu domowém, wiek następnemu wiekowi niby nie przysparzał, niby nie wyrabiał, niby nie dodał?— Niewiasta, ów wyraz prywatnego życia, owa przeciwniczka publicznego zawodu, owa tama publicznemu morzu, coby nas z objęć cywilizacii wyrwało, gdyby ona w okół nas nie opasywała świętym kręgiem krewieństwa, powinowactwa, miłowania siedziby i domu, miałażby być bez dziejów, bez swych własnych dziejów, i jej czyny a myśli w kształt lub na przekor czynom męzkim-by rość nie miały?

Przystałyby do tryumfu komnatnego podbicia serc naszych bez walki, bez trudów, bez chwytania co wieku myśli wrabianych w świecie, bez postępu w nim? — Gra jej miałażby zawsze być tylko dla naszych uciech, roskoszy, a nie dla porządku społeczeńskiego, nie dla powszechnego życia narodów? A choćby i tak; toż sposoby w jej walce byłyżby co wieku jedne i te same? — Przebóg! toć przecie leży linija przedziału między matronami prapradziadów naszych, a naszemi matkami, jak między matką a dzisiejszą kapryśną, spazmową kochanką naszą. Czyż klasztorniczne schowanie dyszące jeszcze do Zygmuntów czasu, podobne mogły rodzić w nich myśli, jak edukacia salonów lub nauczycieli paryskich? — Kochać i czuć nie można bez zachcenia, a jednakież zachcenie będzie w osobie czytającej na Biblii, lub czytającej romanse? Czyż przeznaczenie niewiast w dawnych wiekach, nie miało nigdy innej myśli Stworzyciela, nad myśl która w obecnym ~~porządku~~ okresie życia narodów zajmuje? Wszystko walczy, postępuje, ma cel, dokonali się, wzrasta; wpływa do ogólnych mas życia, a jedna niewiasta jak machina umizgów i pohermu, w pierwszem słowie wieków, w pierwszem poczęciu się historyi stanąć-że by miała jednym skokiem, od razu, na pierwszym i ostatnim szczeblu przeznaczenia swego?. Dawna rubaszność, to znów późniejsze strzesanie męża, czyż z samej jego wyszła ~~natury~~ przyrody lub ocierania się z sobą, — czy więcej winnimy ją powolnemu ugłaskiwaniu miękkich rączek niewieścich? —

O! u mnie zawsze w myśli stawały dwa obrazy przeciwieństwa; dwa wyrazy rzucone w całej naturze, co są może zagadką powszechnej walki, którą całość światowa żyje: — mąż i niewiasta — siła i oddziaływanie. Moc co gnie, moc co się dając giąć, opasuje wraz obłączystością swoją siłę gnącą, i wciela ją w siebie. Może tym sposobem wciela się ziarnko w ziemię — granit w skałę — wola w czyn — boskość w ogół życia! — Może tym kształtem idzie ruch życia natury, jak ruch życia stapającego społeczeństwa, — a w niem niewiasta ujęta szamocącego się męża w pieściwe swe dłonie, i póty ku sobie i ku czuciom w których się rozmiłowała, nagina go i ciągnie, póki on z publicznego życia nie poślubował jej domowe, póki nie wydarła choć cząstki serca dla siebie, co dawniej li dla ogółu biło, póki mu nie wynalazła stanu w stanie; stanu osobistego domowego w stanie ogólnym społeczeńskim. Jak matka pszczół, wyrobiła ludzi na rój, — i już teraz ino historyk-filozof — by naturalista jaki, zdoła się wybić ze swego roju i wznieść do idei, całej, rodzajowej.

Aleź ta walka niewiasty z życiem publicznem, to nie jednodniowe, ani jednowiekowe dzieje!! — Od porwania Sabinek latają niewiast ręce między mieczami bijących się mężów i braci. W feodalnych czasach już biorą krok nad ludźmi, dotąd panami ich, i czarują oczyma swemi kochanków, rycerzy. Mąż z walki o ideje przechodzi

w walkę, o niewiasty!. Niezabawem kobieta ścieśni krańce swego władztwa, aby wypadki więcej zależały od jej siły. Amazonkami zaprobuje, czy mieczem nie utrzymałaby wyższości nad mężami. Amazonki przepadną, nawet oręż z rąk ich wyparty historja nie uczci słusznem wspomnieniem, — ino śmiechem — Niewiasta poczuje, że straci na walkach w polu otwartem. A więc ima walkę komnatną, na stopniach tronu, w dworach, w zamkach. — I w jej dziejach rośnie nowa figura, widka, ogólna na świat wyzwanie — To faworyta — to pierwszy uroczysty szczebel góry niewieściej nad życiem publicznem; to krok od Sabinek do pani Mętenąg; a od niej, jakże maluczeje opór mężów; kiedyś niekiedyś bohatér jaki, rzuci całą wysokością barków i ujmie za życie społeczne aby go wskrzesić, podżegnąć, obudzić. Posypią się ognie rewolucyjnych pożarów, popłynie krew, ale daremnie; bo człowieczeństwa rzeka przedzierzgniona w domową rzekę, wraca w objęcia prywatnego życia pieścić się, kochać, domować.

Owoż dzieje serca i walki niewieściej z mężem — ogółem, — owoż siła gięta, a gnąca. I jakże chcecie by w takiej szermierce postać i kształt walczącej, usposobienia jej moralne i wnętrzne były zawsze też same i jednakie? I jakże malujecie, gdy wam kolorytem nie cieniowane historją jej serce, nie różnica wiekowa uczuć, nie różnica walki, — ino wiecznie wzdychająca pierś krągła lub niebieskie oko? — I jakże myślicie? czyż dosyć waszej łatki, by nagiąć cały bijący trysk ludzkości w swe łono, aby ku niemu wzdychał i zwrócił się od koleby — publicznego zawodu? — Czyż krzyk Sabinek, a szarfa rzucona rycerzowi z krużganku, — a podwiązka opadła na dworskiej posadce, — w jednych i tych samych usposobieniach podejmowały walkę z przeważnym nieprzyjacielem? Czyż jednakie pieszczoty przystałyby Kazimierzowskiej Esterce, a Lubarsce Marynie? Jednakim-że wyrazem i o jednakiej miłości mogłyby obie spowiadać się kochankom?

Badajmy i nasz język, czy w nim nie najdą się cienie, doskonalenia się uczucia, które my zowiem miłością!. W pierwotach, prędzej była chęcią, nim się na lubowanie scieniowała, nim z lubości przeszła w szał — w namiętność.

Chuć, chęć dysząca fizyczności, zachceniem —

Lubość, kędy już świta moralny pociąg w zachceniu, — związek, — harmonija, i Apoteozis, szał, namiętność, kochanie, kędy człek szaleje, tumani, i przypada w kolana, jak bóstwu niżąc się niewieście.

W tym przerobie jednego uczucia, jedna-że tylko strona mężczyzn się przerabia? w niegoż jednego mięknie pojęcie lubości? i skąd-że? jeżeli je przedmiot uczuciowy nie wywołuje sam? ———

Lecz skończmy dowodzić to, co jest jasném; skończmy dowodzić, że serca niewiast miało i ma osobną historyę; że uczucia klują się, rosną, doskonalą i kwitną. Powinniśmy nawet ogół – niewiastę, byśmy szczegół – Polkę wzięli: i powiedzmy, jak ona w dramatach i powieściach naszych stać winna.

Jeżeli, jak dotąd wprowadzenie jéj na scenę dramy czy powieści będzie tylko epizodyczne, dla podłatania dziejowych czynów jakiemś zajęciem człowieczém; jeżeli miasto nici wiążącej i poruszającej przedstawiane działanie mamy tylko używać niewiast i jéj uczuć, to warto lepiéj wrócić do fatum starożytności lub scholastycznego ostracyzmu niewiast ze sceny; bać wspaniaiéj aby po woli grzmotowładnego Jowisza, jak Niemkini Rypsy, ginęła Ludgarda.

Ale gdy prawdy lica mają zajaśnieć w widowni opowiadań i przedstawień, gdy kobiéta wywołana w szranki pewnego czasu ma nam odegrać swój wpływ, swój przekor i swój udział w wypadkach; to precz odrzućmy ideał jeden i ten samy, co się kończy i zaczyna na tém „aby była gładka i kochana„ a ubierzmy ją w prawdziwe rysy jéj doby.

Żona pół-bałwochwalczego Lacha niech ma chuć, niech ma wrzask, niech ma serce jeno-co nagabywane początkowaniem chrześcijańskiego wstydu, daleko jéj jeszcze do wewnętrznych walk z sobą; czyn u niéj bliższy zachcenia, chuć u niéj pierwsza jak niebo, bo i w jéj niebie jeszcze chuci obrazy. Pieszczoty jéj do męża rwą się nie wywołane lecz wywołujące, niestrzeżone, nieobaczne; tryumfem jéj skradziona chwila od konia i walki. Ona błędów nie zna, ino zbrodnię. – Pierś jéj nie wzdycha, ale piszczy jak źrebiec w stajanu. A dusza ma wprawdzie widzenia miłośne; ale w nich siedziba ciemnych rojeń bałwochwalczych, w nich marzy o zaklęciach, czarach, ziołach, jakiemiby męża znaczyć ku sobie. –

W okresie rozrostu europejskiego chrystjanizmu i Lach pobożnieje, już go od pola i bijatyk kościół jak dom trzymać siłuje. Krojem zakonnym poczyna chodzić, poczyna myśléć i mówić polska białogłowa. Oczy swe i czoło co przed ołtarzem nauczyła niżyć, to teraz chcąc uczcić męża, nawstydliwia je przed nim i korzy. W ustach jéj „mąż i pan„. W pieszczotach oględna, baczna, niezwołana nie rzuci mu się w ramiona. Chuć słabnie, lubości jeszcze nie ma; ale w myślach zatęsknienie większe, w boleści płacz, w samotnéj siedzibie mejaki. – I Lach przysiadnje trocha, gęściéj powalczy z wil

z wilkiem niż z Walezym, a w polu poczyna dumać o domie. Aż dalej wpływ obczyzny więcej wyrobem uczuć spieszczonej, leje się do Polski dworem zagranicznych królowych, co z naszymi królami się pościelają. Zamorskie zbytki, niemieckie Elżbietów i Annów Austryjaczek powagi etykiety, włoskie Bońskie rozpusty, dalej kawalerskie francuzików umizgi kołacą, w zakonne schowanie dziewy polskiej i porażą światowemi zaloty. Już serce śni, oko wybiera, dusza przemyśliwa, przeczuwa, kojarzy się z urobionym sobie wzorkiem na małżonka.

Aż wreszcie Polka poczyna rozumieć walkę ogółu – niewiasty z publicznem życiem, wiąże się z postępowemi natarciami kobiet innych krajów, i rosną władczynie, faworyty – Urszule – Maryny – Zuzanny –, i masz nieraz tajemnicę publicznego wypadku zasnowaną w alkowie kochanki. Ta dusza, oko i język przemawiają dopiero w polskiej niewieście śpiewniejszem roztkliwieniem, cieniowaniemi krakami żądzy i skromności, lubowania i namiętności. Tu choć żadna lub przelotna chyba jaka szczególność gdzie wyśliźnie; ale prawdziwe panowanie lubości co o ciele i duszy myśli, co ma już kraj namiętny, a przecie jeszcze szałem XIX wiekowym nie jest. Od nich krok do Markizy Poniatowskiego Króla. –

Ten trójwzgląd postępu uczuć niewieścich stworzył moje, 1. Krwawy Chrzest – 2. Barbarę jeszcze Gasztołdowę Żonę i 3. Posiedzenie Bacciarelego.

A właściwie te pomysły z historyi kobiet rzuciłem sobie na papier jak szkic, jak punkt oparcia się w różnicach, gdy mi przyjdzie dramatyzując narysuję którą z tych epok. Powoli te szkice jęły się wypełniać, wyraźniejszą przybierać formę i żywiej mi przemawiać. Do onych dowolnych odstępów między Bolesławem Śmiałym, a Zygmuntem Augustem, i od niego do Stanisława Króla, poprzyczepiały się w umyśle moim przechodowe odcienia i cała wielka historja kobiecego postępu w uczuciowem życiu poczęła mi się ludnić. Alem ją zaniechał na teraz; bo zawodem moim nie była pierwiastkowo ta praca, ino jak powiedziałem skreślenie sobie szranków, w którychbym się szrańcował, gdy mi przyjdzie w dramatach czepiać się jakiego charakteru niewiasty.

Dla tego przedaję tę pracę za to czem jest, za szkice może ciekawe pod względem sztuki, ale nie obaczne i ostre pod względem zajęcia romansowych czytelników,

chyba że chcą bydź więcej zgłębiającymi jak zabawionymi.

Nie bez celu zacząłem ja powieścią, kędy zazdrość mężów przyciąga ich w łono domu z dalekich obiegów na Ruś — (Chwile niewieście). Kto wie może to historyczne zjawisko uczyniło później nasz naród nie tak pokwapnym w bieganiu na cudzą ziemię? — Stratą zdrowia, jego się wartość poznaje; stratą domowego szczęścia, może poczęli więcej domownemi być te Lachy.

W drammie Barbary chciałem dać obraz łamania się pierwszego typu narodowej białogłowy z napływowemi włoskiemi uczuciami; — jeżeli się tam zakonne schowanie dziewicy pręży w potoku bijących nań nowych myśli lubowania, jeżeli wahanie jej ostrego wstydu łamie zwłoszczona pierś Augusta, jeżeli w tej samej piersi młodzieńczej tętni coś chropawego lackiego ducha — tom wygrał, tom oddał drammę jaką chciałem napisać, dramat nie czynów ale uczucia, drammat dziewicy polskiej kończącej z odrębnem swém życiem. Mogłem w niej zbłądzić chronologicznie, zachowaniem dłużej przy życiu Gasztolda Trok wojewodę — a bardziej zawczesnem oświadczeniem się Zygmunta z myślą o Barbarze. Ale nie tak dobitnie przemówiłby do nas skok Barbary z jednego życia umysłowego w drugie, i odcień surowa męża Gasztolda nie dość żywo zcieniowałaby zwłoszczony Zygmunta charakter, gdyby była nam nie żyjąca figura ino wdowiem wspomnieniem.

Ostatnie, Markiza i Pani Krakowska, to już polityczne intrygantki, to już życie publiczne przywołane przed kratki salonu. Lecz i tu jakże wielka przemiana wije się w tym okresie uczuć kobiecych! Jaka różnica niewiasty elekcyjnego kraju z niewiastą Francii? Luli i Pani Grabowska, to nie proste rywalki o kęs miłości; to rywalki wychowaniem, rywalki środkami, językiem i ułożeniem. Dworczość południa pochodzona światłością Sarmatki, — rubaszność Polki podchwycona w samej chwili tryumfu wybiegiem sztuki nadsekwańskich zalotów, a piłką ich gry, Król, — a ramami, dyszące krwią wstrząśnienie kraju.

Czy-m dosiągł co-m zamyślał, i czy-m dobrze zamyślał? to już nie do mnie, ale do krytyka, a o takich gorąco modlę; bo sprawa sztuki, bo sprawa idei niewieściego wpływu i oddania jej w drammatach i powieściach warta roztrząsań, — chociażby do nich mierność mojego płodu sama z siebie nie dawała powodu. ——— . ———

Pisałem w Załuczu.

1.

Krwawy Chrzest.

Rok 1074.

Na piaskach niespytanych jeszcze o imię, siedziało ze dwadzieścia dworców; jedne się zawlekły jak żaby ku wodzie, drugie tuż przy nich, ale wyniosłéj jako trzcina wodna, a trzecie podskakiwały bokami ku lasowi i jak grzyby nizko przycupnęły do ziemi.

Te co przy wodzie, wyciągają długie szyje, jakby drzewem chciały naśladować płynienie rzeki, ale im wkrótce urywa się szyja, strzecha spadzisto ze szczytu na kark leci, tłoczy ku ziemi, ostro je kończy; — a co dwadzieścia stąpań masz taki dworzec, takim kształtem, tak drugiemu do miary, jak drugi pierwszemu. A to są ślacheckie wspólne komory — zabudy —.

A wspak tym dworcom o kilka stajań koni inne co siedzą pod lasem, to mają czoło, w pole kołami dębowemi zabite, w górę nie spojrzéj nad głowę człowieka, oba boki zataczają ku sobie w stronę lasu, a od tamtéj strony otworzyste, ścianą im żyjące drzewa, które im dach trzęsą z liści zielonych. Dosyć i tego, bo tam konie mieszczą, a owi co z nich zsiędą, jeżeli przedniejsi, to idą do owych trzecich dworców, u których strzecha wyżéj nad inne w szpilkę wyłazi; u których oczy wydłubione w ścienie, niby żywe mają zsuwane powieki z zewnętrza. Budowa ich prosta, lecz w owe czasy już wybrydniejsza nad wspólne zabudy. Coś i zbytku tam widać, lubo ten zbytek jeszcze w drzewie, jeszcze w zaciosaniach majstra, lub w dobiorze mchu ku szpar lepieniu. Boki tych dworców cztéry i słupów w bok jeden cztéry, a do nich w kształt ziober kładziono dwoje inakich; z jednego rogu od stóp słupca pochyło sadzi się jeden, na przekor mu z drugiego słupca kuleje drugi, oba ściskają się we środku, brzuchami stojów wadząc się o siebie — po zwadzie jeden górnym końcem leci z pochyła ku strzesze, a drugi drugim nierównie, sękowato; a nieraz tak się zgarbią jakby się oglądały za siebie, przecież idą w górę i tam trzymają bale strzechowe. Zewnątrz tego układu niewidno, bo dębowe koły w rząd kładziono; ale wewnątrz dworca świecą te sploty całe zdobne korą od natury utkaną w ściegi, na niéj bitwa miąższości drzewa z łykiem młodocianém wypisała się rozrywaniem taśmy lub sękiem, a jako walka pozostawiała po sobie szramy. Jednakowość owego wnętrza przerywa brzoza białą swą bielizną, w którą się ubrała do lasu; lecz za to na nią jedną czterdzieści dębów rozdziawia porąbane konary, niemi w szerz i wzdłuż cisnąc zaplątaną w ścienę płaczkę borową; ona ich jednak przedzierżgnie i krzyż biały na ścianie ułoży, pod nią to staje ława dębowa, na niéj przysiędzie Żupanowa żona zwoławszy ku sobie stolik czworonogi, dobrze mokrym piaskiem wyczesany. Tak siedząc, ma wprost siebie dwa łoża

drewniane, flamskiem płótnem skryte, bieluchno zawdy ku nocy i we dnie ubrane, jak owa w krzyż brzoza; z pod płótna wyśliznie czasem zielony mech, pierzczona pościołka swej pani. — Tak siedząc Supanowa żona, ma bokiem odrzwie do sieni kołkiem krzywym zaśpilone, a ów kołek siedzi w dziurze drzwi, na wskróś jednym końcem patrzy w sień, skrzywionem ramieniem trzyma odrzwie komnaty; wżeniesz go za końce od sieni, to ramię krzywe podskoczy w górę z klepki na której spało — dygotnie, przepuści cię do komnaty i uśnie znowu na klepce w której już sobie siodło wyrobił.

A tak siedząc Supanowa żona, kiedy podłuży okiem w oko dworca, widzi przed się płynącą Białą-Wodę (a), dalej goniące się drzewa w lesie, z pod nich brzuchate stajanie koni, zkosem dymiące przywodne bude szlacheckie, a ona to wszystko dobrze widzieć może, bo jej komnata siedzi jak purchawka nad ziemią, pod nią jak pod parasolem purchawki, piwniczne mieszkanie, gdzie siedzi albo szczur domowy, albo Węgier dworcowy, albo piwo co w cztery sądziny scedzone, cztery rogi stołu obstawi.

I takim krojem siedziała Swatochna, Supanowa żona, w komnacie swej, a Pan jej mąż, Owada — miał fórtę złotą o dwoje drzwi, na niej korona — to był jego znak. Po chrzcie zwał się Jan, po mieczu Owada. Po domu nosił giermak szary (b) — po polu bechter z mieczem u biader, a miał biodra szerokie i miecz szeroki, nogi krępkie i tabuna krępkiego, o ręku nie wiem ale wiedzą Węgrowie. Dworzec ten stawiał sam, bo ojciec mu, jeszcze się lasem odziewał, kiedy chciał spać; a matka go łykiem wiązała na noc do konia, kiedy koń spasać miał. Tak się kolebał Owada Jan. Ojcowi jego Węgrowie nie dali długo żyć, syn przeto gdy dworzec budować miał, czworo tych Węgrów zwiózł na kulbace każdego sam teb- i we cztery rogi posadził ich w ziemię, by mocniej dworzec stał; piątego chłopięciem zasadził żywego w ciemnicy pod dwór, i jeść mu dał i pić mu dał, i żyć tak bez widna już lat ze trzydzieście popuścił, krzyżem go ino świętym i wodą święconą na ten skład podziemny żegnał — a on co siedział tam, słuchem miał rachować stąpania Pana swego i słuchem ino uczyć się o chodzeniu.

A nie sam jeden, co tak dzielnym był Owada Supan. W podle mu urobił także dworzec Mikołaj Wścieklic — ten znakiem Bończe miał: a za niemi tuż trzeci, równy Supan im Porczyk, ze znakiem Byka wiódł. A tak Supańskie dworce jako pierścienie węża między swej szlachty dworcami pyrzą się i strzegą. —

Od wścieklickiej bramy, sadzi białogłowa, mimo dworca Owady — weszła w sień, kołek na klepce dygotnął. Zbudził oczy Owadowej żony, zbudził jaskółkę modlącą się nad okiem

dworca, przez drzwi wleciał wiatr, bajarz leśny, a za nim weszła Helżbieta Mikołaja Bończy żona. —

Od Porzyckiej bramy sadzi białogłowa, pierzcha dworzec Bończy bokiem, mimo dworca Owady, — weszła w sień — kołek na klepce dygotnął, zbudził oczy obu żon Żupanowych, zbudził jaskółkę modlącą się nad oknem dworca, odrzwiami wleciał wiatr, bajarz leśny, a za nim Helgunda Porczyka żona.

Okoliły się ramionami siadając na ławie, i pojrzały sobie w twarz, poczem rękawy fałdziste zleciały im aże do kolan, upięcia ich głów odtarły się od siebie, brzeżone taśmy zwiły na czoła, i trzy przepaśnice ich troich Adamaszkowych stanów, między piersią a łonem zaciśnione wróciły w karb, i tak zasiadły Żupanowe żony, hoża Swatochna, krasna Helżbieta, krzepka Helgunda. Poczęły szyć, jedna w kwiaty flamskie płótna — druga jęła kądziel swego lnu, trzecia czechoł swój: a brody ich przy takowej robocie zaścibiły się w załóżkę, bramowaną bogato w złota kompankę, i ino troje oczu, siwe, czarne i modre latało w okół stołu by orzeszne wewiórki. A gdybyś spatrzył ich przez okno dworca, a miał w sobie ducha naszych ojców stawiań coś, to tak siedzącym za stołem, w szare zagubionym porotki, przyswiadbyś cielca i cielicę, barana a owcę, kozła i kozę, kura i kurzycę, a kijem bijąc te ofiary, wołałbyś: — „To wam ziemniaki, Bogi nam„. — (c.)

A nie pierwszy-to dzień jak siedziały z sobą Żupanowe żony same bez mężów. Nie pierwszy-to rok, ale siódmy, jak Owada Jan, Bończa Mikołaj, Porczyk Byk, kopnęli się z dworców na przełaj na Ruski lud: boć im Bolesław Król ostrogą był. Pogonił za śniegami na zamróz, a leciał daleko jak zapadał śnieg. Śniegowi lecieć daleko, bo ma skrzydła srzałki, Bolesławowi gonić z nim, bo ma skrzydła Husarskie. Śnieg padł aże pod Kijów, Król spadł aże na Kijów, i tarabani mieczem u bram, a z nim Żupani i Lachy. A lecieli nakształt jednego konia — Bolesław Król by głową był — w Grzywie, Bończa Mikołaj, Porczyk Byk, Owada Jan, szumieli skrzydły, drgali mieczami jak u grzywy sołos, w ogonie zaś wielkiego konia zajazdu, szlachetne hufy Lackiej krwi, ów z prawa, ów z lewa, ów bokiem, ów w czoło, bieżali w Kijowski mur; i tak się kończył lacki ów koń, którego głową Bolesław Król był; — a jak z kopyta sadzi się kurz, tako za niemi pył ruskiej krwi. —

Dawno-to było! —

Białogłowom nuda, choć ich mężowie nie przyczyli do boków swoich, bo oni jeszcze więcej siodło chowali niż żony swe; aleć i chwila skradziona od konia milsza im była, i dwułożne sypianie za szerokie im teraz bez Panów w Dworcu; a przez siedmioro lat tak się roz-

rozprzestrzeniło, że białogłowom nie wyleżeć do rana, tyle tam nakładli myśli i rozmów na drugie tosz. A na początku myślały o tem wiele przez lat dwa, schodziły się ku sobie, ale o tem nie gadały — a po czterech latach myślały więcej, schodziły się ku sobie i poczęły gwarzyć — a po sześciu leciech myślały z odkazowaniem na mężów, schodziły się — i otoć są u Owada żony.

Najśmielsza też między niemi Owadowa żona, bo krewka i młoda, bo wszakiem ino przed owem bieganiem na Ruś została niewiastą w zawitce. Szyjąc tedy czecheł swój, oczyma gęsto na podłogę zbiegła i tam jej oczy jakoby w Białej Wodzie tonęły. Oj czemu tak? Bo te modre oczy kiedy sama była, już dosyć a dosyć nalatały się w komorze, z tosz na wiązanie ściany, ze ścian na brzozę w krzyż, z krzyża na fórtę złotą o dwoje drzwi, a wszystko to jej Pana Owady; o nim gadała; a serce jej piszczy jako źrebiec w stajaniu. Zrachowała szpary w dębowej podłodze, fałowanie łyka brzozowego na sękach, Jana nie ma, a serce jej piszczy jak mokra gałąź w ogniu. Nastała się okiem w oku dworca, że mało nie przyrosła tam. Na zielonym boru chciała już białych nici zimowych; — doczekała nici, to chciała by słoko z nieba przylepiło zielone zawitki drzewu na głowę; i drzewo się zawiło zielono, a Pana niza nie ma. Czemu tak? bo Owada Jan wziął z sobą słońce swe, Bolesława Króla: dopóki on świecił na ruskiej ziemicy, Owadzie nie ma zimy, wiosny; nie ma żony, dworca, śnigu, liści. Owadę grzeje kord, Owadzie śmieje się koń, Owadzie każda godzina wryta jak słup jak wioskę spali, to przejdzie dzień; jak wroga zwali, to minie godzina. Jak krzyknie król, to rok wybija. A kiedy w końcu rohatyna ruska zwadzi mu bok i krew wypije, to mu tam wreszcie porachują bracia, po bitwach, po wiorskach, po bliznach na piersi, wiele żył lat.

Więc Swatochnie oczy tonęły w podłogę i coś tam zawidziała, schyliła głowę niżej i usłyszała głos z ziemi głęboko, z ciemnicy. To ruszył kajdanami Węgier, jeniec. Szparko pobiegła oczyma do ócz Helżbiety, jusz i Helgunda sprzęgła z niemi swe siwe gałki. Wszystko troje posłyszały węgrowy ruch; ale jedna Swatochna podjęła myśl z tego ruchu, myśl bezbożną, w której Węgier czy Owada, jeniec czy Pan, wszystko jej jedno było, byle był ktoś coby jej rojenie zgadł, coby na drugiem łożu spał. I słowem zbudziła myśl taką samą w obu Supanowych żonach: „Węgier by mąż" — Ta chęć tak łacno smęła im w głowy, jak chłopięciu ujrzeć źrebca i wyciągnąć k'niemu dłoń. Zamilkli przez mgnienie oczu, a każda z ich twarzy przemówiły tą myślą. — Helżbiety się czoło zwadziło z łwiami marszczkią, jak woda kiedy na niej łabędź. U Helgundy siwki oczy zapatrzały w krzyż dwóch szabli; a u tej co pierwsza słowo

nie z Bogiem wyrzekła, czerwieniec wybrnął na lica zapuchły, odęty, jakby po nim róża bydź miała. Ten sprośny głos urodził się bez koleby, a oto trzy matrony już podawały łono swe za kolebę mu; a dopust boży tak ich sprzęgał ku tej pokusie, tak gnał ich chęci i ogniem tlił, że każda czuła ile jej żyłek drga, ile tam wrzło krwi, bo każdą kropla ciarką szła aż do pięt.

A u Supanowych żon jeszcze nie było pytać o moc Religii, walczącą w przekor złemu całą siłą przyszłości zbawienia, piekła i kar; maluczkie wyobrażenie ich bożków, Poświstóne, Pasturków, Poklus, jeszcze zawadzały na wpół widkiej Jezusa Chrystusa figurze; a choć już w drewnianym obszernym kościele za dzwonkiem do Chrześcian schodziły kaplicy, to przecież wracając z pacierzy do dworców w browém zadrzewiu słowyczał im Prsschajta, bóg, i każdy głos który do nich natura posłała, ich babek językiem grzmiał. Dla tego myśl Swatochny nie miała hamulca, bo całą ich wiarą dotąd był strach; a strach ten daleko odbieżał z mężami aże w Kijowie.

Jak na wrzeciono len, jak igła w czechel, tak pomysł Swatochny dzierżgnął im w głowę i łubo, zaczepnie tkał wszystkie obrazy sprośnego czynu; i tak się roiła jakby myśl czynem była. — Splecione, to rozrzucone ramie; zacięte, to wyskakujące za wąsem usta; oczy szkłem, oczy w słup; podchwytywany oddech, to całą piersią rzucon, aż gęgnął w drugiém gardle tego, co męża grał. Włos olenderska nić, włos sznur w inną spleciony pierś; przepaśnica zemknięta aż po-za biodra, założka aż po-za piersi; zawitka po-za czoło i po-za czoło wstyd. — Hej! na Ops Supanowe żony. Owada Jan na śniegu, Owadowa żona w pościeli; nuże w tany. — I u niej nie ma dnia, i u niej nie ma lat, odszukała swe słońce, Węgier słońce; póki nie zmruży ocz, to jej dzień; póki nie skusi ust, jej godzina; póki nie krzyknie mąż, to jej rok. Supanowa żona nie ma żałoby inszą, iże tyle lat sypiała wązko w łożu, gdy było do tyla miesce.

Nie pada płatek śniegu sam, ale tuż za nim dwa i drugie dwa, aże się wiąże duży kłąb; im dalej polecą, tém więcej ułowią, tém narzutna sporzéj, tém rozdmuchną szerzéj; a każda ma taki dworzec, a w każdym dworcu to Węgrzyn jeniec, to pachole Lach. Drzazga jest, iskra jest, płomień będzie. A jako z ich głowy wyjrzała jedna myśl zła, tak teraz wygląda i druga i rzecze Helgundy głosem: „Jeżelić już z mężów wpołu kość, to nie „wróci kość; a gdy Bóg nie da tak, wracając utną w kopyta; kopyt można podsłuchać, toże często „flamskiem obrócić płótnem, a jeńca zamknąć na wiek; — i będzie cicho.”

Do dworców swych rozbiegły się matrony — przed deszczem rój —, ale nie z miodem do dworców; bo każda niosła w ustach krzyk, ta Węgra, ta Lacha wołając. To już nie za mężem Panem żałoba, to już nie przy ścienie samotny płacz, to już nie przy wieczorni pacierz; ale to niedźwiedzicy ryk kiedy bartnika kusi.

Podwieczor był; smolna drzazga w rogu komory zatknięta krzekoczy jak w bagnie
czoło żab, bo jednym końcem trzyma się dębowej ściany, a drugim końcem ciągnie ją i pożera
płomień; a drzewo uciągnąć się nie da, harde jak Łacha szyja, ino skowyczy i wierzga węglem
to tam, to sam. Wszystko w komorze blaskiem łuczywa czerwono świeci, Swatochny zaś cień
rzucon w podłogę łamie się we dwa, a na każdym sęku lub kołku łukiem obiega cień, a na każ
dej ścianie brzeży się w tyle pasów, ile ściana brzeżyn ma. A gęsto po ścianach i po podłodz
przerzuca się Swatochny cień, boć idąc i wracając ode drzwi do rogów komnaty, nie mało razy
przed drzazgą zodmieniała swój bok. Milczy Żupanowa żona, czeka jak kura jagieł, a tym
czarem idąc mimo okna, zasuwa mu drewnianą powiekę; a tak nie bywało dawniej i często
zalatywał tamtędy księżyc do komnat; to popatrzył Swatochnie w twarz i obłał srebrną, sko
potém sunął się do brzozy w ścienie, rozumiał że to druga Swatochna biała z rozkrzyżowaną
ręką do modły; nawet zdało się mu że słyszy białej brzoży głos, bo nie zajrzał za nią, świer
szcza co się modlił co wieczor krzykiem. Zachrobotały drzwi i wpuściły za siebie obca, im pe
stać; był to wprowadzon jeniec z ciemnicy; a jako olśnął pierwszy raz widokiem światła,
tak ręce skrzyżował na oczy swe, że między włosami głowy i brody było ino rąk dwoje, bi
łuchnych jako skręcony na nici len. Nie trudno mu było białe ręce mieć; myła je lat trze
dzieści wilgoć piwnicy, kryła je przed upałem podłoga z dębu i nie zgrubiała mu skóra,
boć od lat tak wielu wciąż ino przerzucał piasek modry z jednej w drugą pięść; a teraz opuścił
ręce w dół i takież białe lica zasiały komorę, a w licu dwoje oczu szare jak kocie patrza
ły, a na nic tak jak na palącą drzazgę. Swatochny nie ujrzał i łoża nie ujrzał białego, ni
w głowie mu to; — ale on pierwszy raz zdawna ujrzał gorejącego coś, — tak małym uwięzion
że o tém zapomniał; a owo palące, czerwone, migotne kręci mu oczy, piszczy: on czarem
tak piszczał gdy strawy chciał. A drzazga tli się i rzuca węglem; węgiel czerwony skoczy ku
niemu, on uskoknie; węgiel przygaśnie, on się rzuci nań; czarności się nie bał, czarność znał,
bo w niej siedział ze trzydzieści lat. I takie się dziwy odbywały w dworcu Orwady Jana; Ja
nowa żona dzierżgała po węgrzynie okiem z rogu komnaty, to w ręce białe któremi twarz
schował, to w lica które za ogniem biegały, potém i w miękką brodę która schował włos.
Swatochna całą jego kibić ujęła w oko; a jako on smolną drzazgą, ona bawiła się nim.
On się zaśmieje do drzazgi, ona do niego; on się odrzuci od węgla co w podłogę spryszczył
ona od niego; on wyciągnie dwoje rąk ku łuczywu, ona podbiegła ku niemu i poddała
mu dwoje swych rąk. Zadumał jeniec, zlękł się jak zwierz i ścisnął swe ręce k' siebie,
niedźwiedzim ruchem tył opart w odrzwie, przód pazurami nasterczył i pojrzał pierwszy

raz na Panią swą. I pilnie patrzy Swatochnie w twarz, a sam miał twarz jak dziwo; bo pewno jak siedział w zamknięciu z trzydzieści lat, a przecie maluczka jego młodość siedzi mu w licu, rzekłbyś: nie dawno od piersi on. Prócz ciekawości nie mówiło okiem jego nic; ale i pełne czucie to usiadło na niej z góry tak, jako na siodło Lach. Dla niej ostrogą dwoje Węgra ocz; Węgrowi Swatochna koniem, Węgrowi ciekawość strzemieniem. W to strzemie wrzucił już oko; jak zmaca grzywę dłoń, jak dłoń zaczuje sierść, to Węgier rozrucha się, to Węgier poleci w cwał, jak Mieszko po postrzyżynach zawidzi w Swatochny świat.

A w tém zbiegł z-za klepki kotek, odrzwie krzykły i wbiegło do komory chłopię Lach; Helgundy posłaniek, Helgundy bratanek, z dworca Helgundy kędy nahasał się już, w Swatochny wbiegł komorę, bo jego matrona rzekła mu: „Takiego druha Swatochna szuka, mistrzyni nam.” — On zajrzał i zaśmiał się; widzi jak Węgier zdala stał, a w drugim rogu komnaty, jak drzazga Swatochny bucha wzrok. Ty chłopię nie śmiej się! Im głębsza Biała-woda, tém z wierzchu większa pogoda i marszczki nie znać tam; ale-no pluśnij w wodę, zwiąże cię nie po pas, nie po ramie, ale nad całą głowę od głowy twój na drugiego ciebie będzie tam wraz: a więc ty chłopię nie śmiej się. Na pierwsze potknięcie chuci, na pierwszy uścisk, chłopię za mało cię; w krągłych Swatochny ramionach małobyś zaciężał tak, że między tobą a jej szerokim zamysłem jeszczeby wlazło wilków trzech; a na jej białych poduszkach od pera kiedybyś zaspał jedno mgnienie ocz, onaby miała w to że ty już rok jak śpisz.

Chłopię Helgundowe spuściło kotek i zbiegło. — Swatochnie zebrało się na słowa jak chmurze na deszcz i rzuciła jeńcowi: „Ej! czy wy niewiast nie macie tam?”. A Węgier na to cichy jak smętarz kościelny stał. On zapomniał słów w ciemnicy, ojca, miecza, pacierza, krwi. On kiedy się urodził matka sklęła, Ojciec kiedy go chował sklął i sadząc go za siebie na koń sklął; i to klęcie węgierskie było mu jak pas rycerski, rycerski znak. A on i tego klęcia zabaczył którém go ojciec zwitał, pożegnał; a cóż o Niewiasty pytać? — Supranowa żona waży to, aleś i waży jak u Węgrzyna poczyna kipić pierś, a tam nie woda jest, nie woda bije mu w twarz, nie woda bije do ocz. Drgnął Węgier, jakoby jaka moc wzruszyła w nim krwią, i Węgier zaklął się. Pierś zniosła w usta bluźnierczy krzyk ojca jego i on przejrzał nim. To węgierskie postrzyżyny; po nich przemówi w nim złe. — Swatochna ku niemu kwapi się bliżéj, a bliżéj, ino o rękę od niego i podała mu dłoń, Putyfary dłoń, miękką jak piasek z którym on się bawił. On porwał za rękę jej i przerzuca zwolna z głupawym śmiechem białą jej dłoń z jednéj pięści w drugą pięść. Tak robił z piaskiem w ciemnicy; a

dłoń tak miękka, tak mokra jak piasek z którym się znał. A ta się biała dłoń coraz mu więcej sun
ku piersiom, coraz ją dalej on chwyta i tak przyciągnął aże w pas Swatochnę k'sobie. Zawitko
Swatochny tuż koło czoła węgrowi, a serdeczna pierś koło ust. I on przypomniał wraz, że ta
matkę miał z taką białą wedle szyi poduszką; że na niej spał, że z niej ssał i Węgier począł
ssać. Owadowa żona teraz w krzyk, bo ją kąsnął jak bąk; skoczyła w tył, on za nią goni
Rozmachała ramiona, on rozmachał za niemi oczy swe, a lata niemi w około niej jak en
ku szerokiemu łoża poleciało dwoje nóg, a im adamaszek wadził; za niemi skoczyło też nóg dwoj
tym nic nie wadzi. Swatochna — wróbel, broni się jastrzębowi płótnem co na łożu było; jeniec o
szukuje ją i płótno drze; — krzyk kończy walkę, która począł krzyk. — Ha! wywołaś złe
Owadowa żono! — to i masz.

A w okół pożoga niewieścich chuci, zatlił ją wybryk Supanowych żon. Poże
ga ciśnie się na schwał i w szlacheckie szyjowate dworce, co wprzódy na niezbożeństwo wda
patrzały. I wstała z łoża Supanowych żon piekielna kaźń, zarzuciła na się bezwstyd
płaszcz; a gdzie się powlókł ten płaszcz, tam mór na cnoty; i leżą serca dziewic, szlach
kich żon, Supanowych żon pobite zarazą tą; a młodź i węgry jeńcy wśród moru szal
ją wronim korowodem pod stołę. I układła się z Supanowych łoż w inne szlacheckie
łoża rozdrażniona myśl: kazała im spać z rozwartemi oczyma, czekać mężów niecze
kaniem i patrzyć na dzieci swe nie po staremu. Dawne ich myśli a nowe zeszły się
z sobą jak króle dwa: jeden choć krzepki podawał tył, bo stary już; zaś drugi król na
przód zagonił choć paproć, trzcina, ale że młody był. Nad białą-wodą więc to byłoż ca
kiem pustkowie dla cnoty? — Nie całkiem, widzi Bóg!

A był tam jeden dworzec z osobna ku białej-wodzie; bokiem miał strzelni
cę rosłą jak dąb, i wyżej jak dąb, bo jeden dąb na drugi kładziono, na drugim trzeci, do
piero czwarty krajał się w zęby u góry: i tak zębato patrzał bez strzechy w Niebo wpro
Ten dworzec Mikołaj Strzemieniec miał, a tę wieżę król. Wieża jak król broniła
pod sobą stojące dworce od węgierskich, czeskich szabel; bo na niej gdy w domu męże, st
jał w zbroi Lach i na błonia, piaski, bory utykał okiem pod noc; a gdy zoczył wędrowny o
gień z gościem z Węgier lub Czech, krzyczał z góry na braci: „Hej! hej do szabli kto mąż!"
Otwoż cztery stąpań od tej wieżycy Strzemieńca dworzec był. On przed królem nosił miecz
jak przed wieżą strzecha swój łeb; on teraz z królem, w dworcu została żona, także wd
wieje od siedmioro lat i dworzec ma, i węgra nie jednego jeńcem ma; a z chucią rozpustą

nie goni z imieni, bo Małgorzata z Zembocina i cnotę ma. Krzyki i wrzaski pożądliwych dusz dolecą jéj to oknem dworca, ona okno zasunie; to wlecą głosem do ucha, na ucho położy dłoń i siedzi, jako matka w roju pszczół, poważana od własnych myśli. A serce żonine za Panem, za mężem wsadziła na koń i tak z nim cwałuje wciąż za słonkiem swém. A gdy przyśni że on powraca, to jej dzień; a gdy zamarzy że on daleko, to jej noc; a kiedy zamyśli o ruskim Kijowie, to jéj ta chwila rok i Małgorzata w płacz.

A na to nadbiegło chłopię Helgundy bratanek, co-to był zajrzał w Światochny komorę. Widzi Małgorzaty łzy i śmieje się: „Ja, mówi, dwoje rąk mam, ja mam i dwoje ust; — „Małgosiu! na co płacz? Twój przed królem nosi miecz, ja przed cię poniosę pierś, a z téj piersi „miód ci dam!” —

Małgorzata podnosi wzrok, a myśli iże to djabeł nie chłopię, co ją chce wodzić na harc. Więc żegna, w Imię Ojca; więc mówi: „w Imię Syna”, a chłopię śmiejąc się wciąż, stoi jak stał.

I znów poczyna: „Małgosiu! na co krzyż? — Ja z ramion krzyż ci urobię; wyjem „ci z wargi jęki, ino mi czoło schyl.” — Ona potargnęła sobą i sprostowała się: a chłopię przy niej jak polem koło gruszy tarń. — Na przekór woła znów: „Małgosiu w obie mię ręce weź, boć ja „biały ptak; gdy wzlecę ci ku sercu, trzasknę w oba skrzydła, po mężu nie spłaczesz już.” — Małgorzata jak stała, tak skoczyła ku drzwiom, w białe dłonie uderzyła i w pięści je zaklęsnęła. — Chłopię uskoczyło w bok i chichoce się: „Małgosiu! na co gniew? — Odrzwie nie łoże — „dworzec nie podworze — Małgosiu! na co tu pięść?” — Strzemieńcowa żona nie znalazła na to głosu, ale rąk dwie; jedną pochwyciła chłopię za włos, drugą za kawał drzewa co w rogu stało i uderzy pachołę w twarz. Pół twarzy się śmiało i zostało śmiejące; a drugie pół rozbryzło krwią i ciałem, rozszarpane jak piorunem buk. „To masz pachołę całus; kloc mój nie łoże, dworzec mój nie podworze, a w piersiach twych gdzie miód?”

I tak skończyło chłopię igraszki swe i padając głową o drzwi stuknął, krwią i ciałem za progi dworca posączył i pokładł się w znak, by więcéj nie wstał już. I był jakoby wałem, za który bezwstydowi nie stąpać; a krew co wejrzała za progiem, to jako żydowskiego baranka krew pomaściła odrzwie jéj, by anioł zemsty co zejdzie z mieczem na Paschę zemsty, nie zaglądnął tu. — Teraz cicho było w Strzemieńcowym dworze przez jedną dobę i przez jedną noc; pożoga bezwstydu hulała za wrotami, nawołując do siebie wielką niewiast moc. A cnota poszła na rozstajne drogi, wdowie szaty na się wkładła i czekała tam, aże nadbiegnie chmura z Kijowskich stron; to ona jéj na barki skoczy, mężom

Lachom rozpowiada o swém sieroctwie, a do dworów nie wróci aże na mieczu ich.

Gdy nastał dzień, chłopięta Lachy i jeńcy nad białą-wodą poczęli zwijać się, chodzić, roz-
glądać, szaléć, pustować; a w czele im Baśko-Tur. To Węgier ów co go Swatochna wywiodła
z ciemnicy, co teraz spija z jej łoża i piwnicy co miał najlepszego Pan; bo teraz Baśko-
Pan. Rozwąchał się w życiu jak w trawie koń, rozrost w Swatochny ramionach jak ru-
ski Błud — a nikt tak nie grzmi w rozpustę siłami całémi, jak on. By taką chucią
wrzeć, trza tak szeroką pierś mieć i tak niepokalanie czuć; trzeba, by w tej piersi czeka-
jąc siadło trzydzieści lat, a każde lato by zostawiło swą gorącą krew. Baśko-Tur pali się
wszystkiemi krwiami swoich lat; a w każdém lecie kochałby niewiast nie dwie, nie trzy;
a w każdém lecie silnémi barki ubiłby Lachów nie sto, nie dwa. A teraz Baśko-Tur
oburącz jął za bezwstyd; on mu i kordem, on mu uściskiem, on mu zaklęciem, on mu ży-
ciem jest; i jakże Baśko-Tur nie ma tak palić się? —

Koło dworca Małgorzaty stanął Baśko z czeredą. Widzą krew: czyja-to krew.
Otwarzy odrzwie, wysunie niémi głowę i pojrzy po zabitém chłopięciu. A skoro go Strze-
mieńcowa żona postrzegła, skoczy do kloca znów, podnosi w górę i mierzy w Węgra nim.
Baśko zręcznie uskoczył za próg, poznał co za matronę i myśli: „złowię ją" — Baśko-
wi zamyśléć wolno, boć tak dawno jak nic nie myślał, to też teraz zamyśla niestwo-
rzone rzeczy: „Ptaszka w locie, niewiastę w cnocie." — Tjé licha, jeźli dokona tak! —

Przybieżała młodź, zlecieli jeńcy na Baśki-Tura krzyk i osaczyli dworzec,
łomocą weń z całych sił. Małgorzata z Zembocina kołkiem zaszczepła drzwi, zawala
klocem, a czeka w ciąż z starym mieczem w prawicy, co ze szczerbem w domu został
sam; jak się nawinie kto, to ona machnie nim jak Pan, jej mąż. Obóz bezwstydu
ciągle huczy w podworcu, z wrzaskiem w komory się pcha że aż strach; Małgo-
rzacie to nic, Małgorzacie to ulewa, ona pod strzechą Strzemieńca; sklęcia Węgra sły-
chać wciąż, to deszcz — ona Laszka. Ale ulewa coraz silniej huczy; dworzec ze drzewa,
drzewo nie kamień; a oni mocniej tłuką, Małgorzata w płacz. Na stary pancerz —
Miecznika upadła jedna jej łza; a ręka jej co za tą łzą biegła, trąciła weń i pancerz dźwięk
nie dźwięknął, ale zagadał do niej; ona rozumie go, bo tak Pan Bóg chciał. — On mówił:
„Włóż mnie, włóż!" — Małgorzata kwapi się; bo odrzwie skrzypią częściej, kamienia-
mi tłuką sporzej, Baśko-Tur aż chrypie, tak klnie. — Zawitka z głowy Małgorza-
cie spada, a włazi hełm; adamaszek zwija z bioder, bierze pancerz; co niewieście na
ziemi, a Małgorzata mąż. Już się tak sunie do walki; ale to waży w umyśle że ona

sama jedyna, a ich tak wielka moc. Co robić, Boże radź!... Stanęła chwilę z wielką prośbą w oku, z wielkiem słowem modlitwy, że Anioł jéj stróż miał czas zalecieć do Nieba, uprosić Boga-rodzicy za sobą i za nią; myślą uniósł w Niebiosa jéj duszę, ztamtąd do męża na Kijów i z tajemną poradą wrzucił jéj w łono myśl. — Małgorzata śmielsza już; bierze co prędzéj odedrzwi drzewa kloc, ubiera go w zawitkę białą i adamaszkiem odziewa, i sadza go w rogu łoża swego, a sama kryje się za drzwi tuż, nogi swe chłopięcia trupem zakrywszy. — O! właśnie był czas, bo kołek we drzwiach pękł. Toczy się zgraja; Baśko-Tur jako tur na czole. Pojrzą na zawitkę białą, więc wszyscy w cwał do łoża: — „Małgosiu! a tuś — a tuś?” Na zbroję nie patrzali; zdała się wisieć na ścianie, a nad nią hełm. W tém zbroja i hełm skoczy jak łania przez próg; — Kto w progu jeszcze stał, to mieczem wziął i w kącie drga; a ona w zbroi mąż, gdzie leci?.. czy się im wybiega? — Toście przecie czytali wyżéj:

„Cztéry stąpań ino od królewskiéj wieżycy dworzec Strzemieńca stał.”

więc Małgorzata do wieży i już siedzi tam.

A oszukane chłopięta, a tryumfny Baśko-Tur oburącz chwyta przy łożu kloc; jak zduszł go, dopieroż ocknął się. Reszta gawiedzi zesłupiała stoi, zlękła się kiedy ruszyła zbroja; zdało się im że wszystka zbroja w Kijowie, że to z Kijowa zleciał Supan, kilku po uszach zaciął, a teraz poleciał w podwórze zwoływać mężów w pomoc; — poczęli uciekać. Ostał się Baśko Węgier sam, a na oczém świat stoi sklął, cisnął w podłogę kloc, zawitkę rozdarł na dwoje i chrypał z gardła jak wilk borowy: „Czekaj Małgorzato wraz!” — W dworcu pustkowie, jeden on i łoża dwa; to się przerzuci na łoże, nogami rozpycha płótno, wywraca się z jednego w drugi bok; tako się tarza po biegu koń w piasku, on w łożu; — kopytem, on nogą; — ten rykiem, a wrzaskiem ów.

Małgorzata wysoko jak cnota świeci puklerzem z wieżycy, szeroko z piersi puściła dech aże do Kijowa i daléj; bo ten dech posłyszał w Niebiosach Bóg. U dołu wejścia zasunęła żelazem; tamby i zamorski nie zajrzał gość, choćby z czakanem. A w górze ganek jest i gruby z konopi sznur; ona jak rzuci ku ziemi końcem jednym sznur, to jaka dusza pobożna szlachecka włoży tam chleba kęs, (∂.) sudzinę białéj-wody. to będzie dla pustelnicy dość, póki nie wróci z ruskiéj krainy Pan z Zembocina jéj mąż. Już czeka tam spełna niedziel dwie; a co wieczora spuszcza węzłowy sznur ku ziemi, a zawsze mrokiem ktoś kładzie jéj chleba w węzeł, sudzinę wody zaczepi,

i ona ciągnie to. Czy Anioł chléb jéj dawał, czy jaka rozbitka cnoty co tam na dole została, Małgorzaty chwaląc czyn, ale za niską doń, — tego ja nie powiem wam. Dość że się dziwili ludzie, czém ona może żyć; bo cały boży dzień tłuszcza chłopiąt i Baśko-Tur tłucze się koło téj wieży, okiem i chucią szczeblują do Małgorzaty, ale to nie nada im: bo ona siedzi wysoko jak w chmurze grzmot. Widzieć go ludzie widzą; ale zagadać do niego, ale go zwabić na ziemię, to tylko chmurze i Bogu. Choć często Baśko-Tur całém ciałem rzuci się w górę, zwadzi nogą gdzieś o krawędzie i tak do góry zadziera głowę; wieża jak była z ziemi wysoka, tak jeszcze jest.

Małgorzaty jak tam niewidno, tak i tu; a on zasapał się już. ———

Od Kijowskich stron leci zawała, miecie śnieg: Ośmy-to śnieg bez mężów, Panów pada na dworce lackie. Ale to jeszcze nie ów pełny, biały śnieg co jak pióro ptasze obrzuci strzechę na mróz; bo jeszcze nim strzecha zapłacze po lecie, kiedy do niej zerwie się wiatr i czernieje znów. Z zawałą od Kijowskich stron lecą lackie rycerze; w Kijowie nowina ich obsiadła, że żony wpuściły bezwstydą gościną w dóm; a ta nowina cwałuje z niemi na siodle, na głowie, w strzemionach i kurczy im nogi, tak że oni koniowi ni wytchnąć ni postać, tylko ostrogą tłuką mu bok; jak gdyby chcieli rozpruć mu boki, zepchać mu złowróżbę, tę plotkę w kłąb, a potém sewatować, zajeździć, zapyrzyć, ażeby koniowi przepchała się w gardło i wyleciała parą z nozdrz. — Tak biegli do ziemi swéj; na czele innych, Owada Jan, Mikołaj Bończa, Porczyk Byk, jako żupani swoich huf. Za niemi skrzydlata szlachta, to Husarska rota; pod kołczanami nie szlachta, to łucznicy; szlachta okuta w stal i w stal okuty koń, to Pancerni; a końcem ich jechał Strzemieńca Mikołaj, niosący miecz; za nim jak przystało Bolesław król. Na pogoń, to król przodem: bo w przodzie trzeba ocz, bo w przodzie trzeba serca, bo w przodzie trzeba głowę mieć. A kiedy z bójki wracać w dom, to głowa idzie z tyłu; obziera czy tam za nią nie dzwoni co, czy po rycerzach co przeszli został się głęboki ślak, by po nim trafić do wroga, kiedyby znowu chciał podnieść hardy łeb. — Wielcy królowie robili tak: a nasz Bolesław wielki król był, kiedy na konia wsiadł. —

Po drodze w kraju swym rozbryzgiwa się szlachta do dworców. Każdy przed Królem złoży się mieczem; każdemu Król powie na głos: „Krzepkiś był, Chrobryś był.” Aż Szlachcic podrośnie jak w piecu chléb, i z kopyta utnie w dom. A tu już blisko i Supanów widać dworce, więc Królowi skłonią. Bolesław każdego wziął za dłoń, do pocałunku rękę swą dał i rzekł w głos: „No! i na Rusi obficie było miodu i krwi; to dzięki Wam!” —

Posłyszały lackie żony kopyt gadanie i chciały schować bezwstyd swój: jeńców Węgrów w ciemnicy ukryły, Lachóm chłopiętom kazały zdziecinnieć jak wprzódy, ręce do mężów przybyłych wyciągały jak wprzódy, ale Supani nie cisną ich ku sercu jak wprzód. Między sercami ich a rękami żon stanęła zemsta w poprzek i rośnie, kiedy spojrzą na dworce swe. — W bocianie gniazdo kiedy wpadnie jajo cudze i wyrośnie cudzy ptak, to bociany zlecą się na rady, długo klekają nad owém gniazdem, w końcu go zrucą z drzewa, a matkę gniazda rozerwą na ćwierć. — Sąd bociani, to lacki sąd. Supanowe żony, biada wam!.

Toż wpadł do dworca swego Owada Jan i żonę ściągnął z proga za sobą, targnął za spięcia oburącz, aż rozdarła się chustka i naga głowa Swatochny z białą jéj szyją zaświeciła mu w oczy wprost. On nie ciął, on poczynał srogości uczyć się. Jak niewiastę w zemście giąć, jak męczyć nie znał się: wroga to umiał wprost szablą w skroń, wprost nadstawioną pierś, albo w podany tył; a w długich włosach niewiasty, jak w grzywie konia swego, umiał zapuścić rękę i więcéj nic. Zgrzytnął zębami Owada Jan, to mu wspomniało że kaleczy ząb, porwał tedy zębami włosy jéj; włosy miękkie, przepadziste dały się rwać i targać w kłąb, ale na nich nie widać bolu. Krzyk z gardła żony on ino brał za strach, za niewieścią broń. Janowi Owadzie trza było znaku boleści, żeby coś pociekło wskroś, żeby coś wyszło z karbów skóry, żeby do jego oczu przymówił ból. On chciał tak pełnego bolu, jak pełną zemstę miał, żeby aż w oczy się kładł, w uszy się lał i wrzeszczał o cierpieniach stękiem lwa. Więc z włosów skoczył na Swatochny twarz, a w pomoc zębom pazury mu przybiegły; boć on dopiero w srogości ptakiem poczynał być. Już teraz szyję nie widać Swatochnie, pociekła krwią od pocałunku męża; krew z razu mała bryzga jak deszcz kroplami, wreszcie lunęła Owadzie do ust i wystarczyła na jedno połknięcie gardła. Tu Owada zwilczył się; już w srogości źwierz; po piersiach, po łonie Swatochny skacze ręką i nogą jak dzik; podarte jéj ciało dla niego ciernia krzak; on się kole niemi, a przecie zarywa się w głąb by się skryć przed strzelcem swym, zemstą. A zemsta gna go z ostępu w ostęp i nie przypuszcza innéj myśli i nie daje złapać tchu, ino go bodzie, ino go pcha, nagli i woła: „mścij się, mścij!". Aże nakoniec wyleciał z piersi Swatochny wrzask, pierwszy, ostatni żoniny dech. — Skończył Owada Jan swój chrzest; co zostało żony jego, zabierze ksiądz i grób. —

A w innych dworcach występnych, biednych, znowu taki krwisty chrzest. I wyszli męże przed swoje domy zmawiając się jak kawki na deszcz, z nimi Owada Jan, ale on nie długo gadał: wpadł do ciemnicy jak grom gdzie Baśko był; Baśka porwał w ramię

swe, jak orzeł pisklę i po drabinie ciągnie go na dworca szczyt. Jak był wylot dla dymu sadza go połową w słomianą strzechę, połową nad dworzec i przykrępował pasem wpół. Nie mógł i zadrgnąć Baśko-Tur, sterczał nad strzechą jak drewna kloc. Owada w komorę głownię ognistą wniósł i w cztery rogi ogień podrzucił, i w każdym rogu splunął trzy razy podziemnym duchom i wyszedł do swych braci patrzyć na Węgra skon.

Płomień już w górę bił, w słomianą strzechę; a ona, to szczerwienieje jak słońce na wiatr, to znowu czarna popiołem i dymem jak góry na zachód. Wędzi się Baśko-Tur, rękami odgania dym; co dłonią utnie po strzesze, to odlecą skry jak z żelaza pod młotem, ale i strzecha jak żelazo nie stygnie, a płomień sobie wszystkiem ślizga do Węgra rąk. Dymi się Baśko-Tur, jak zgrzany koń; ale koń cicho stoi kiedy się zgrzał, a Węgier szarpie sobą na gwałt, bo ogień dojmuje nóg. Pali się Baśko-Tur; czerwone jak krew rozleciały się ręce, po nad wtórami raz tylko płomień migotnął, Węgier usta otworzył, sklął, ze szczękiem rozleciał w proch: to jego ostatnie modły i dech.

A Owada Jan patrząc na dworca ostatki, rzekł jako prorok do swych: „O Lachy! póty nam żyć, póki w polu żyć; my w domu zginiem.” —

Małgorzata z nad wieży widziała płomień ten; poznała, to dla niej wesela znak, wskoczy w dół, odrzepi zapory, przed niemi stał mąż, jej Pan. Ona mu do nóg przypadła, on ją do piersi ciśnie, w ramię mężowskie wziął i tak ją obnosił do koła, wodzi do koła z pierścieniem, czystą jak jego miecz który przed królem niósł. Oj! było za co tak dźwigać ją!

A Lachy chłopięta jedni poszli pod miecz, drugim do pary nóg wiązano koni dwa; jednego pędzono w przód, drugi rwał się w skos i tak rozleciał się bez wstyd z niemi z lackich stron: — dał Bóg na cały wiek.

Przypiski

Treść téj powieści czysto-historyczna, patrz **Bielskiego** Kronikę, Księgę pierwszą, karta 195, wydania Gałęzowskiego.

(a) **Biała-Woda**, tak zwano w dawnych czasach Wisłę.

(b) **Giermak szary**, najdawniejszy ubiór szlachcica po domu.

(c) **Ziemniaki bogi**, Puschajta jeden z nich siedzi zawsze w bzowém drzewie. Kołacze jemu zastawia się w gumnach; cztéry wielkie sudziny piwa na czterech rogach stołu; potém przywodzą cielca i cielicę, barana i owcę, kozła i kozę, kura i kurzycę, które chłop prosty po wymówieniu prośby zaczyna bić po szyi, po nogach, mówiąc: „To tobie o Ziemniaku, boże nasz" — tak opisuje **Stryjkowski**.

(d) **Sudzina**, jak wyżéj widzimy, starożytna miara na piwo, wyżéj kwarty.

2.

Barbara jeszcze Gasztołdowa żona.

Drammat.

Rok 1547my.

Osoby.

Królowa, Bona Sforcia, żona Zygmunta 1go.
Zygmunt August królewic, jej syn.
Hrabianki Luzzi i Palli, dworskie królowej Bony.
Stańczyk, ulubiony trefniś Zygmunta 1go.
Gasztołd, wojewoda Trocki.
Barbara, Radziwiłłówna z domu, jego żona.
Xże Radziwiłł Czarny, wuj Barbary.

Piotr Kmita
Biskup Dziaduski
Marszałek A. Gorka
Jan Ocieski, kanclerz.
} Senatory.

Orzechowski, kanonik.

Kaczkowski
Smolik
Kościelecki
Wąpowski
} Szlachta dworska.

Ilja, Xiąże Ostrogskie-ruskie.
Montio, doktor Włoch.

Zamek krakowski; komnaty zaś królowej Bony, to sale posłuchal

Scena 1sza.

W Zamku królewskim komnata której ściana kończy się do wpół teatru; w niej środkiem odrzwia karmazynem przysłonięte, a tylko jedna lampa świeci w tej komnacie: a pół drugiej strony teatru poczyna salę oświeconą, w której rozmaite koła tańczących po połowie widać na scenie. Muzyka zdala, słaba, głośniejsza czasem dochodzi z głębi.

Zygmunt August na wezgłowiu tureckiem w ciemnym rogu komnaty, w czarnym stroju hiszpańskim i z czarnemi ostrogami, rozrzucony opiera głowę na ramieniu Luzzi obok nim siedzącej.

Luzzi.

Skocznie, wesoło, jak nasze gondole
W tańcach francuzek królowej – królowa,
A wam to marszczka żegluje na czole
Zygmuncie czemu? czyć jeszcze z Tarnowa (a)
Jan siadł na myśli? – a z Gorką Andrzejem
Wiodąc na Wałosz? – my się z Gorek śmiejem.
I ty śmiej zdrowy: w tem królowej głowa
Abych was w powrót niepuścić im szporą
(głaszcząc go) Chłopięcia głowę, te głowy golone
Chciały zakować w rynsztunek, a w stal...

Zygmunt August.

Chłopię ja Luzzi? – Luzzi chłopię chwał,
Bóć już wąs mu, a już skacze w koń,
Bez strzemion w siodło; a na głowie tam
Chłopięcia siedzi już korona wpół.

Luzzi.

Jać wielką głowę skryję w jedną dłoń,
Miasto korony całus w czoło dam.

A za klejnot koronny zwołam czyje oczy:

/Sunie się w tej chwili koło taneczne. Luzzi, pokazując jedną z niewiast: /

Owa, szyję w alzbantach u karych warkoczy
Dam ci.

Z. August.

To szyja Palli.

Luzzi.

Ale czyje oczy
Zwołać na klejnot?

Z. August.

Choćby wasze wpleść.

Luzzi.

O! Luzzi oczu do koron nie wznieść,
Luzzi ubogiéj nie stać na Firleje;
Ale na włoskie serce nie zstarzałe,
Na oczy pełne ciebie — dla was stałe.
Na usta włoskie; z nich czy pieśń wyleje,
Czy pocałunek, to lecą do ciebie
By turek z winnym haraczem pod nogi,
Imię twe miotąc, Zygmuncie mój drogi,
Jako noc włoska swe gwiazdy po niebie.
Puść mnie do piersi: ona nie wyniosła
Dla głowy Luzzi; przeglądam się w niéj
Jak ma Wenecia w morzu, w którém wzrosła.
A ty Zygmuncie, czy się z Luzzi śmiéj,
Czy lubuj ją, byle Luzzi żyła
W pamięci wam, jak ci z dawna była
Rówienną boku, źrenicy, zabawy.

Z. August.

O! Włoszkaś ty. Wy zamorskie pawy
Macie na język tyle strón, na oczy
Tyle barw; że gdy ogon słów wam się roztoczy,

To cztek się o niewieście z myślą tyra sam,
I gdzieś wnet na zabawy, na tańce poskoczy,
Aże opadnie głowa, już w ramiona wam.
/: kręcąc wąs :/ Choć chłopię podstarzało, a cię, oburącz,
Oburącz kocha; boś mu w piersi tak
Jak pierwszy biały ugłaskany ptak
Co go od ojca króla swego miał:
Jak pałaszdrewniany który na łby ciął
Drewnianych Turków, choć mu rwie się wzrącz
W ręku kowana żelazna szablica...
Bo Luzzi moja! tyś mi jak siostrzyca
Chwil umilonych w których lubo mi.

Luzzi.

Tobie się Luzzi już tak dawno śni,
Żeś jej obraz postarzył u serca:
Jak kwiat, co pierwszy zszył się u kobierca,
Starszy od swoich rówienników grona,
I Luzzi z wami pono wiekiem poswarzona;
Boć pierwsza co ku sercu zagadała ci.

/: słychać głośniej muzykę :/ Z. August.

Za prawdę, Luzzi, że teraz na dobie
Często się zerwie nowa myśl na czoło,
I tak się bawię z wami po połowie,
Połowa smutnie, połowa wesoło,
Jakby mi brakło pacholęcia zdrowie;
I nie tak gęsto myślę o was jak o sobie.
Alić bo, Luzzi, coś mi we krwi gada
Innego teraz; kocham konia, który
Jako was dawniej, jako waszy śpiew.
Nie wiem co cięży, co mi piersi studzi;
Ale mam wto, że to dwojga ludzi
Gra we mnie język i krew.

Matki krew, wenecki śpiew;
Ojca krew, polski ród.
Z gardła wrzask, w polu mord;
Pas co mnie ciśnie w pół,
Koń co mi pod nogą rży.
Baulica kiedy na Wołosz grzmi.
A kulą źrenicą patrzy im w dół,
W ordynku związany mąż
I orzeł w proporcu co miota się wciąż,
A lecieć by chciał:
To budzi we mnie ojca krew na schwał,
A okiem inakiem, a okiem jak wąż
Przeglądam koronę mą.
/:z za sceny dolata śpiew:/ A Luzzi moja, z włoską pieśnią tą,
Mnie ino spać;
Od szyi waszej, jak morska gondola
Do drugiej szyi płynąć mi niewola
I usta wam brać;
A tak me serce przywodzić na łodzi,
Póki się niebo z duszą nie spogodzi,
A w tej spogodzie jeszcze z wami spać.

/:pod ten czas weszła hrabina Palli i stanęła niewidziana za Zygmuntem, gdy on skończył mowę. — Palli schyla się na czoło:/

/:Z. August zmieszany:/

To Palli moja? porzuciłaś tany;
Ja w twoje skoki wmierzałem źrenicę.

Palli.

O! Zygmunt, mój rycerz ukochany
To zdala lubi swoją tanecznicę,
Jako na ogród popatrzy z taraśu;
A do mej Luzzi, jak słońce do lasu
Zabiega by głowę skryje.

Z. August.

Mnie z wami obu po komnatach żyć.

/: bierze rękę Luzzi :/ I ta co pierwsza do serca gadała,

/: bierze dłoń Palli :/ I ty coś okiem w duszę się pisała

Jak czarna farba w pargaminu śnieg;

Obu wam ze mną przy włoskiem zagraniu

Płynąć czy nocą, czy w życia świtaniu,

Obu wam ze mną jako koń mój rżyć.

<u>Palli</u>, wstrząsa głową.

I obu płynąć? – W weneckiej krainie

Serce, gondola mała, troje nie popłynie,

Skała, kochanka włoska, pod wodą na brzeg,

Niewiarę, rybaka, w swe łono gdy zwoła,

Na łono, dno morskie, zaiśnie wesoła

I dwojgu ino – każe choć po śmierci być. /: chce odejść :/

<u>Z. August</u>, wstrzymuje ją.

Palli! przyzostań: ja twe perły lubię,

Które z pod róży ukażesz mi,

Gdy ci się o gniewie na Zygmunta śni.

/: zrywa się z sofy i do Palli z przyciskiem :/ <u>Luzzi.</u>

Skała, kochanka włoska pod wodą na brzeg!

Brzegiem woda spokojna odbija pałace,

li schyla Szczęśliwa! – tylko rybak póda sobie pracę,

Wiosłem zamąci wodę i puści ją w bieg;

Wodne pałace znikną

/: odwraca się od nich i staje na skraju oświeconej komnaty, oczyma w taneczne podskoki zatopiona; muzyka głośniej grzmi :/

<u>Palli</u>, z cicha do Zygmunta.

A wy jej wierzycie!

Młody mój August, założone dziecię,

Tobie ją znać? – niesłychany – wy słowo,

Słowo dajcie przyjęcia mej jedynej woli,

Niech ono tajemnicą dzisiaj nas okoli:

Ciebie i waszą Palli.

Z. August, pustując.

Daj ust.

Palli.

/: skłania mu usta, a potém wskazując na Luzzi :/ To, przysięga.

Z. August.

Na długo?

Palli. /: przysiada na sofie :/

Dziś do nocy; niecierpliwa głowo,
Już wam w ustach na długo! a gdyby na wieki?
Gdyby wam sercem sięgać, jak niewiasta sięga;
Gdyby wam urodzeniem był kraj tak daleki
Jak nasze włoskie morze, a musiał porzucić
I ziemię swoją i nigdy nie wrócić,
I kochać na tak długo jak „nigdy” trwać może!
Pytałże-byś się jeszcze, czy te „nigdy” długo?

Z. August.

Palli! pytałbym nieba, czyżeś ty papuga,
Co ma tęczy na sobie tyle ile słońce?
Bo kiedy zaczniesz mówić, to mój myśli konie
Rozlecą jak sokoły za ptastwem szeroko,
A sokolnik nie dojrzy gdzie ich biega oko.

Palli.

Lecz sokolnik pamięcią, ino nie zabawi,
I aż do nocy moim...

Zygmunt August

/: urywa; bo coś małego w ubiorze kobiecym w masce ku nim sunie i staje przy wezgłowiu. Palli rzuciła rękę, do po rękojeść kobiecego sztyletu :/

Słyszał?...

Z. August.

Co za licho?

/: przybyły zdejmuje maskę :/ Ba! Stańczyk! błazen króla...

Scena 2ga.

Stańczyk, /: z przymówką :/

Królewica haczy

Nie błazen, białogłowa.

Z. August

Jako?

Stańczyk

Jam Rzepicha;
W bombazynie, w brokadjach schowało się licho,
Schował się błazen Stańczyk, jako białoszyja,
A nędza na pierś dziana w srebro mu się zwija.
I pierś mam włoską, włoską sałatą karmiona,
Jako lubi na zbytek nam Królowa Bona.

Z. August. (: śmiejąc :)

Kto cię tak odział z pyszna?

Stańczyk.

Kto? mój miłościwy
Królewic Zygmunt August.

Z. August.

Ja?

Stańczyk.

I to nie dziwy.
Żeby było na męża w tym gmachu przyostać!
Trza spódnicy w brokadje by się ku wam dostać,
Dmuchać z włoska na ucho; palcem leźć po drutach,
By szukać serca, co się schowało gdzieś w nutach.

(: Zygmunt August zegniewany podchodzi po komnacie, a błazen dalej śmiejąc :)

Mnie młode pacholęcie chciano w Wołosz zwabić,
Alem się zląkł od matki zapasków uchylić,
Mogłaby się Wołosza szablą we mnie zmylić.
Lepiej zawdy w manelach do starości babić.

Z. August. (: grożąc :)

Stańczyk! niepewna głowa twoja.

Stańczyk. (: jednako :)

Była;

Ale się przed bojaczką mądrze uchyliła.
W komnacie haubic nie ma.

Z. August. /: błysnął szablą :/

A ja ci zaświecę.

Na ojca krew ....

Stańczyk.

/: skoczył ku szabli, a biorąc ją w obie dłonie :/ Żelazo! .. przynieście gromnicę
I trumnę dla mnie, trumnę; i ja wam kark podłożę.
Tnijcie w kark królewicu! Tnij w kark, w imię boże!
Może gdy krew pociecze w męztwie się polubisz
Jak dziedzic, syn mojego króla Polski, Litwy,
Żmudzi i Ukrainy! Może cię na bitwy
Spędzi krew błazna i Włoszki wyczubisz!
O! tnij mnie królewicu! bo taniej błaznowi
Poddać kark, jak urągać ojcu i królowi:
Kiedy się z tem panikiem zapoznawszy z Starą,
I co miał myśli pustych z piersi mu zwołaławszy,
Gdy spyta dla zaśmiania, rzec mu: „Najłaskawszy
„Królu! toć macie syna.” – a syn – włoska mara!
Toć i błazna zaboli.

/: Luzzi obejrzała się w tej chwili za siebie i skoczyła ku Palli, która przerażona zjawieniem Stańczyka nieruchoma :/

Luzzi. /: do Palli :/

Tak Palli na straży
Trzyma serce podbite, że je Stańczyk zważy?
/: chwyta za dłoń Augusta :/ Zygmuncie! lampy gasną, tyś uczty nie witał
Ni kielichem Lachrymy, ni tupnięciem nogi ...

Z. August.

Stańczyk! puść szablę moją! Włoszko! błaźnie z drogi!
Nadzieje mi by chmura sokołowi w biegu.
Wasz język, piski serca, śpiew włoski; – do brzegu,
Do brzegu z nim! Ja Zygmunt na otwarte morze.
Puść szablę! morze ze krwi urobię!

Stańczyk. /: porzuca szablę i składa w górę ręce :/

Daj Boże!

Luzzi.

/: odtrącona zasłania oczy :/

Zygmuncie mój!

Z. August.

Wy z płaczem Luzzi! darmo; czekaj!

/: waha się i mięknie :/

Czego płacz? czego słonisz oczy w obie dłonie?
Czy blask mojej szablicy? — Luzzi, nie narzekaj!
Żelazo schowam, blasku cię uchronię,
Ino mi nie płacz Luzzi!

Stańczyk.

Ona płacze szabli
Co próżno świeci w boku. Daj mi, ja zwierciadło
Dam ci miasto żelaza; w niém spatrzysz, jak zbladło
Lice warzej piastunki i samiś się zmienił.
Królewicu! boś myślą do serca przyżenił
Włoską zaniewieściałość; szablę niech rwą djabli!
Daj błaznu! on nią lepiej zawinie w potrzebie.

Luzzi.

Stańczyku! tobie z komnat fraucymeru zdala!
Palli! królowej Pani odpowiesz za siebie
I za niego.

Stańczyk.

Niewiastom królowa dozwala
Zabawiać królewica; dziś Stańczyk niewiastą.

/: zasępiając się :/

Złem przestroił twarz moją i rękę żylastą;
Królewicu! jam ciebie chciał bawić inaczej.

/: pierwsze pół wiersza prędko trze- cie z umizgiem ku królowej, a dru- gie zwrócon do Królewica :/

Nie z pysznaż mi brokadjach? — Z płaczem przyjść tu raczej! —
Utargałem brwi obie. — Tak targasz swe plemię! —

/: stąpa w nich kulejąc :/

A baczmagi tureckie? — Ty tak stąpasz w strzemię! —
A cało jakem wrósł! Nadobny i zdrowy!
Auguście! bez malarza twój obraz gotowy.

/: Zygmunt sępieje, upada Stańczykowi maska :/

Maska! a! maska dworska! na com pozbył maski!
Tu nikt bez niej nie gości. – Darujcie mi Panie,
I wam odsłonię twarze, zdjąć wam te obrazki,
Z pachniącém mydłem ręce, róż na safijanie
Złożyć wam; niech z was każden, jak dziś błazen, stanie
Do ócz Zygmunta okiem i śmiałe na stenanie,
Kto lepiej życzy.

Luzzi. */: ironicznie :/*

Stańczyk nie wesoły
Że mu czapka z dzwonkami gdzieś z głowy uciekła.

Z. August. */: smutno :/*

O! nie wesoły błazen!

Stańczyk

Prawdę włoszka rzekła,
Oj prawdę, królewicu! jak do ula pszczoły
Wróciły do mnie myśli wesołe nareszcie.
/: drze na sobie sukmie :/ Prawda; oj lepsze sukmie błazna, jak niewieście;
Od maski toć twarz lepsza chociażby obrzydła.
Świat maska, a zajrzyj, to spodem straszydła. */: Stańczyk odchodzi;*

/wszystko troje dumają; z za sceny przychodzi bogato przybrany w pazia ubiorze Firlej. :/

Firlej.

Hrabianka Palli do swej królowej proszona.

/: Palli odchodzi z Firlejem, Luzzi zbliża się ku Zygmuntowi i kładzie mu rękę na ramie; Zygmunt milczy; słychać śpiew Palli za sceną :/

Luzzi

Tyś zamilkł?

Z. August. */: zimno :/*

Słucham.

Luzzi. */: z przymileniem :/*

Kogo?

Z. August.

Śpiewu Palli.

Luzzi. /: gwałtownie :/

Ona
Lub błazen, ich to słuchać tobie? leć za niemi!
Milsi jak Luzzi, oni to wam bliżej stoją!
Leć z niemi; ja zostanę sama z myślą moją,
Tęskną, czy to do nieba, czy sięgnę ku ziemi.
/: z ironią :/ O! Stańczyk rozpowiada o matkach, żelazie.
O! Palli, śpiewa tobie co jej pamięć prześni.
Śpiew jej, rodzona matka; po każdym wyrazie
Wystukanym od Palli, tobie z Luzzią ciaśniej
I nudniej, chociaż sama jedna co was kocha.
/: oglądając się wciąż :/ A Palli! – Słuchaj! powiem: matka wam, macocha
Nie matka; – Palli u niej, to wędka na ciebie.
Słuchaj! ja spowiem wszystko jako Bóg na niebie;
Ja jedna co was kocham! One, matka, Palli,
One chcą, byś ty przyjmął w nie, by was schowali
Pod sobolową szubę, gdy siędziesz na tronie;
Palli, matka-to w waszej chcą świecić koronie
Jak dwoje ocz, Zygmuncie; a waszą prawicę,
Chcą, obwinąć niewieścią dłonią w bawełnicę!
A Luzzi jedna kocha ciebie: choć przed dobą,
Widziałeś, jako z płaczem kryłam się za tobą,
/: od boku wyjęła mu żelazo :/ Gdy żelezem zabłysłeś; patrzaj! chwytam w obie,
Masz! w inne mej lubości nie wierz, ino sobie!
Kryj się na Wołosz., Palli nie podawaj ucha,
/: całuje go porywczo :/ Mnie lubuj, ale samą, i nigdy –!... ktoś słucha!
Nigdy nie zbądź mnie z serca, ja waszą jedynie!
/: odchodzi śpiesznie, jeszcze się oglądając; – podczas jej mowy śpiew Palli ustał, zastąpiła go cicha melodja :/

Z. August. /: zamyślony :/

Kto mnie z nich kocha?

Scena 3cia

/: Palli wchodzi oglądając się za sobą :/

Palli.

Zygmunt! zanim czas upłynie

Wiążę cię słowo wasze, żądam..

Z. August. (: oziębłe :)

Czego?

Palli. (: z uśmiechem :)

Ciebie.

(: usuwa szkartat kryjący drzwi środkowe :) Tu się wam skryć, mój luby.

Z. August.

Ino?

Palli.

Dosyć tego

Dziś po moim rycerzu.

Z. August. (: imając ręką szkartat :)

Lecz Palli, dla czego?

Palli.

(: zarzucając za nim oponę :) Będzie pełna odpowiedź.

(: Niezadem wchodzi na scenę królowa Bona. Ogon jej sukni niesie Firlej, kilku pokojowców świeczniki przed sobą na st stawiają; idzie dalej fraucymer dworski, a w nim Luzzi. Bona żegna skinieniem dworzanów, Firlej i pokojowcy odch Damy dworskie poczynają zdejmować z Bony ubiory: Luzzi dijamentowe spięcia z głowy, Palli koronki i Alżb z szyi na której łańcuch; a Beata Kościelska uklęknie, podaje tureckie bacmagi na podnóżce szkartatowej :)

Luzzi. (: zdejmując królowej pierścień z ręki :)

Wabny kamień i napis. – Snać macierzyńskie słowa.

Bona.

Byłam niegdyś księżniczką Sforcią, dziś królowa.

A nie przypomnę chwili gdym go w palec brała.

(: czyta na pierścieniu :) *Benedicat te Deus et crescere faciat in gentem multam.*

Życzenie matki! po niem synam w porę miała (6.)

Palli. (: rzucivszy okiem na szkartat :)

Miłe wspomnienie syna!

Luzzi. (: zawistnie :)

Ale dziś nie w porę.

Królowo! Pani moja! mnie skarżyć na Palli:
Ino cośmy go z ręku Gorek wydostali
I głaskać przychodziło wodzom na przekorę,
Rozbujane chłopięcia za szablicą skargi;
Inom mu narzucała co przyniosły wargi,
Palli błazna dopuszcza. Stańczyk jak zmówiony
Całą mu pięścią bije w słabe serca strony
Z wiarą, królowo pani, prześmiewiskiem wiary!

<u>Bona.</u> /: cicho do Luzzi :/

Stańczyk! – Spytam Montiego, czy Stańczyk dość stary
By mógł zmilknąć gdy każę.

/: odwracając się do orszaku kobiet, zrzuca im tańcuch swój z szyi :/

Dzięki za usługi:

/: orszak odchodzi :/ Luzzi, Palli zostaną. – Wieczór tak był długi,
A syn mój z tobą, z wami, jakoż? niewidzicie?
On z nami – mąż król musiał uledz gdy chce Bona.
Cóż syn nasz?

<u>Luzzi</u>

Skołysane na dziś wasze dziecię.

<u>Palli.</u>

Zygmunt królewic smutnym był.

<u>Luzzi.</u> /: niespokojnie :/

Tyś zniewolona
Smutkiem, to w smutek stroisz i twarz królewica.
A widziałaś jak odszedł? jaka tam źrenica
Pełna szczęścia, radości jaśniała mu w oku!
Luzzi ją wywołała: bo ć jemu co kroku
Miłością się wysługiwa do serca i duszy;
A tak siatkę nastawia, że ryba co ruszy,
To lgnie głębiej w weneckie rozpasane myśli,
Aże się wreszcie całe zniewieściałe rozmyśli.
/: śmiejąc się :/ Jakem jego głaskała chrypawą zawiłość!

Jakom mu w uszy kładła ukłamaną miłość;
Jak z każdém słowem, co mu mężkością się śmiało,
Moje włoskie pieszczenie kształtnie się łamało;
Jako tam było dużo Tarnowskiego słowa;
Jako się pełna Górek szerzyła mu mowa:
A ja w moje zaloty to mu czoło zrzyję,
To mu pachnącą ręką z głowy marszczkę zmyję,
I August wymuszany w piersi mej przypięty
Spuści myślą z ich gadań i lutnie w przynęty.

Palli. (: z uśmiechem :)

O Luzzi! tyś przebiegła.

Luzzi.

W rozkazie mej Pani
Tyle mam przebiegłości, ile serca dla niej.

Bona. (: ironicznie :)

Więc tobie ufam szczerze, a radna zapytam
Czy nie spuścić z fortelu z moim królewiczem.
Pomnisz za twoją radą, ja go z Włoch chwytam,
Pomnisz? gdy wam i dawne zasługi policzem
(: znacznie :) Toć przeszłą żonę jego dobrześ skołysała. (c)
Lecz Luzzi moja, jakaż matce chwała
Że syn niewieściuch?

Luzzi.

Królowo! w tém wasza
Władza i przyszłość.

Bona. (: dobitnie :)

Nasza? ino nasza?
Zamyśl to dobrze! moja przyszłość, władza?
Moje w tém dobro? – Tak Luzzi doradza?
(: z przymileniem :) Dobrze ma Luzzi: ty go w parkach trzymaj
Dla mojej władzy; pocałunkiem imaj
Każdą myśl, coby od matki zleciała

Do innych uszu. Palli nie ustrzna
Ku sercu syna; Luzzi mnie powiedzia
W naszej komnaty. Palli! a tyś dłużna
Wina Stańczyka.

(: Luzzi cała w tryumfie bierze świeczniki i idzie przodem ku odrzwiom szkarłatnym, podnosi je, widzi Z. Augusta z założonemi na piersi rękoma w hiszpańskim kapeluszu na głowie, stoi nieporuszony. Luzzi przerażona opuszcza światło z rąk. :/

Luzzi.

August?

Bona. (: z uśmiechem do Luzzi :/

To go masz!

Palli.

Oj! w biedzie...

(: Bona szyderczo popatrzała na Luzzi, Palli za skinieniem królowéj podniosła świeczniki i obie z królową śmiejąc w głąb odeszły :/

Luzzi. (: z rozpaczą :/

Widziały! i królowa i Palli widziała!

Z. August. (: podchodząc ku niej :/

A teraz i mnie widzisz. Włoszkaś ty obrzydła.

Luzzi. (: składa ręce :/

Zygmuncie!

Z. August.

Marki, marki! pod niemi straszydła!
Dobrze wam błazen prawił. Oj tak, królewica
Nie błazen tutaj kazył, lecz dworność kobieca! (: odchodzi :/

(: Za odchodzącym patrzy żałośnie :/

Luzzi.

A jam go ukochała szczerze, jak Bóg Bogiem!

Scena 4ta.

Zmiana.

(: Komnata Gasztołda wojewody trockiego; Owalna, w bokach z dwoma gotyckiemi oknami, łoże okryte skórą niedźwiedzią, w niem Gasztołd leży w futrzanym kaftanie. Nad łożem przy ścianie wisi jego zbroja, a przy łożu siedzi Barbara żona. Noc późna; kaganiec zawieszony słabo oświeca twarz obojga.

Gasztołd. (: ciężko westchnął :/

Mnie pono przyjdzie skończyć za tych komnat progiem,
Mnie już pono nie zajrzeć na gród województwa;
Tako na mnie choroba dybie. Bez dowództwa
Starostwa moje biedne! – Wy, żono, dla siebie
Każcie wdowie szyć szaty.

Barbara.

O! Bóg wielki w niebie,
Większy jako choroba, modły mej wysłucha
I wróci …

Gasztold.

Na co wróci? Ja w spokoju ducha
Oddam Bogu, bom w życiu zestarzał się, z cnotą
(: wskazując na ścianę :) I z zbroją. Ja mu pójdę w ramiona z ochotą,
Bom ci w starostwa trockie nie uronił plamy,
Królowi a Ojczyźnie nie zrobił szkody.
Chorągwie me przy trumnie ciągnące wojewody
Nie będą mnie żegnały skargą, ino łzami;
Król mój niech im innego wojewodę nada.

Barbara. (: litośnie :)

A żona wasza, Panie!

Gasztold. (: zadumany :)

Moja psiarnia luba,
Rogi moje wileńskie, co w nich echo gada
By niedźwiedź na pustkowiu; o ciężka to zguba
Pieśniom które w nie grały! – A mój biegun szary;
Matka mu w stepie, ojcem mu Tatary,
Nosił mnie by koleba; toć on zatęsknieje!

Barbara.

A żona wasza, Panie!

Gasztold. (: ciągle zadumany :)

A przetajskie knieje,
A Daugowskie dąbrowy zniewolone psami,

Co pryskały ochocze dzikiem i sarnami,
Scichną; już za głuche dla naszego ucha
I rankiem ich gawędy Gasztołd nie posłucha.

Barbara.

A żona wasza, Panie!

Gasztołd.

A i wy Barbaro,
Szarym rąbkiem na czole słonić ci myśl szarą,
I po mężu zapłakać. – Przy łożu w potrzebie
Nie siędziesz, by o jego zamyśleć się chlebie;
Ani mu rany studzić rychłym zaratunkiem,
Jak na żonę przystało; ni miodowym trunkiem
Zwilżyć mu język, kiedy z obławy strudzony
Wróci i do spoczynku zwoła usług żony.

Barbara.

A mnie jeszcze nadzieja!

Gasztołd.

Bo wy białogłowy
To macie myśli długiej jako włos osnowy
I na niej nigdy końca uzuć nie kładniecie;
Nie w głowie wam że człeku trza umierać przecie.
Na co tu płacz? Al lepiej w boskie zmiłowanie
(Barbara słoni twarz ręką.) Porwuż mnie modłą. (: sam się obrócił ku ścianie na łożu :)

Barbara. (: klękła przy rogu :)

Modlić i cierpieć, o Panie!
To naszej polskiej białogłowy życie!
Jeszcze gdy się przy łonie nie zaśmieje dziecię,
To żadnym się obrazkiem nie rozsępią lica
I stęskni sobie biedna męża służebnica!
A mąż, za trudy nasze przy śmiertnej pościeli,
Jeszcze swą myśl między mnie a psiarnią podzieli.

(: wchodzi z cicha doktor Montio i zastaje klęczącą :)

Scena 5ta

Montio. (: z uśmiechem :)

Zawsze na klęczkach?

Barbara. (: wstaje z powagą :)

W Bogu jest nadzieja ludzi.

Montio.

Boga i swe kolana kasztelanka strudzi.

Gasztold. (: nagle z łoża się podnosi :)

Strudzi? — To nasza żona, to żony powinność
Modlić kiedy mąż cierpi, żony! — Męża czynność
W polu kordem i głową, bo w tém męzkość leży;
A białogłowa u nas nam przy boku bieży,
W złej dobie koić bole usługą, kolanem.
Mąż u nas nie gitarą żonie, ale panem
I połową jej duszy: żona tuż przy łożu
Rozkoszy czy boleści; jak u nas na morzu
Łódka, nam żona w chwile domowe przewodzi;
Nie spłynie łódź bez człeka, ni wioślarz bez łodzi.
(: z groźbą :) A wy nie szczepcie dziewom naszym swą zawiłość,
Owe włoskie uczucia, ową gładką miłość;
Bo wam gdy kordów zbywa, nie wiecie jak użyć
Czasu, a więc niewiastom chcecie jakoś służyć
Niby pachołe panu. — My kochamy twardo
Ale z serca, ale tak całe duszą hardą,
Że gdyby nam ją zabrał los, co nie daj Boże,
(: Barbara całuje go w rękę :) Płakaćby nas nie stało, ale umrzeć — może.

Montio.

Słabemu wojewodzie to doktora słuchać,
Ani tak pełnym głosem pierś na ból rozruchać;
Spokoju wojewodzie, — inak wojewoda...

Gasztold.

Tak, spokoju! — twych leków mój doktorze szkoda;

Zostaw je dla dziecinków u których w klepsydrze
Krwi jak piasku; mnie w modły chrześcijańskie godzi,
By kiedy śmierć należna ze świata mnie wydrze,
Jakoś tam moją duszę Bóg dał oswobodzić.

Montio.

Ze wspanialszą nowiną wrócę do Królowej
Jej-mości, co mi do was pośpiech nakazała;
Bo widzę dziś jaśniejszy wzrok wasz, całe zdrowy,
(: z ironią :) Głos silny..

Barbara. (: radośnie :)

Jemu lepiej, tobie Bogu chwała!
Ja Królowej jejmości sama do nóg rzucę
Powinną wdzięczność. Tobie panie mężu lepiej!
Słuchaj! o, tobie lepiej; przecież w mojej nauce
Doktor zagląda wyżej, doktor ciebie skrzepi.
Mężu! mój Panie! słyszysz? – O! wam lepiej, lepiej!

Montio. (: do siebie :)

Jemu lepiej czy gorzej.... mnie chodziło o to,
Aby była na dworze Bony i podziękę,
Zaniosła wówczas, kiedy Królewic..... na rękę
To nam będzie.

Gasztold. (: w zadumie do siebie, potém coraz głośniej :)

By król mój przystał.. toć z ochotą
Witałbym gościa z dworu, a rzekł mu o zdrowiu,
A miałaby mi była panię mego Pana;
Boć się z nim to przeżyło ongi na pustkowiu,
W czakarach, to na polu, w śniegu po kolana
I po pas w błotach Kowna.

Montio (: z uśmiechem :)

Kasztelan majaczy

Gasztold.

Ale co ta Królowa!... Bóg ją niedzieć raczy

/: unoszące się :/ E! Bóg was tam zapozna z włoskiemi farbami,
Czy wy szczerym niedźwiedziem, czy rzzyci lisami.

Barbara. /: zmieszana chcąc pokryć jego uniesienie :/

Za prawdę on majaczy. – Doktorze, przez Boga!
Mężowi Panu nie pieś niecie słowa takie!
/: do męża :/ Kasztelanie, spamiętaj się!

Garztolo. /: rozżarzony :/

A Włoszka sroga
Spamiętała się także, gdy znowu jednakie
Staremu Zygmuntowi wydobywa bole,
I znowu syna w swojej niewieściuszej szkole!
Jako! ja nie mam spłacać dla niej skargę hojną,
Gdy znów szlachtę na szlachtę wywołuje zbrojno!
Wiem ci co się w Senacie przez tę Bonę działo,
Wiem ile włosów memu królowi zbielało
Jej staraniem, wiem całe jej dworactwa dzieje;
Wiem jak skarżą Tarnowscy, jak pachną Firleje.
Wiem to ja; a przy śmierci, kasztelan nie dworak
Powie, jak mu na łonie płakał król nieborak;
Na grzechy swojej żony był on jeden szlochał,
Ale to cały naród który on ukochał
Szlocha na Włoszkę: bo to sprośne szkaradzieństwa
Spłynęły z dworca ku nam. Są matki bez zeństwa,
Dzieci bez imion ludzkich, biskupi z żonami,
A naszym młodym dziewkom tyrać się z myślami
Wabnemi nakazano. Dziwna że się tracą,
Kiedy im rozkoszami słoń w bok kołacą;
I takiego im na tron skołysali syna,
Co przywykł do rozpusty, by kielich do wina.

Barbara. /: litośnie :/

Mężu! mój panie! czyliż usta me nie sprószą
Odpoczynku twym piersiom?

Gasztold.

Spoczątbym z rozkoszą,
Gdybyś Ojczyzna inak przy mej trumnie stała,
A jak ma męztwo w ręku, Boga w sercu miała.
A czemu nie tak? — To wam Włosi odpowiedzieć.
(: do Montiego :) Wiem, czymeś ty królowej; wiem że jej spowiedzieć
Pójdziesz me słowa. — Powiedz, jaka mi myśl siadła
Przy śmiertelnej pościeli; rzeknij, jak się składała
Cała w piersi Gasztolda i żałobą krzyczy.
O! niech jej Bona przy swej śmierci nie dziedziczy!
Bo straszny to rachunek, kiedy nad mogiłą
Za każdy guz co się tam Firlejom kupiło,
Za każdą troskę, co się mężowi wyssało,
Za każdy urząd co się w Koronie przedało,
Za każdą myśl synowę co się jemu skradło
Zniewieściałością, by się snadniej jemu władło;
Przyjdzie matce i żonie i królowej płacić!

Montio. (: szyderczo :)

Kasztelan ciągle majaczy.

Gasztold.

Wam, nie mnie majaczyć!
Bo wilczemi przebiegi nie strapicie źwierzy.
Ojczyzna moja znajdzie gęstwinę serc czystych,
Dobro jej jak dzik siądzie w laskach rozłożystych,
A w nią ino lat starość, ~~ale~~ abo Bóg uderzy.

(: po wysileniu upadł na łoże :)

Akt 2gi.

Scena 1sza.

/: Sala posłuchalna w zamku, dworacy w rozmaite koła podzieleni. Przodem sceny koło braci starszych: Stanisław Orzechowski kanonik, Biskup Dziaduski, Mikołaj Xże Radziwiłł czarnym zwany, Andrzej Gorka kasztelan poznański, Ilja Xżę Ostrogskie i Piotr Kmita wojewoda. Koło zaś braci młodszych: Kaczkowski rotmistrz, Smolik Piotr, Kościelecki Jan i innych wielu. Stańczyk zaś chodzi środkiem między obu koła. :/

A. Gorka. /: do swoich :/

My z trojakiego łoża, Litwy, Polski, Rusi
Rodzimy się w swych chęciach jak bracia przyrodni;
Przecież by raz na Wołosz wynajdźmy się zgodni.

P. Kmita.

Gałęź troista w trójkę rozchodzić się musi
Zawdy.

B. Dziaduski.

A dwie modlitwy we dwu rytuałach
To się na jednej ziemi tak plątają krzywo,
Że ni to Bogu żniwo, ni to czartu żniwo. (d.)

Xże Radziwiłł czarny.

Jako widzę, Waszmościowie radzicie o mszałach,
Nie o dobru publicznem.

Orzechowski.

A zkąd, by nie z Boga
Idzie publiczne dobro?

Ilja Xżę Ostrogskie.

Polska nie uboga
W kapłanów, toć powinni dawno pokój sprosić!

/: Tym mówiącym zbliżył się Stańczyk, a zdjąwszy swoją czapeczkę przed Xięciem, szydersko po Orzechowskim spojrzawszy. :/

Stańczyk.

Kanonicy przemyscy mają z sobą dosyć
Zatargów o swe dobra, o swe połowice,
By w modłach pamiętali aże na klucznicę, (e.)
Co im chleba dodawa.

/: Śmiech – rozmowa ustaje, ino w tém kole ciche szepty. Koło braci młodszych głośniejsze. :/

Smolik. (: do swoich :)

Co stawić, czém? – sztuką

Nam szaraczkom te panki całe głowy tłuką, (†)
Swemi tytuły, jako chłopięta w popielec
Garnkami po ulicy; a ich tytuł cielec
Ze złota lub zza granic, to niewart szlachcica.

Kaczkowski.

Tako nie było nigdy dawniejszemi czasy!
Czy my to konie aby dzielić się na rasy?
Tak dobry hełm stalowy jak i rękawica,
Bo oboje ze stali. Krew ich a szlachcica
Jedna...

Kościelecki.

Wszystka krew jedna.

Stańczyk.

Krew jedna? czcza plotka
Panowie szlachta; kto rzekł, to istna czeczotka
Nie szlachcic. Jako! jedna...

Smolik.

Jedna.

Stańczyk. (: zdejmując myckę :)

Dzięki za to.
A więc i ja z dzwonkami równie szarzyn swatą?
I ujęprzy war panków pod boki w tej wierze,
Państwo, szlachectwo głupstwem stolę w jednej mierze;
A jeszcze wam sprowadzę chłopa na dobitek,
Chłop z wami stanie w równi. Ja stłonię, bo zbytek
Głupstwa-by było.

(: głośne śmiechy w starszych braci kole; Stańczyk znów spokojnie przechadza się między obu kołami :)

Smolik

Znać że błazen pański,
Bo z pańska gada.

(: zawiązuje się rozmowa w kole starszych :)

<u>Górka.</u>

Trudno, trudno patrzeć sucho
Na wołoskie grabieże! Tamby miecz pogański
Przeszedł aże pode Lwów. O pokoju głucho,
Rozległe głucho; przecież, kiedy brat zakrzyczy
Z bolu, nam nie osobnych zamyślać zdobyczy,
Ale mu zanieść pomoc na ręku, na szabli. (g)

<u>X[ia]. Radziwiłł czarny</u>

O! takby wypadało: przecież w naszej Litwie
Kiedy źle się tyrało nie w jednej gonitwie,
My do was braci polskich z prośbą; a wy na to
Panowie bracia rzekli: „Niech Litwę rwą djabli!
„Dość mamy swojej sprawy!" – Dziwnaż, że z odpłatą,
Mierzy dziś Litwa?

<u>X[ią]. Ilja Ostrogskie.</u>

Skąpo nieraz i dla Rusi
Było na waszej łasce.

<u>Orzechowski.</u>

Kto czyni jak musi.
A nie jak powinien, za złeć mu nie biorą;
Bo i Ruś do Korony przylgnęła z pokorą
Dopiero, gdy splątana Litwa z Polakami
Zachciała lepiej bracić z Polską, jak z Lutami,
Opłacać haracz Litwie. – A Litwa staniała,
Gdy pod siodło Iwana Bazyla iść miała.

<u>B. Dziaduski.</u>

Zgubna niejedność bracia! Wy braćmi po krzyżu,
Braćmi po tej ziemicy co aż do Bałtyku.

<u>Gorka.</u>

Braćmi i po żelaznym tym naramienniku,
Co nas po bojowiskach w jednym gnał paiżu;
A zamorska haubica, a tatarska strzała

W lufach naszych krwi jednej, lachiej krwi szukała.
Tron u nas zobopolny, wiara zobopolna,
A przygoda maż bydź inna? A rana szczególna
Nie dotyczé całości?

X^{ze} Radziwill.

Jak dotyczą prawa,
Tak dotyczé i szkoda; wam inna ustawa
Rządzi, a nam inna; wam się chce Wołynia, (h.)
Podlasia, Ukrainy; my wam chcemy ręce
Podać, nie ziemie nasze; wy nas w niemowlęce
Chcecie paski okolić, to nam żal przyczynia.
Sejmy, to wasze sejmy; co nam za przysługa
Że Polska sejm zwołyiva i stam na nas mruga,
Na Litwę? a my pędzim jak folwarczna czeladź.
Równe niech będą prawa, gdy równie trza przelać
Krwie, aby je dostąpić.

Ilja X^{żę} Ostrogskie.

Co tam sejmy walne,
Kiedy nam ciężą prawa Rusi senioralne. (i)
Jeden król; — a w senacie przodek Polak trzyma,
Polak wybiera króla, a Rusak go ima
Chce czy nie chce; ino go pokłonem nawiedzi,
Potknie ślinkę za niego i tak z cicha siedzi
Jak błazen Stańczyk, gdy mu kto dzwonki odejmie.
Ciasno jest pierwiom naszym na koronnym sejmie.

Gorka.

To się jakoś ugodzi.

X^{żę} Radziwill.

Kiedy bracie? kiedy?
Wam czas, ale Litwinom ten czas służy biedy.
A kiedy przyjdzie? czy się z królątka wypisze,
Co go włoski francymer do tronu kołysze?

(Milczenie. — Koło braci młodszych zmowa się do starszych i otaczają ciekawie Radziwiłła, a ten uroczystym głosem dalej rzecz prowadzi)

Ciekawy czas! gdy babskim naukom nie stanie,
Troiste berło porwie jak rańtuch w swe ramie;
Mężkość, rycerstwo prawe od siebie odfuka
I tak się stryje w matkę, że go Lach nie zszuka.

<u>Kaczkowski</u>, rotmistrz.

Dobrze prawi pan xiąże; na senat przystało
Żądać po starym królu, by ono przejrzało
Młode królątko w strzelbę więcej jak w kobiecy
Umizg; bo gdy za młodu nie zwącha haubicy, (k.)
Ani szyku nie zajrzy, ni męża w ordynku,
To nie szczerutko o tym ojca upominku
Ojczyzna mówić będzie na potém..

<u>Gorka.</u>

Jam radził,
Jam prosił, jam Augusta w Wołosz wyprowadził
Z Janem z Tarnowa; cóż? gdy dworaczka namowa
Główniejsza! — Więc zmotali.

<u>Kościelecki.</u>

A od czego głowa?

<u>Stańczyk.</u>

Głowa młodszej sałaty lepsza jak waszmości,
Bo nią można obdzielić i królewskich gości.

<u>Smolik.</u>

Ale nie strawna, nawet i tym co czczą ją.

<u>Gorka.</u>

Odepchnęli nas z prośbą, nietaktem gotują;
Gorkom nietakt! to śmiech; ale przyszłość zgubią!

<u>Stańczyk</u>

Dziw! że gdzie dołki kopią, tam Gorek nie lubią.
To nie dziwne dla błazna; jam zbrukał me szaty
Chodząc za młodym Panem z komnat do komnaty;

Jam mu przekładał moje błazeńskie przygryzki,
Posypałem by szafran kobiece półmiski
Żartem moim; on żałł, nieraz krew zobaczem
W oczach jego, — francymer ugasi ją płaczem,
I dziecinnieh znów dzieciuchem: bo wam myśli gwoli /: z czułością coraz większą :/
Że błazen, to go w serce już nic nie zaboli.
A w głowie mu tak pustka, jako w tej komnacie
Co dla gościa sprzątniona. Oj źle w śmiechu szacie
Nosić myśli nieśmieszne i serca zbolałość!

/: W tem, z wielkim trzaskiem otwierają się drzwi od strony królewskich komnat: Bona poprzedzona marszałkiem przechodzi dumnie głębią sceny z całym swym dworem. Panowie dworscy na swe miejsca skwapliwie powracają; na środku sam jeden został Stańczyk, za odchodzącą królową wstrząsł pałką i przerażonym rzekł głosem: :/

Patrzcie! to nasz strach przeszedł!

/: niezabawem za Boną idzie August do jej komnat; Stańczyk pokazując na niego :/

A to, nasza żałość!

/: Wszyscy milczą. Z tej samej strony od króla komnat wychodzi Jan Ocieski kanclerz W. K. :/

Ocieski.

Król Jegomość czynnemi zarzucon sprawami
Waszych miłościów na dziś nie przyjmie. /: odchodzi :/

Xże Radziwiłł.

Tak z nami
Już od weneckich zapust! — Skończą ja zapusty.

Smolik.

Warto! bo czas daleko, minął czwartek tłusty.

Firlej. /: wchodzi od królowej komnat :/

Hej! Stańczyk do królowej.

Stańczyk.

Stańczyk zaraz stanie. /: Firlej odszedł :/
Ja poseł głupstwa, to mnie pierwsze posłuchanie
U królowej jejmości; po mnie w drugim rzędzie
Firlej w nowym żupanie. /: odchodzi :/

Smolik.

Źle z Stańczykiem będzie,
Nie chciałbym w jego skórze postać.

<u>Gorka.</u>

Ale w sercu,
To i Gorkaby zachciał.

/: rozchodzą się zwolna szepcząc sobie na ucho. :/

<u>Scena 2ga.</u>

/: Komnata Bony owa co w Akcie 1m: i 1szej scenie. Dwór i francuzi stoją w dali; z drugiej zaś bliżej Bony Z. August rozmawia z doktorem Montio; Bona na przodzie sceny długo z cicha łaje Stańczyka. :/

<u>Bona.</u> /: kończąc :/

Reszta na kobiercu;
To pójdzie na rachunek co spełnisz z rozkazu.

<u>Stańczyk.</u> /: do siebie :/

Oj! że to krucho będzie wiedziałem od razu.
Mniejsza; jam mu poświęcił i skórę i kości.
/: głośno :/ Stańczyk wypełni rozkaz królowej jejmości.

/: Wchodzi Barbara Gasztołdowa; suknia czarna jeszcze krojem zakonnym, i rzuca się do nóg królowej :/

<u>Monti.</u> /: do siebie :/

Przyszła!

<u>Barbara.</u>

Ja do nóg waszych, łaskawa Królowo,
Za życie niegdyś w dziękach moje niosę słowo
Nie zwykłe które się w wszy tak wielkim godnościom;
Alem ja się pytała rzewnego uczucia,
Bogam wezwała, aby dziękować miłościom
Waszym, królowo moja!

/: Królowa ją podniosła z kolan :/

<u>Z. August.</u> /: mówiąc do Montiego :/

Jakże strój zakonny
I zakonne schowanie!

<u>Monti.</u>

Wasz wyraz nie płonny;
To Gasztołdowa żona. On ją od zepsucia

Świata, jak mówi, w trockim zamku przechowywał.

Z. August.

Jam jej w dworcu nie zaznał, nigdy nie zdybywał.

(: patrząc ciekawiej :) Gładka twarz.

Bona. (: do Barbary :)

Kasztelankę wileńską tak cenię
Jak dziecko nasze, wszelkie jej boleści żenię
Z mojemi; bo zasługi męża wojewody
(: z ironią :) Szerzéj jak pamięć moja godne są nagrody.
(: do Montiego :) Jakże go tam znalazłeś doktorze?

Monti. (: z ukłonem :)

Królowo!
Przy waszych uszach nie śmiem ino prawdy słowo
Wyrzec: źle bardzo. (: pojrzał z lekkim uśmiechem na Bonę :)

Barbara. (: przerażona :)

Jako! doktorze. — Królowo!
Jako! mąż mój źle, bardzo? — Przed dobą mówiłeś
Słowo o zdrowiu jego!

Monti.

Jam cieszył.

Barbara.

Cieszyłeś?
Toś ty cieszył doktorze! — A jam w serce brała,
A jam się tak radośnie szczerze kołysała!
On źle bardzo doktorze? czy was co nie myli?
To mój mąż, wojewoda trocki; on tej chwili
Zasnął, to jemu lepiej. Królowo! Bóg z nami!
Doktorze! o Bóg z tobą! — toć temi słowami:
„Lepiej, o jemu lepiej.” — żegnałeś mnie wczora;
Toć przecie my nie zmorzę nicli, my doktora
Żegnali wczora w wieczór! — Jemu lepiej, lepiej;
To mi spać dało nocą, to mnie i dzień krzepi.

Bój się Boga doktorze! to omylna ptacha.

Z. August. [: do Montiego :]

Jak ona z serca prosi! – Jak go czule kocha!

Bona. [: zimno :]

Co natura kazała, doktor nie odwoła.

Barbara.

Więc on źle bardzo! Boże! i nadziei zgoła

I nic mi! i płacz ino. Litujcie nademną,

Nad moim mężem, Panem! a więc już daremno!

[: pada na kolana :] Królowo! matko nasza! każ jemu, niech przecie

Użyje całej siły! – On na szerokim świecie

Musiał zapoznać tyle leków i nauki;

Każ! by mnie nie odmówił; on zna wszystkie sztuki,

Nie mógłże-by mi męża powrócić i Pana?

Z. August. [: do Montiego :]

Słuchaj! ona od męża kochana?

Monti. [: śmiejąc :]

Kochana?

Jak koń co mu jest w stajni, jak zbroja na ścienie;

Kochana z polska.

[: Bona niekiedy patrzy w synu :] Barbara. [: wstaje :]

Więc mnie już wdowie odzienie!

Ktoż mi będzie pomocą? z kim mi życiem dzielić!

Przyjdzie dzień, to samotna stęsknię po komnacie;

Przyjdzie noc, to mi padnie z łzami się pościelić;

Pana, męża nie będzie! – Jak w ubogiej chacie

Biedno będzie Barbarze! – Bo najkosztowniejszy

Sprzęt mojego bogactwa, bo najszacowniejszy

Klejnot mojego domu, toć już grób zabierze.

Z. August. [: rozczulony :]

Słuchaj Monti! worek mój, łańcuch mój w ofierze!

Co mam i co będę mieć, twoje, wszystko twoje;

Ratuj jej męża wnet!

<u>Montic.</u> |: z uśmiechem :|

I królestwo moje?...

Wszystko daruj! – Choćbyś dał, co Bóg chce, odbierze.
Montic nic nie pomoże.

<u>Z. August.</u> |: coraz mocniej :|

To jej litość daj!

Dajcie jej litość! – To nie włoski kraj,
Tu żona kocha! – Tu wdowa, to ptacz,
Ptacz wieczny! – Monti! każdą chwilę znacz
Jakby nie była w jej życiu; gdy straci
Męża przez kon, Zygmunt ci zapłaci,
Ty ratuj go! – Ja jej żałość znam
I czuję piersią; i ja taką mam
W mém sercu boleść: a gdyby mi brat,
Lub ktoś tak luby żegnał ziemski świat;
Tobym tak płakał, takbym piersią dał
I rzucił nawet berło, a żałobę wziął!
O! biedna ona!

<u>Barbara.</u> |: postyszawszy :|

Królewicu! Panie!

Proś matki waszej o politowanie!
Boście jej syn, a ja nie mam syna
Coby się za mną do jej rzucił nóg!

<u>Bona.</u> |: dając rękę pożegnaniu :|

Kasztelanko! daremna pomoc.

<u>Barbara.</u>

Jeden Bóg,

Bóg tylko przy mnie!!

<u>Z. August.</u>

Barbaro! i ja.

Monti, chodź za mną!

[: podaje królowie rękę Barbarze; Mochio idzie za niemi, wpierw spytawszy wzrokiem królowej :]

Stańczyk.

Znów się coś zawija
Z litości do miłości.....

Bona. [: oglądnąwszy się :]
Stańczyk jeszcze tu?

Stańczyk. [: spiesząc odejść :]
W czas i tam będę.

Bona. [: do Luzzi i Palli :]
A mnie, chwilę snu;
Skołatanemu sercu, skołatanej głowie
To choć królewska praca cięży po połowie.
[: śmiejąc się z ich osłupienia :] Wam robię tu pogadać. [: odchodzi na lewo sceny, dwór w prawo; pozostaje mo Luzzi

Scena 3cia

Luzzi i Palli.

Luzzi.

Czy Palli przejrzała
W co się to wije? – Palli! tyś narzędziem
Była i swej zaguby. – Nie Palli wygrała,
Kiedy on słuchał; już go mieć nie będziem
Przy swych kolanach. Zestraszyłaś dziecię
Od pastwisk, teraz chodzi należycie
Już o swej mocy. Ni na twojem łonie
Uśpi się głowa; bo mu Barbara już płonie
Całą nowością szału. Tyś biedna myślała,
Żeś wiosłem pilnem wodę sobie brała
Pod ostatnie czółno, by bez Luzzi płynąć!
Palli+. a był ktoś trzeci co chciał nas wyminąć,
Bośmy już jej za wielko ciążyli na synie.

Palli.

O! jam przejrzała teraz Barbarę! – Któż mnie

Zdrady? gdy się tak z gładka w poradę osłoni;
Zazdrość mi była w sercu: Palli ją wroni
Słowem; to Bona chwyta i sadzi mi w uszy
Takie myśli, co ledwie mnie nie zbawią duszy:
„On ino twoim będzie, jak Luzzię podsłucha„.
Dziwnaż? że mi te słowa tak wklęsły do ucha,
Ażem zawierzyłam, aż w nich cała żyję?

Luzzi.

Teraz ci iść do niego, uwczepić się na szyję,
W głowę i w oczy moje wierzyć, jak w źwierciadło
W którem miał się przeglądać, pókiby nie zbladło
Lice wasze z rozkoszy, a moje – z płakania.
Gdzież jest twój dzień choć jeden, dzień co od świtania
Do zmroku nie miał gwiazdy, nie miał słońca coby
Oderwały go od twych oczu i osoby?
Miałażeś dzień choć jeden taki? – to pominę,
I żal mój, Palli zdradna, za taką przyczynę.
Ale tyś go nie miała; bo ten dzień godowy
Był ino jeden w życiu Luzzi i Augusta,
Dzień jeden co nagrodzi przyszły płacz wiekowy;
A tak był bujny sercu memu, iże usta
O nim nigdy nie rzekły, wszystkie usta moje,
Choć lubują w pstrych słowach. – Palli! mnie na dwoje
Było wróżyć w przyszłości: żona lub kochanka!
On ma krew rułoską; kto nie? – jednego zaranka
On mógł wstając z kotary zebrać się na słowo
I rozkrzyknąć: „ma Luzzi jest waszą królową„.
On mógł: bo miał po temu pierś co skryto ssała
Upór z namowy mojej; jam go zhodowała
Nie po myśli dla Bony. Z wierzchu ino woda
Ale lód spodem. Jam Wenetka młoda
Zamyśliła o mojej przyszłości szeroko,

Chciałam mu w piersi leżeć, aż w łodzie głęboko,
Bym mu przymarzła kiedy on skrzydła rozwinie;
W on czas stałabym w duszy jak mucha w bursztynie,
Pewna, nienaruszona wrzaskami ni Bona,
I spoczęłabym, Palli, aże pod korona.
A tobie Palli wszystko, wszystko prócz Augusta;
Tobie aksbanty z perel, złotem tkana chusta,
Zabawy tobie przy nim, cały dwór w kolan,
Włoskie wdzięki książęcém łożem, w tych polan
Książąt nie brak, czy Ilja, czy też Radziwiłła;
A Palli tylko zachcieć, by w mitrę wstąpiła.
A teraz co nam?

<u>Palli.</u> |: z rozpaczą :|

Luzzi!

<u>Luzzi.</u>

Palli! – podnieś ducha!

|: z cicha :| Nas dwie włoszek, a ona jedna.

<u>Palli.</u> |: z obawą :|

Kto podsłucha!

<u>Luzzi.</u>

Daj mi rękę, my społem....

|: zbliża się ku Palli i poczyna się między niemi cicha rozmowa, gdy w téme rozsuwa się szkarłatna środkowa opona i z za niej wychodzi Stańczyk. :|

<u>Stańczyk.</u>

Do paktum ja trzeci;
Przyjmijcie błazna Luzzi. – O! wam włoskie dzieci
Pusrzać stoczek po wodzie na korkowém drzewie,
By męża zrzukać...

<u>Palli.</u> |: zatrwożona :|

Stańczyk!

<u>Luzzi.</u> |: z cicha :|

On może i nie wie...
On mógł wpół nie dosłuchać... – Co Stańczyk porabia

Po królowej komnacie?

Stańczyk.

Błazen się zabawia
Po błazeńsku, słuchaniem; gdy kto z pyszna sądzi
Językiem jak wy Luzzi, to błazna sprowadzi
Choćby o sto mil.

Luzzi.

Więc tyś zasłyszał nieboże?

Stańczyk.

I dobrze. – Tak mi wszak przybyło na dworze,
Że Stańczykowi słyszeć kiedy grusza rośnie,
Słyszeć gdy kto na boku zapiśnie miłośnie...

Palli.

Więc ty na to zeszedłeś, by nie tylko bawić
Ale szkodzić? – Leć! pobież królewica zbawić,
Kładź mu w ucho co niosła do ust troska płocha;
Co nam z tego? wasz Zygmunt już tam inak kocha.

Stańczyk. (: żywo :)

Kogo?

Luzzi. (: cicho :)

Kogo? – Barbarę, Gasztołdową żonę..

Stańczyk.

Księżnę? – I to za mało, on nosi koronę.
Choćby tak, mniejsza; Stańczyk nie na to się trudził,
Nie na to za szkarłatną oponą się nudził,
By wiedzieć kogo znowu chłopię polubiło:
Jam słuchał ile z pleców kary mi ubyło.
O! lżejsze teraz plecy moje. – Marszałkowi
Uchronię wiele pracy, gdy Stańczyk pomówi
Z królową Boną o tem co wyście gadały.

Palli. (: dając mu swe perły :)

Stańczyk! weź perły moje.

<u>Stańczyk.</u> |: ważąc je w ręku :|

Pełny sznur, a biały;
Nie biorę. — Na co perły? — Krótka u mnie szyja,
A plecy długie; dobrze się w nich kij uwija
Pana marszałka, kiedy królowa pomowi,
Choć i błazeństwo zrobić nie szkodno błaznowi
Gdy królowa nakaże...

<u>Luzzi.</u> |: z uśmiechem :|

O! znam twoje chcenie;
Tyś syna króla swego ukochał pieszczenie.
Tyś mu jako duch dobry w serce prawdę wierzył,
Ni królowej nie wierzył, ani nam nie wierzył
Byśmy o królewicza dobru zamyślali.

<u>Stańczyk.</u>

O, to prawda.

<u>Luzzi</u>

Więc słuchaj to com rzekła Palli,
I słuchaj więcej; bo serce rozgadam
I głosem szczerym myśli wypowiadam.
Kocham Augusta, to jak Bóg na niebie!
Ja go kocham; ale tak jak wy, nie dla siebie
Dla niego kocham: mniejsza co mi ztąd wypadnie,
Czy korona, czyli płacz; niech tylko nie kradnie
Chwil jego, uczuć jego inna białogłowa.
Wam nie znać jak go teraz splątała królowa,
On się zagubi August; Barbarę poddali.
Barbarę Bona, Monti, przy łożu zdybali
Z żalem, płaczem niewieścim rozlaną zbytkownie,
By dla zabawy syna nową zdmuchać głownię.
On zaszaleje August, w nowości tak rozhuka,
Że w Gasztołdowej gachu nic się nie odszuka,
Ni Bonie syn, ni wam król. — Mnie płacz, łzy, — to woda,

Niewieścia woda, płynie, wyschnie. – Tak trzymacie |: udając wesoło :|
O nas Stańczyku, prawda? – O i prawdę macie..
O mnie nie, lecz Barbara! – Toć ją, a króla szkoda!
Podawałeś mu nieraz rękę; teraz głowa,
Głowa wasza potrzebna. Trudnoby ci schylić
Głowy aby podstępy królowej omylić?
Zepchnąć z boku Barbarę? – Patrz! hetman z Tarnowa,
Andrzej Górka kasztelan, chętnieby zachcieli
Wyrwać młode paniątko z niewieścich zalotów.
My wam pomagać będziem, my z serca wyjęli
Co nam wadziło – Bonę; – a wy?

Stańczyk.

A ja gotów;
Aby ino to prawda? byle ta ochota... |: zamyśla się :|
|: do siebie :| Co nie powie Włoszka gdy ją zawiść miota!
|: głośno :| Jam gotów wszystką piersią; ależ jak ugodzić?

Palli.

O, nie tutaj! tu można pod szkarłat podchodzić,
Tu można słuchać; i gdy mówim, to ktoś czwarty
Mógłby w twoje i w nasze pozaglądać karty.

Luzzi. |: oglądając się :|

Puśćmy wieść o zalotach Barbary we dworze

Palli.

A potem?

Luzzi.

Obaczymy.

Stańczyk.

Może Bóg pomoże. |: rozchodzą się :|

Scena 4ta.

Komnata w mieszkaniu Gasztolda; w środku sceny odrzwie wpół zasłoną zieloną zakryte prowadzą do sypialni Gasztolda. Barbara i Z. August przy nich wpół nachyleni w ciemną komnatę patrzą ciekawie. Po chwili z sypialni na palcach wychodzi Montio i z cicha mówi:

Montio.

On we śnie, – sen mu lepszy na dobie jak leki.

Przybędę w razie...

Barbara.

O wy! niebiąpie opieki!

Moja jedyna prośba, to życie mężowe;

Moja jedyna pomoc, to trzy białogłowe;

Niemi życia nie nadam, jeżeli nie sprozę.

Montio. |: biorąc na ubocz królewica :|

Daj jej pociechę, Panie! – Ja doktorskie nożę,

Serce i usta, niemi trudno zafrymarczyć;

I nadziei wystarczyć i śmierci wystarczyć. |: odchodzi :|

Barbara. |: po chwili :|

On ci mówił coś, Panie?

Z. August.

Trochę kasztelanko!

Doktor Włoch, dziwo, lubi cichą pogadankę,

Strwożyć, aby dać skutek swoim lekom znaczny.

Barbara.

Lubi tak? – A gdyby cios uderzył opaczny?

Z. August.

Cóż ztąd?

Barbara.

Ztąd płacz mój wdowi i ubogie chwile,

Z którémi wlec się przyjdzie na męża mogile.

Z. August.

Cóbyś tak krótką dobą chciała śmiał ten spożyć

I młodość z starym mężem w jeden grób ułożyć?

Barbara.

Młodość moja nie moja, mego męża, Pana;

Barbara Gasztołdowi na życie oddana,

Kiedy rękoma, płaczem, modlitwą u łoża

Nie może go uzdrowić, więc Opatrzność boża
Inną jej zapisała powinność małżeńską:
Jej stać przy jego trumnie z koroną męczeńską,
I póty do niej pukać łzami i powieką,
Aże się jej otworzy to małżeńskie wieko.

Z. August.

O! ja was nie zaznałem polskie białogłowy!
Znam słodkie miękkie czucia; lecz ten płacz surowy,
Co w nim łzy ciężkie jakby topnęły ze stali,
My się z niego na dworcu naszym naśmiewali,
Bo krój waszego żalu jak sukni zakonny,
Bo wzrok wasz w lubowaniu jak w kościele wzbronny;
Wam zdjęte powinnością serce tak zmężniało,
Że krom myśli o sobie nic tam nie siedziało.
Takiem was sądził.

Barbara.

Inak królewicu Panie
Czyż winna białogłowa pokazać swe chęci?
O Bogu, to do myśli; o męża staranie
To do uczucia żony należy. Co święci,
Co zaboli tam w głębi, co przemknie jak dziwo,
Temże trudzić małżonka albo kogo z ludzi?
Tak nie kazały matki nasze. Przecież żywo
I one czuły, jako czarem myśl poudzi,
Zagra jakby organy w całem wnętrzu ducha,
Że nasza biedna głowa tej muzyki słucha
Aż do zbielenia włosów. O! ta myśl jak zacznie
Kręcić się krzywo w duszy, to na świat opacznie
Karze nam patrzyć, roić, co nigdy nie było;
To jakby kto w dzień zasnął i w dzień mu się śniło
Z rozwartemi oczyma i to bez skończenia!
O! wtedy chce się jakoś miękkiego ramienia,

Na którém wsparłszy głowę, utuliwszy skronie,
Możnaby cicho słuchać co tak w duchu płonie.

(: pauza :)

Ongi przy łożu męża w takim grzéch popadła:
Myśl, dziwo, głowę moją na przekor osiadła,
I widziałam młodego rycerza na koniu;
Koń mlékowy wraz z nim śmiał po zielonym błoniu,
W dangowskich krzakach okiem coś przemawiał do mnie
I ręką, mówił, ale zdala, nieprzytomnie.
Koń nosił, jam leciała; krzaki, tarń kolczaty,
Zakrwawiły mi nogi, postrzępiły szaty;
Leciałam, bo mi jakoś tak serce do niego
Lżéj do ziemi leciało, i bezprzytomnego
Dognałam. – Serce biło; zerwałam od siodła
I podałam mu ranie i ku domu wiodła.
A on odrzekł mi lubo: „O, Barbaro moja!
„Tobie lecieć tak za mną, jako koń mój bieży;
„Tobie i zginąć ze mną, jako pierśna zbroja,
„Bo kto na jednym łożu, ten i w jednym leży
„Grobie.„ Mnie co powiedział, to się składało miło.
Żeby to się kochało tak jako się śniło
Lubo, młodo i wspólnie pieśniami całemi;
Toby i nie żal w jednéj zakopać się ziemi.
A tu się męża kocha na jawie jak Pana,
A tu się siedzi nieraz zamyślna, stroskana;
Ni mu powiedzieć troski, bo troskę wyśmieje;
Ni mu gadać nadziei, bo sfuknie nadzieję;
Ani mu skarżyć boleść, bo ma rozum starszy.
Słabością przezwie boleść. – O tak, tzę stanęży
Siądź do krosna i w kłębek pozwijać te nici
Z myślami białéj głowy! – Wy pancerzem zszyci,
Nieuwrobieni do bolów rzucicie nam słowo

Urągania czy żalu: „Biedna białogłowo!”
Lecz dognać nas w cierpieniu.... (: wstrząsa głową :)

Z. August. (: chwyta jej rękę :)

Gasztołdowa żono!
A gdyby dognać? – Gdyby zrobić tak
Serce do bólu jak do lotu ptak
Swych skrzydeł dwoje? gdy skrwawię, tono
Zdradzeniem młodych towarzyszek, sług;
To i nam mężom przyjdzie na myśl ból
I skraje piersi jak żelazny pług;
Zniechce się życia, choć w przyszłości król,
Król miał być ze mnie! – Dziwne życie moje!
Ni tak ostre jak mężom przystało,
Ni tak niewieście, by się obawiało
Miecza i krwi. – O! ty mnie na dwoje
Barbaro bierz! – i mnie twoje imienie
Nieraz do szorstkiej piersi zakołacze;
Do mego boku niewieście odzienie
Tako przywykło jak niewieście płacze;
W oba schowany od mała, wzrosłem,
W lackiem ja życiu złotskiem płynął wiosłem;
Takoż kochałem przez imienie głęboko,
Takom popatrzył w rozkosze wysoko
Jak mego sokoła oko.
Takem zapragnął nieraz by kto wszczepił
Serce ku memu, jak wy do żywego
Konia i jeźdźca, by mnie w biegu krzepił,
W biegu żywota; by nie znał żywego
Czucia, krom dla mnie. – Może to za płocha
Była myśl moja; tak się Boga kocha,
Jako ja chciałem ukochanym być:
Lecz tak mnie matka nauczyła śnić,

Taką mnie Luzzi kołysała ręką,
Taką mi Palli śpiewała piosenkę. —
Od męzkich mi zabaw odrzucili myśli,
Z całusem, z pokusą do serca mi przyśli;
Bo tobie nie znać co włoska pieszczota,
Jaka tam do zabaw, do uciech ochota:
Niewiasta jak słońce weneckie przejrzyste
Gdy idzie do łoża na zachód, to czyste
Nie schowa się w chmurę ze wstydu, lecz cało
Rozbierze swe wdzięki, i stąpa tak śmiało
W kochanka objęcia. — (: z przypomnieniem :) Tak to się kochało!

Barbara. (: pomieszana :)

A, królewicu! kędy poszedł wstyd?
Powinność męża, królewska i zbroja?

Z. August.

(: wskazując na serce :) Tu ściekł mi wstyd, o Barbaro moja!
I aż mi moja rozgorzała krew. —
Chwały mi chcieć, bom rostkowy ryt;
Wyspał się dzieciuch, a budzi się lew.
(: tkliwie :) Ale mi serca nie przemienić w tonie
I tęsknię za tem, co we mnie utonie
By komar w świetle.

Barbara. (: z przymówką :)

Na dworcu tam pań,
Co dają serca. . .

Z. August.

Dworska, włoska dań,
To haracz turkom; ja to u nóg mam.
Mnie jeśli serca, niech go wezmę sam.

Barbara.

Gdzie?

Z. August. (: z wybuchem :)

Tutaj!

Barbara. (: przerażona krzyknęła i odskoczyła :)

Jako! tutaj do zdobycia
Serce! gdzie? — obok męża co bez życia
Tam jęczy w bolu i nim zamknie oczy
Już na dziedzictwo jego inny rękę toczy!
Moje to serce? — Nie! to męża, Pana.
Bóg nas połączył, jemum ci oddana
Z woli rodziców. Bóg, rodzic, to święta
U mnej niewiasty; jam ci nie panięta
Włókie, co z powinności strzygą się jak z wełny!
Mąż u mnie w domu i w sercu tak pełny,
Że o tém choć zamyślić, to się dusza stracha:
Gach, choć królewic . . .

Z. August.

Tutaj śmierć zagacha
Służy ci cna Barbaro! — Gasztołd nie dożyje
Jutra.

Barbara.

A ty chcesz jeszcze bym dziś dała szyję?
A on jutro by skończył? — Toś z litości bieżał
Królewicu, byś w sprosności serce me najeżał?
Jutro! — Więc całe jutro mój Gasztołd-by przeżył,
I patrząc w twarz moją, mej żałobie wierzył!
I przeniewierczą żonę Bogu by polecał,
Słowem swojej pociechy przyszłościby rozniecał,
Jako dla swojej wdowy! — a wdowa zakała
Jednémby uchem śmierci, a drugiém słuchała
O weselu! — Auguście! przecie litość miejcie... (: klęcząc :)
Słowa wasze, przez Boga! to w żarty rozwiejcie,
I myśli wasze czyste na gospodę sproście!
Więcbyś chciał: by stypowi i weselni goście

Razem się tu na zamek mego Pana zbiegli?
I służy co przy trumnie z pochodnią go strzegli,
Niezgaśnięszy pochodni poszli przed ołtarze,
I sprowadzili wdowę do ślubu!...– Bóg skarze!...

Z. August.

Niech mnie skarze ześle prędko w uznaniach zagonił!

Barbara.

Tyś do tronu, Bóg będzie namiestnika bronił,
Ale się nad niewiastą ociężył mu ręka!

Z. August. |: klęka :|

Nie Barbaro! – Patrz! Zygmunt tu w kolana klęka
I prosi go o całe uznanie mu winy!

Barbara.

Za wami modlić będą całe twe krainy,
Ja sama modlić będę jak za mego Króla!
|: klęka :| „Nadzmną, niech się tylko twoja spełni wola!”
|: z za sceny doleta głos Gasztołda słaby i ponury :|
Barbaro! |: na ten głos oboje zdrygnęli :|

Barbara. |: z cicha :|

To głos Boga, on do męża woła!
|: z za sceny znowu głos: :|
Barbaro do mnie!

Barbara |: do Augusta tuląc się z bojaźni :|

Słyszysz! jam mu do padoła
Winna iść, niżli myślą brudzić się nie stronnie;
Bo ten głos ciągle woła: „Barbaro! idź do mnie!”

Akt 3ci

Scena 1sza

(: Komnata sypialna Gasztołda z Aktu 1. sceny ostatniej. Na łożu burką okryty leży Gasztołd, w nogach mu stoi żona, a Zygmunt August przy wezgłowiu wojewody siedząc, oparł swe ramię na jego poduszkach. :)

Gasztołd.

A dziś mi lepiej, królewicu Panie,
Bo krzepi twa bytność i politowanie.
Kiedy ja patrzę na was w tak młodzieńczej wiośnie,
To mi niby młodemu młodsze serce rośnie.
Kiedyś ja byłem takim! Chłopię w Bujarki
Gdym z królem Aleksandrem gonił na powarki
Wołosze; a wszędy oni witali nas lasem.
Drzewne to były czasy: my szlachta z hałasem
Łomaliśmy się z dęby i z zdradą wołoszą,
Że aż ręce o inne rękawice proszą,
Tak się zdarło żelazo wojenną potrzebą.
Boć to nasz król nieboszczyk, daj mu Boże niebo!,
Krótko ale na koniu żył.

Z. August.

Daj mnie tak Boże!

Gasztołd.

O, daj ci! to me ręce w krzyż spokojnie złożę,
Ino wyjdź z dworu, serce zaraz ci zagada,
Cnota żelazo; w dworu na cnotę rdza pada:
Pod gołe niebo z cnotą! to się ona przejrzy
W czystém niebie jak w wodzie, i Bóg na cię wejrzy.
Bo piękne włości nasze, Korona i Litwa;
Bo piękna przyszłość twoja, rycerska gonitwa.

Z. August. (: na poły do Barbary :)

O piękna! — Byle serca z kim przyszłość podzielić!

Gasztołd.

Jakto! Nie ma z kim, królu? – Dwie oblubienice
Patrzą za wami okiem, jako dwie siostrzyce
I czekają by tobie przyszłość uweselić.
Jedna się zubierała w żółte zboża, niwarta,
I twierdzami, murami już ci w pierś doparta;
A druga się zawita w swoje bagna, knieje,
Dęby swe rozłożyste, wielkie jak nadzieje
Które w tobie pokłada, to dla ciebie chowa
Jak szaty swe weselne, Litwa, przez królowa.
To wasze białogłowy, tobie się zniewierzyć,
Takby się obie mogły w waszém sercu zmieścić;
To dworzec dla Zygmunta Augusta, to klatka
Młodemu orłu: w niego niech się zamknie matka
I roskorzować każe. – Bechter, koń, a szabla,
To dla cię francymery, tamto mitwić djabła;
Bo jedna doba bez nich, jedno zapomnienie
Może cię życia stracić, lub pogrążyć sumienie.
Rodząc się królewicu, tyś się z niemi żenił,
Przy obu piersiach młodo jak wąż się pierścienił;
Teraz starszy, ściśnij je kłębami do siebie,
By cię jednego mieli, jedno słońce w niebie.

Z. August. (: z zapałem :)

Będzie tak, w żywy Bóg, srodki wojewodo!
Co było tam, mało dbam, to przeszło jak z wodą;
Ojca krew, wasza krew z wiekiem mi dojrzewa;
W skrzydło pierz, w kudły źwierz, a mnie męzka grzywa
I również dłoń, Gasztołdzie! (: wstaje :) Kiedy się rosparzę
W życiu, to tak ukocham tę ziemicę waszę,
Że nam oblubienicowi piersią nie wystarczą
I ramieniem królewskiem ściśnięte zaskwarczą.

Gasztołd. (: ocierając łzy :)

Ja pierwszy raz tak płaczę, boś mi tu u łoża
Narodził się tak innym, jak trzeba Koronie!
|: podnosi się w łożu i chwyta za rękę królewica :|
Gdzie Król? – Niech was uściśnie w obie swoje dłonie!
Gdzie bracia moi? – Niech wam zaścielą podnoża!
Gdzie hufy nasze? – Niech swe chorągwie rozwiną,
I do mnie! Do mnie! – Bo gdy łzy mi płyną,
To tam muszało we mnie tyle przybyć ducha,
Że Gasztołd jeszcze śmierci bliżej nie posłucha.

|: znużony wysileniem skłania głowę na ręce Barbary :|

Barbara.

Mężu mój! Panie! zdrowie....

Gasztołd. |: podrywa się :|

Co tam ważyć zdrowie
Gdy taka piękna przyszłość osiadła mi w głowie:
Ojczyzna mi bezpieczna! województwa moje!
O! trockie województwo! ja za niém tak stoję
|: składa ręce do Augusta :|
Ojciec za swojém dzieckiem! W wasze ja go ręce,
Przyszły króla dziedzicu, w twe piersi panięce
Poruczam. – Oj! to piękna ta trocka puścizna!
Lasy, zstarzałe lasy, jak dęby dziczyzna;
Cztery powiaty, panie; ino stryjca w żelazie,
A gród przy województwie co im na karku leżie,
Kark ma z muru, basztica, jak szczeciną czubaty,
A cztery jemu rzeki leją swe wiwaty.
|: już wolniej i przysypiając :|
Weźcie ino w smycz charty i ogary czujne,
Jastrzębie i rarogi i sokoły bujne;
Puśćcie sokoła w lecie, ogary w jesieni,
A rarogi pod zimę, to się tam wyleni
Daugowska knieja źwierzem, by słońce w zachodzie
Siwawémi chmurkami. – Cicho!.. W trockim grodzie
Trąby, rogi! Ulala!.. hej! a na koń szczwacze!
Ogarów sfor trzydzieści.... swoj.... daj go... gracze!

|: zasypia :| A rusznica na przetaj!.. Basiu!... bywaj... zdrowa!

Barbara. |: spuszcza głowę jego w poduszkę i patrzy nań :|

Niechaj cię matka boża w śnie od złego chowa!

|: ta cała scena cicho się, półgłosem mówi :| Z. August. |: zbliża się ku niej :|

A mnie Barbaro!

Barbara.

O wam królewicu, Panie

Dzięki za czułe przy nim i chętne czuwanie!

Z. August.

Czuwałem nie sam, czuwało nas dwoje;
Wy nad mężem, nad wami biedne serce moje
Czuwało!...

Barbara. |: z przestrachem :|

On posłucha!...

Z. August.

Senny nie ma ucha.

Barbara.

Senny! – Lecz tam nie senny w górze Bóg posłucha!

Z. August.

I czego ma posłuchać? – Ja uczuć nie tłumię;
Żeś mi w serce przypadła, jego święte ranie
Dopuściło. – Nie powiem? – To sam Bóg wyczyta,
Wy czytacie Barbaro, bo mi w lic przybita
Wasza pamięć; zwierciadło, i gdy weń popatrzę,
Moich myśli nie widno, jedna myśl je zatrze;
Ta myśl o was Barbaro!

Barbara.

Biednam białogłowa!
Jam nie przywykła takie nadsłuchiwać słowa
W ustach ludzi. – Wy pierwsi tak słodko mówicie;
Oj! wy mnie, królewicu, mój woli zbawicie!
Wyście mnie już zbawili! i gdym wczora siadła

Jakież mi się tam strojne wity widziadła
Przy łożu męża Pana; anim w krośna tknęła,
Ani mi do modlitwy chętna myśl klęknęła,
W nabożnej książce wasze czytałam wyrazy;
Jam nie taka jak wczora! — Barbara bez zmazy
Co wczora z łoża wstała, żegnała się z nami;
A ja nową Barbarę dziś przyjęłam łzami! —
Dla tej Barbary męża, ni choroby nie ma,
Ona w świat inaczéj przezierna oczyma,
I mam rzec?.. tak ciekawie na grób zapatrzała,
Jakby tam kogoś wcześnie już widzieć żądała. —
O, to źle dla niewiasty! — Bo co z grobu rośnie,
Czy to jabłoń z jabłkami, czy to róża w wiośnie,
Tego się żadna ręka pobożna nie tyka;
Rwiąc je, to dłoń niewinna zmieni się w grzesznika.
A tak i miłość moja co wzrosła w tym cieniu,
Też przy łożu mężowskiém, nie w jasnym promieniu
Obmaluje mi przyszłe wdowie, płaczne życie!

Z. August.

Barbaro, Bóg z tobą! — Co winno to dziecię,
Co się rodzi przy grobie, a na świat przejrzywa
Skonem matki, co go nie skarmi nieszczęśliwa?
Wszak Bóg to dziecię przyjmuje, choć nazwie sierotą! —
Barbaro! owém dzieckiem nasza miłość z cnotą.
Mniejsza gdzie się zrodziło, byle mu kolebą
Wasze łono i moje, byle za niém niebo
Było; mniejsza o ludzi. Kolebą podzielem
Między siebie, a skończym żałobę — weselem.

Barbara.

Wy ze mną? — A korona?

Z. August. (: bliżąc jej rękę k' sobie :)

Ty, przy mnie; korona

|: pokazując jej w niebo :| Nad nami, – patrz! tam w górze przez Boga wzniesiona!

Barbara. |: wskazując tron :|

Patrz! a tu dołem człowiek, a tu dołem ludzie:
Matka wasza, dwór cały, ojciec wasz dziedzic!
A wszyscy wzgardę dla mnie noszą na swém licu!
Mnie korona! – O takim mnie nie myśléć cudzie.

Z. August.

Nie patrz na nich lecz we mnie, bo ja wam jak zbroja;
Pod tąż zbroją bezpieczna, boś ty jest pierś moja.

Barbara. |: dumając :|

Jakby się dziwnie moje życie rozłamało
Między wdowie upięcia, a weselne szaty!
Życie z wami byłoby jak na grobie kwiaty;
|: na Gasztołda :| Z nim, jak pogrzeb po którym kadzidło zostało.

Z. August.

A mnie Barbaro, inak przyszłość kroczy,
Kiedy ja żonę we wami w jedne kraińce
Przyszłościę, to mi sarabandy, tańce
I noce w których nie zaśpię ochoczy,
I dnie po których zagęstnie do słońca,
I z nocąbym się żegnał aż do wieków końca;
Chęci me powysyłam na wasze usługi,
Chcę szczęście opłacać lędźwie jako długi,
Włoska krew moja ile płacić złota:
Bo chciałbym przez nią zakupić anioła,
Coby u Boga dla mnie miał otwarte ucha.

Barbara.

Ojczyzna moja, to anioł Augusta,
Anioł dziedziców tronu. – Białogłowa w skrycie
Zawiązana w powinności, zatopiona w szycie,
Nie uderzy w modlitwę takiemi piersiami,
Coby się zrównać mogła z świętemi głosami,

Jakie dla króla Pana ku niebu wzleciały:
Jej głos za mężem starczy, — dla króla za mały.

Z. August.

Toż ja księżniczko, ja mąż obok króla!
Jeśli w tém sercu chęć mi będzie głodna,
To nieraz straszna zrodzi mi się wola
I tak wyleci na ludzi swobodna,
Że tylko spragnie krwi! boć trzeba przecie
By coś ludzkiego w piersi się nakładło. —
Nie zaznam szczęścia! — Ha! to każde stadło
I każde szczęście moja ręka zgniecie!
Puszczę się w tańce z włoskiemi wybryki;
Mniejsza, czy za mną pogonią ich krzyki,
Groźby, przekleństwa! — A w takim rozględzie
Twój anioł tronu, Polska płakać będzie!

Barbara

O! jakbym miała jej szczęściu ubliżyć?

Z. August.

Możesz Augusta lub podnieść lub zniżyć
W ludzkich uczuciach, ty! — Bo żaden z ludzi
Gdy się rozpasze, nie dotrzyma kroku;
Bo wy, Barbaro, więcej w jednem oku
Macie słów, niżli oni krzyków w swej gardzieli;
A gdy się August z złą myślą spościeli
To aż, Barbaro!....

Stańczyk. (: który wszedł po cichu w ostatniej rozmowie, chwyta za rękę Królewica i pokazując na łoże :)

Aż Gasztolda zbudzi!

Z. August. (: zmieszany :)

Co tu porabiasz błaźnie?

Stańczyk.

Mnieby królewica
Spytać, co porabiacie polskich ziem dziedzica? —

Ludziom to nie jednaka myśl po głowie wierci,
Jam przyszedł pytać zdrowia, wy pytać o śmierci.
Ha! bo też nie z jednakiej schodzim się umowy;
Jam przysłany od króla, a wy od królowej!

Z. August.

Stańczyk! nie dobierz miarki! – bo tu żartów dosyć.
Mogę zapłacić!

Stańczyk.

O! później sam was będę prosić
O zapłatę; latami to i krewkość mięknie.
Stary Stańczyk zapłaty starej się nie zlęknie!

Z. August. (: żegnając Barbarę z cicha :)

Dziś w wieczór! . . . – Stańczyk, za mną! (: odchodzi :)

Stańczyk. (: podsłuchał i żegnając Barbarę, ironicznie mówi :)

Służę w zawołanie.
(: do Barbary :) Rześkie to dziecię, miłościwe panię
I dobre dziecię! – Czasem dla igraszki
Lubi uciszki, miłostki, i fraszki;
Lecz mu nie długo pusta myśl w czoła,
Bo nań korona, tron, ojczyzna woła. –
A jak mu pięknie będzie kiedyś z tą koroną! –
(: kłaniając :) Do stóp waszych się chylę, Gasztołdowa żono! (: odchodzi :)

Scena 2ga.

(: Dwór na zamku tenże sam, co w akcie 2gim scenie 1ej; już dwór w sali przytomny, ino wchodzą z licznym orszakiem szlachty Gorka i Xże Radziwiłł czarny w rozmowie wpół głośnej z Gorką. :)

X. Radziwiłł. (: do Gorki :)

Słyszałeś? nasze domy nie pewne dla cnoty,
Złą myśl z zamków królewskich stąpa do nich śmiało!
Niechaj się upamięta! – Królewskiej krwi mało
By obmyć Radziwiłłów książąt ze sromoty!

Gorka.

Że bywa! – lecz złe jeszcze żadne się nie stało.

X. Radziwiłł.

Jeszcze nic! – A więc czekać póki nasze krewne,
Póki siostry zwołane królewica słowem
Ozwą się w naszych domach czynem nie jałowem
I udarzą w potomstwo rodziców nie pewne?
Ha! odpaszmy kord z boku, co zestarzał w walce;
Krzyże, bufy na szyję i gitarę w palce,
Hejża! skakać ochotnie w weneckie zapusty!
Dla gachów drzwi na oścież; dla nas dworzec pusty!
Żony, wdowy dla tronu dziedzica zostawić,
Nam jeszcze dobrze! – Nam pozwala bawić
W dworcach naszych, przez łaskę: a gdy mu zawadzim,
To on sobie poradzi! – [: z groźbą :] O, nie! my poradzim!

Gorka.

Przez Boga! tak nie będzie i wasz popłoch marny.
Słusznie ciebie zwą Xiąże, żeś Radziwiłł czarny;
Bo czarno rzeczy bierzesz!

X. Radziwiłł.

Ja wezmę czerwono!
Biada mu! – Biada tobie! Gasztołdowa żono,
Choć mi jesteś siostrzycą..

Gorka. [: hamując go :]

Jakem wojewoda!
Dwa bluźnierstwa natrącił. – Słowa, to nie woda.
Tu dworzec króla Pana, tu skargi zanosić,
Xiąże! my jak poddany przyjśli Pana prosić:
Z pogróżką, ni do nieba, ni do króla droga!

X. Radziwiłł.

Z prośbą! – Tu prośby rzucają u proga;
Starego nam Zygmunta zamknęli ryglami,
Uszy mu pozatykali włoskiemi słowami,

A gdy przyjdziesz z żałobą po stanu utracie,
Trzeba tak mocno krzyknąć, ażby w swej komnacie
Zamknięty mógł posłyszeć! – Litewski ja Xiążę,
Jeszcze słaba nie nasze pobratymstwo wiąże;
Jeżeli dwór wasz mnie imię skrzywdzi! – Nie daj Boże!
(: uderzając w szablę :) Ja kluczem Radziwiłłów wojnie drzwi otworzę,
Mój głos między Litwaki puszczon związek zstudzi,
I aż się wasz królewic bez Litwy obudzi!

Xiążę Ilja. (: dając mu rękę :)

I my cię powitamy nie w Trokach, – w Kijowie!

Gorka.

Panowie Litwy, Rusi, u was strachy w głowie!
Czy to Helena druga? – A krok pusty, błachy
Naszego królewica, toć tam widkie strachy,
By zapalić pochodnię domowej niesnaski? –
A ja wam jednem słowem zakończę te wrzaski,
I dziś sproszę u króla, by zaraz niemylnie
Nasz królewic ze dworu wyjechał ku Wilnie
Zająć publiczne sprawy: tako w nich utonie....

X. Radziwiłł.

Króla sprosisz? – A baczysz o królowej Bonie?
Co król? – Król go na Wołosz pchnął jak w lot sokoła,
A jejmość wychowanica jako wpierw odwoła.

Orzechowski, kanonik.

Tém lepiej, bracia, można rzecz złagodzić;
Na co staremu Panu tą nowiną szkodzić
Na zdrowiu. Tak nie wiele tych chwil co do grobu,
Nie zwijmy mu modlitwy skargą! – Do sposobu
Nam się udać: kiedyśmy już do tego przyszli,
To postraszyć królowę.

Gorka.

Toś mi wyjął z myśli

I z serca. – Tak więc, bracia, gdy potrzeba zajdzie
Jenerał wielkopolski dorzę słowo wynajdzie,
By królowej własdź prawdę w jej dworaków tłumie.

X. Radziwiłł.

Idź z prośbą, bo Radziwiłł z prośbą iść nie umie,
Zawsze mu się w języku ostra prawda waży
I miasto: „cna królowo!„ mógłby rzec inaczej.

[: Krótka narada panów, ciche szepty dworaków –, Montio szybko wyszedł w czasie mowy Górki. :]

Scena 3cia.

[: Komnata królowéj Bony; Królowa i jéj francymer obecni. Firlej trzykrotny oddając ukłon ma wychodzić, gdy nagle wchodzi Montio i coś królowej szepce na ucho. :]

Królowa.

[: skinąwszy na Firleja :] Czekaj waszmość!
[: do Montiego z cicha :] Więc oni ze skargą w téj mierze?
A cóż tam xiążę prawił?

Montio [: z cicha :]

Zwykłe swe pacierze
Na włoskie czary...

Królowa.

Włoskie?.. ha! jak kret na słońce!
Jeneraż znać jak się włoskie wrabiają dziwa?
Znaż on medjolańskie wieczory pachnące
W których, kiedy ludowi z kajdan kark obrzmiewa,
To podnieść się do nas całémi barkami!
A my gdy mu z krużganku popatrzym w oblicze,
To się ten świat pod nogi nasze w żal roztrzycze
I drżącym głosem fali potrząsa nam: Viva! –
O! wrzaski tego ludu by morze huczało;
O! miłość tego ludu szalona i przednia!
Jednéj nocy on skochał Dom Torrów; od dnia (l.)
Przestał kochać, a Torrów i domu nie stało

Znów pożałował Torrów po czasie swawoli,
Na ich gruzach wzniósł kościół. — Niewola z niewoli! —
Znaż on kościoły nasze? tę matkę, co w łonie
Trzyma małe niemowlę, Jezusa w koronie?
Czy patrzył w obraz? czy zgadł, że Medjolanka
Wybierając w pół nocy męża i kochanka,
Z myślą, którą w niej obraz tej rodzicy tworzy
Musi żyć, aż dopóki w grób się nie ułoży,
I jak ona piastować syna na swém łonie,
I jak ona w koronie być i przy koronie?
Czujeż on? dla tej myśli co Sforcia stradała,
Kiedy z jej słodką duszą młoda krew igrała,
Kiedy tam kogoś rzuciła, — Kochała! —
Wiesz? — Raz ostatni gondola płynie,
Wieczorem cicho śpiewa gondola;
Dzisiaj to dobrze, ale w godzinie
Na co mu śpiewać? — Bona odpłynie,
A ona dla mnie. — Myśl mi zbieżała,
Niech nikt nie kocha com ja kochała!
Dosyć mu w życiu jedna myśl tkliwa,
Z tą myślą niechaj odpływa! —
Podałam tobie kubek do ręki;
Ponieś mu, rzekłam, jam wpół wypiła,
Daj śpiewakowi zamiast piosenki,
Niech pije gdziem ja usta skłoniła! —
O! a jam tego nie piła! —
Na palcach wspięta się na krużganku
Patrzéć, jak niesie podarek Bony;
Księżyc tak lśnił się na mym kochanku,
Jakby zeń wyglądał na mnie zdziwiony
I pytał: co za podarek Bony? —
O! ty i pomnisz później, sierotę gondolę!...

Montio. (: przerywając :)

To kiedyś było! – W on czas wasze myśli
W rozmowie z sercem bawiły się cało;
Na nich królewskie brzemię nie ciężało.
W on czas do Włoch posłowie po królowę przyśli
I was naleźli rodzicami tak strojną,
Że bili złotem, ukłonami hojno,
Aby kupili dla kraju polskiego
Tak piękną perłę domu sforcyjskiego.
Teraz królowo oni tam czekają!
I z całym krzykiem i z całą swą zgrają,
Nie z duchem prośby, ale jak oracze
Co to lemieszem w pierś ziemi kołacze;
I ledwo kłosek zarzewia wyziera,
On sierpy puszcza i owoc wydziera:
Tak chcą wam wyrwać z łona królewskie pacholę!

Bona.

Jak myślicie, on zechce?

Montio.

O nie!

Bona.

Więc pozwolę.

On sprzeciwi, to dobrze, to mi schlebi ducha,
Powiedzą: to on siebie, a nie matki słucha.
A jednak Montio zawierz: kiedy zechce Bona,
Syn będzie musiał albo, spadnie mu korona.
Niby zechcę; obaczę, jako mu daleko
Usiadła ta Barbara. – Z serca ją mu miękko
Podniosę; jeźli pełne to opuścim wody,
Bo to nie całkiem dzieciuch ten mój Zygmunt młody!

(: wchodzi pokojowiec i mówi Firlejowi do ucha :)

Firlej. (: do królowej z ukłonem :)

Miłościwa królowo! Poznański kasztelan.

Jenerał wielkopolski Andrzej, Gorka miano,
Prosi o posłuchanie.

Bona.

Czekać rozkazano. –

|: do Montiego :| Za chwilę; o ten Gorka dobrocią ośmielan
Mojego męża króla.. – Jakże król na zdrowiu?

Montio.

Słabieje.

Królowa.

Przecież, długo?...

Montio.

Dziś księżyc na nowiu,
Choroba się przesili; jeżeli czas posłuży
To może i do roku.

Bona.

Daj Boże najdłużej!
Jeszczem syna nie pewna, a z panami sprzeczna.
Monti! niechaj z mym królem śmierć mi będzie grzeczna!
Nim przyjdzie do pogrzebu ja mam wielką pracę.
Każdą chwilę mu dłużej ja na wagę zpłacę.

Montio.

O Królowo i Pani! – Śmierć, by wasze dzieci,
W rozkaz wasz konającym może zdłużyć życie,
Żyjącym prędzej zsypać z klepsydry.

Bona. |: z uśmiechem :|

To z twoją
Pomocą! – Więc te pauki dla tego nas bają. –
|: do Firleja :| Może wejdź, dość czekania.
|: do Montiego :| Zaproś królewica.
|: przechodząc się koło orszaku :| Palli i Lwzi smutne? – Spogodźcie wam lica!
|: głaszcząc Lwzi pod brodę :| Przyjdzie on! Nie wesołe? coś wam serce tyka;
Może wam brak trzeciego? zwołać i Stańczyka.

Palli. (z cicha do Luzzi:)

Więc wszystko!

Luzzi. (do niej:)

Mniejsza o to, byle zbyć Barbary.

Gorka. (wchodzi i po pokłonie:)

Miłościwa królowo! – Nasz Pan, Zygmunt stary
Czterdzieści lat i drugi jak nam błogo siedzi
W majestacie, i dobrem siwą głowę biedzi
Aże potyrał zdrowie; tak nas ukochał szczerze
Że nam trudno uwierzyć, że go Bóg zabierze;
Przecie idzie do tego...

Bona. (z powagą:)

Jam dziedzica dała!...

Gorka.

O! że my nie sieroty, to niech Bogu chwała
Będzie! – Tak; my królowo macie dla was syna;
Lecz kraj dziedzica nie ma, kraj się upomina
Dziecka dla siebie; niech go jak przystało kocha.
Bo kraj nasz istna matka, matka, nie macocha,
Nie lubi innych związków przed sobą znachodzić;
Własnem pielęgnowaniem chce sobie urodzić
Dziecię, coby mu w stali lub w ogniu nie jękło,
A w krzykach zhartowane języków nie zlękło:
Bo to w Litwie, w Koronie to jest głosów dosyć,
Mocne trzeba mieć ucho, by je wszystkie sprosić
W jedną pierś; a mocniejszej osady na piersi,
By nie pękła gdy wrzasną! – My Gorka najszczersi
W senacie, czy na polu, chcieliśmy dziedzica
Zapoznać z jego matką, stawić lice w lica
Aby się jéj przypatrzył ów syn ukochany
W chwili, gdy dla niej dzieci idą w krwawe tany;
A wam to, ma królowo, nie po myśli było.

Co się na to gadało, co na to stroiło
Pominie Gorka; ale nie minie kasztelan,
Co całém sercem dla swéj ojczyzny jest przelan,
Kiedy złe idzie w gorsze, gdy król na skonaniu,
A gwiazda następnika gaśnie o świtaniu!
Królowo! ciężkie krzesło kasztelańskie moje,
W niém nie można usiedzieć cnotliwie na dwoje!
Tam każda myśl o sobie to z głowy ucieka,
Tam kraj jako spowiednik tuż przy krześle czeka
I zarzuca na głowę to straszne pytanie:
„I cóżeś mnie godnego zdziałał kasztelanie?"
A ktoby w on czas swoje sprzepaścił ochotę,
Gdy się ona odezwie: „ratuj mnie sierotę!"—
Ktoby nie wziął języka gdy jéj żal dogrzewa:
Nie wart kolebki z ojców uciosanej drzewa,
Tego klejnot herbowy o cnocie by kłamał
I Gorkaby mu pierwszy miecz na dwoje złamał!..
Ja tym głosem senackim w pierś wam zakołacę,
Królowo! – Gdzież przystojne na następcę prace
Zajmują królewica? – Miasto cnej żałoby
Zwiedza żony którym się jeszcze nie zwarły groby
Nie zamkły, a przedśmiertne nie wzruszając ciszę,
U stóp konającego na ich cnoty dysze! –
A czyjże-to jest klejnot księżna kasztelanka
Barbara? – Wszak to nasza, to polska poddanka! –
Takim jak my panują z Boga pomazania,
Cnotę jak dobra stołne trza mieć do rozdania!

Bona. [: ironicznie :]

Dosyć tych dóbr stołowych wzięliście szafunkiem...

Gorka.

Królowo! to cóż nas innym obdarz podarunkiem
Syna z cnotą! – Czas jemu i nam zajrzyć w sprawy

Publiczne! – Wilno puste, Litewskie ustawy
Rwą się niedokonaniem! bo im bratnie ręki
Coby je w górę wzniosła...

Bona.

Za poradę dzięki!
Już my o tém myśleli. Królewic z swej woli
Gdy zechce, to królowa wazzej sprawie zwoli..

|: wchodzi Królewic, za nim Stańczyk :|

Bona

Skarzą ciebie dziecię!

Królewic.

Skarzą? to stworznie matko! to za przeszłe życie. –
|: podając stoi Gora :| Skarz Gorko! mnie nie dotknie, mnie nie zadrży warga!
W tej komnacie nie jednym dogryzie twa skarga...

Bona. |: gniewnie :|

Zkąd powraca królewic?

Z. August. |: zmieszany :|

Z komnaty...

Stańczyk |: po ukłonie :|

Barbary
Księżniczki kasztelanki!

Bona |: udając że nie uważa pomieszania Zygmunta :|

Jakże Gasztold stary?

Stańczyk.

Śmiercią, jako ja widzę, podwójnie rażony;
Bo umiera na łożu i w sercu swej żony!...

Z. August. |: z wybuchem :|

Jak to rozumie Stańczyk?

Bona.

Tutaj inna sprawa.
Synu! owo wileńskie wzywają was prawa,
Abyś im stanął w czole. Tu poseł senatu

Zaniosł prośbę, do mego skarżąc majestatu
Nietad litewskich krajów: gdyś woli nie sprzeczny
Zwiedzisz Wilno...

Z. August. (: odpowiada Gorce :)

Obaczym...

Gorka.

To wyjazd konieczny.
Królewicu, mój Panie, by dzisiaj nie zwlekać...

Z. August.

Tak skoro?

Gorka.

Sprawy państwa nie nawykłe czekać!

Z. August.

Mogły dotąd.

Gorka

Musiały!

Z. August.

To muszą i dłużej...

Gorka.

Królu! dziś wasze! – Jutro nie każdemu służy.

Z. August.

Posłuży nam; bo przyszłość przez was nie zgadniona
Dla Zygmunta Augusta jutrem, to korona;
Jutrem dla was moja moc, waszych dziejów karty,
Jutrem szczęście, swoboda...

Stańczyk.

Lub czyj grób rozwarty.

Gorka.

By jeno troski nasze jutrem nam nie były!
Bo złe dzisiejsze dźwigać, już nam braknie siły.

Bona. (: przerywając :)

Kasztelanie! dość mowy! – Już matce zostawić

Chwilę z nim pogadania; wszystko da się sprawić. |: Górka się kłania i odchodzi :|

|: do orszaku :| I wam odejść.

Luzzi. |: odchodząc zbliża się ku Stańczykowi :|

Stańczyku! jako dalej będzie?

Stańczyk. |: z cicha :|

Widzę, grzęda wysoko! lecz kto na niej siędzie
Czy kurzyca, czy kogut, kiedy zważę ściśle...
Ha! gdzie djabeł nie może, to tam....

Luzzi. |: kończąc :|

Błazna wyśle...

Stańczyk.

Niech i tak będzie! |: odchodzi :|

Scena 4ta.

Bona, Z. August.

Bona.

Synu! dość ci po komnatach
Tych krotofil!... W królewskich czas się przejrzeć szatach,
I urobić tak postać, kroki, nawet lica,
By widno było w tobie polskiej krwi dziedzica:
Bona nie chce by więcej było tej poswarki.
Nie dość że z mego dworca zmusiły ci karki
Luzzi i Palli? nie dość?

Z. August.

One z twym rozkazem
Były mi po niewoli matką; a tym razem
Inaksze czucie w piersi Zygmunta zagadło!

Bona.

Inaksze? – Obacz, by wam co z głowy nie spadło
Przy tém czuciu!

Z. August. |: z mocą :|

Nie spadnie...

Bona.

Wy sądzie za młodzi;
Matka, jak może, wasze swawole łagodzi.
Panów wrzaski głośniejsze, męża niemoc cięższa,
A Bonie od władania już zmartwiała ręka.

Z. August.

Królowo, matko nasza! pospolite rzeczy
Zdaj jeno głowie mojej..

Bona. (: wrażona :)

Co je zabezpieczy?
Krnąbrność wasza czy statek? — Obaczcie się przecie!
Wiecie ile powiatów, a w każdym powiecie
Ile głów co z pod oka wasze czyny mierzy!
Każdy wasz uczynek młody wargą z zębem szczerzą,
Drzewo z kory, tak ciebie z cnoty ociosali;
Dumni! już wasze berło sobie przymierzali!
Gdyby nie matka wasza....

Z. August. (: do siebie :)

Tegoby nie było!

Bona.

Gdyby nie matka wasza, co oczy ich paliło
Wdanie nasze do sprawy! — Jam ich kołysała
Czém można, bym wam dziecku pracy sfolgowała:
A zapoznana od was, duma ograniona,
Oto płacze przed wami twego ojca żona! (: słoni ręką twarz :)

Z. August.

Królowo, matko nasza!...

Bona.

Kiedy wam uciechy,
I rozkosze chłopięce, i serdeczne śmiechy,
Sypały się po licach, do ust szczęście niosły;
Nam trudami sprawione cierpkie chwile rosły!

Auguście! ty swobodny spałeś przy mém łonie,
Matka czuwała za was w ciernionej koronie,
Nigdy nie puszczę bolu by ci w serce wjechał,
Nieraz ja we łzach tonę, byłeś ty uśmiechał:
To moje przeszłe życie! – Sądź je sercem syna!
Dziś je dopiero matka dla was wspomina,
Gdy widzi jak jej sprośne urobiłeś chęci.

Z. August.

O, matko nasza! August wszystko ci uświęci,
Chętnie zamieni w trudy swe życie chłopacze;
Teraz ty śmiej swobodna, a niech August płacze!
Jużem ja dorósł trudów...

Bona

Więc do Wilna wam
Śpieszyć! ino bez zwłoki...

Z. August.

Matko! czemu tam?

Bona.

Synu! czemu tutaj?

Z. August. (: zagadniony :)

Konie nie sprawione,
Orszak mój nie zwołany...

Bona.

O, dziecię pieszczone!
Już to matka kazała, i świadome dwory
Tych przejazdów...

Z. August.

Król, ojciec słabnie!

Bona.

On chory
Tak od lata. – Na Wołosz jadąc toś zostawił
Nie w lepszém zdrowiu, a tej wymówki nie prawił!

Z. August.

Matko! mnie nie po myśli: on już w latach, stary,
Prawie schyłkiem...

Bona.

Kto?

Z. August.

Pan nasz..

Bona

Powiedz! mąż Barbary.
Zgadłam? to zawada! to wahań przyczyna!...
Ale nie dla Zygmunta, Bony Sforcii syna. —
(: z rozkazem :) Pojechać ci..

Z. August. (: stale :)

Zostanę.

Bona.

Więc już tak głęboko
Utonąłeś w Barbarze?

Z. August. (: porywczo :)

A gdyby na życie,
Na całe życie nasze?

Bona.

Ona za wysoko,
A tyś za nizko spojrzał na królewskie dziecię.

Z. August.

Jak na człowieka dosyć wysoko spojrzałem.
Królowo matko! ja w niej anioła zdybałem!

Bona.

Z litewskiem kasztelaństwem?

Z. August.

A z książąt nazwiska..

Bona.

Mnie cieszyć; Luzzi, Palli towarzyszkę zyska.

Z. August.

Nie, matko! wy synowę…

Bona. [: z ironią :]

A kto mi synową?

Słuchaj! — Wam żona to nie musi przewieść głową,
O jéj domie a przodkach nimi grzmić donośnie;
Synowa Bony Sforcii w szkarłacie poczęta,
Albo dla niéj nie tronu i ma dłoń zamknięta!

Z. August. [: niecierpliwie, jednak z uszanowaniem :]

Jeżeli o wyższość chodzi, Barbara dorośnie
Wam, nie głową, to sercem! — Bo mi wyznać śmiele:
Dwie głów takich jak wasza, na mój tron za wiele.

Bona. [: gniewnie :]

A nam gdy się żelżywe tak słowo uradzi:
To choć jeden syn w tronie, to i ten zawadzi. — [: Z. August zamyśla się :]
[: Bona z ironią :] Pogadamy dziś wieczór, Barbaro!!! [: śmieje się i klaszcze w ręce :]
[: na ten znak dwór jéj wchodzi :] [: do Firleja :] Podwody,
Króleńskie niech zarządza, dla syna wygody! [: wychodzi :]

Scena 5ta.

[: Gdy Królewic zadumany, wbiegają naprzeciw sobie Luzzi i Palli, niby nie widząc Królewica strwożą się i śmieją. :]

Luzzi. [: chwytając w pół Palli :]

Złapanaś Palli, jak ptaszę złapana.
[: klęka ze śmiechem :] Gdybym była kochankiem, padłabym w kolana
I rzekła, skarżąc twoją oziębłość i losy:
„Palli! bóstwiona Palli! popraw sobie włosy,
„Bo ci w biegu zleciały jakoby dwie krynice
„I zakryły niebiańskie oczęta, złośnice..„. [: obie się śmieją :]

Palli.

Poczekaj! ja w téj roli takżebym umiała
[: strojąc miny jak do kochanka :] Na twój dowcip odstrzelić: „O młodzieńcze luby!
„Włosy co mi na oczy zbiegły, to są śluby„

„Bym nienni warzych pieszczot i warg nie widziała
„Gdy mnie całować będziesz." – No! całuj! cóż stajesz?
O jak ty Luzzi źle chłopca udajesz!

Królewic. (: nagle zapominając troski, puktując :)

Ja Luzzi wyręczę.

Obie. (: niby przestraszone :)

Królewic!

Luzzi.

W tej dobie?

Palli.

My tak swobodnie puntowały sobie.
O, wybacz Panie!

Królewic.

Czego wybaczyć?
Czyżem za stary z wami puntować?
Czym już zapomniał latać, całować?
Czyż samą troską mają mnie karmić?
I gdy mnie kto rozśmieszy, to mu mam wybaczyć
Jak zbrodnię jaką?

Luzzi.

Wy może nie tyle,
Ale kto inny mógłby się gniewać!

Królewic.

A któżby moje tak spędał chwile,
By nie mógł August skakać i śpiewać
Gdy chęć ku temu miałby ochotę?

Palli.

Ale wam może troski kłopoczą,
Ale wam może chęćby urosła
I do bawienia,
I do cierpienia,
Gdyby to nie nas miała za posła?

Królewic.

A kogo? kogo? |: obie patrzą na siebie śmiejąc :|

Luzzi. |: nieśmiało :|

Gdyby!...

Z. August. |: przerywając nagle :|

Królowę?
Królowę matkę chciałyście mówić?
Ha! Ha! to prawda, że przez potańcę
Ledwom z jej tańców mógł się wymówić!
I zagrała; jak zagrała,
Tak mnie tańczyć nakazała.
A mnie lepiej lube z wami,
Z piosenkami, z pustotami.

Luzzi.

O i jaśniej wam na twarzy
Gdy wesołość brzmi w tem tonie,
Niżli kiedy August starzy
I w rozmyślach lub trach tonie.
Bo wam marszczka wnet na czoło
I zawiśnie gdzieś na lica,
I nasz August jak gromnica
Co gdzieś w cieniu błyska w dali;
Choć jej płomień tańczy w koło,
To nie szybko, ni wesoło,
Mało świeci, nic nie pali,
A choć pali to nie grzeje.
Rozkocza tylko młodość dojrzeje!

Z. August.

O Luzzi! a czy nie rącze
Takie się tany kończą?

Luzzi.

Augście! czy nie wesoło

Toczy się dalsze koło!

Palli.

A tam ktoś u łoża
Siedzi jak cień,
I swoje podnoża
W nocy i w dzień
Jękami podżyca
By nie zmartwiały,
I wszystkich modlitw by dokonały:
To mi dziewica!

Luzzi.

Anguścić! pięknież te drzewa.
Co je wiecznie łza podlewa?

Palli.

Jak pięknie żali
W samotnej sali:
(: udając Barbarę :) „Ah! mój mąż! Pan i mąż!„
I wciąż, i wciąż
W gotyckiej sali
Głos jak żebraczy
Ucha się haczy!
Żałoba ziemskie zamyka jej wrota,
A ona krzyczy: „biedna ja cnota!„

Luzzi.

Lepiej z nami, bo nas dwaje,
I milsze nasze podjazdy;
A więc zapal oczy swoje,
By gorzały nam jak gwiazdy
Gdy pogonim w twe ramiona...
Śpiewaj Palli!

Palli. (: do Luzzi :)
Obwiń w słowa,

Obwin Luzzi nutę moję,
Niech nas słucha razem dwoje,
Nasze serce niech jak swoje
On podsłucha, i stulona
Niech mu miętko zaśnie głowa!

Z. August.

O pierwszotne dziewy, tanie!
Na co lutni, na co pieśni,
Augustowi czyż się nie śni
Każde waszych ócz zagranie?
Każdy wdzięk wasz co obściada
I jak motyl z kwiatem gada? —

Z zadumem, z rozkoszą witamy od mała,
A ta pierś młodzieńcza wam domem się stała.
Wytwornie, zapustnie goście w tym domie,
I każda myśl wasza tak do mnie znajomie
Przemawia oczyma, że niewiem czy ona
Z waszego czy z mego wykluta się łona.

(: bierze pod jedno ramię Luzzi, pod drugie Palli :)

Pójdź Luzzi, pójdź Palli do kręgu, tu bliżej;
Me troski, ma głowa wam na pierś się zniży,
Rozpowie się August w tych słowach tak cały:
O! wyście już dawno tej burzy słuchały!
A jednak nie zgadły, choć wrzała tak rzewnie.
Kochałem!....

Palli.

Kochałeś!

Luzzi.

A kogo?

Z. August.

Was pewnie!

[: pieszcząc się z Pallą :] A jakże nie kochać te krucze warkocze,
Te oczy któremi niebo się kłopocze,
Czy błękit przejrzysty nie skradli mu ludzie?
[: pieszcząc Palli :] Te usta co mówią koralem o cudzie
Śpiewania aniołów, te łona co dyszą
Dziejami miłości i dzieje swe piszą,
Białemi ramiony na szyi kochanka?
O! każda mu chwila to leci jak branka
Spętana lubością, zasnuta róż wieńcem!
I któżby nie zechciał być waszym młodzieńcem?
Poskocznie, ochoczo, pieściwo, miłośnie
Tak bujać, tak śpiewać, tak tańczyć radośnie?
O! któżby nie zechciał tak ująć w ramiony
Dwie perły weneckie tej polskiej korony?
I któżby w zapachu co kwiatem tak łechce,
I któżby ha, ha, ha! — Kto?

[: nagle odpycha od siebie obie kochanki :]

August was nie chce,
I spycham od siebie, i depczę was wzrokiem,
I duszą szlachetną, i czystém mém okiem,
Bo znam was przebiegłe!... Wy śwarskie lepianki!
Te wasze zapały, to proste kaganki
Któremi ulice na festyn ubiorą,
A im się widzi że jak słońca gorą.
O! kto was nie poznał i serce wam rzucił,
O! kto się w miłości prawdziwej ocucił;
Ten poznał gliniane naczynie w pozłocie,
Ten poznał że deptał w ulicach po błocie;
I zmęczył swe nogi: a w waszym odblasku
Pojawił się popiół, garść złota i piasku!!! —
Wy śmiejcie z dziewicy co tam gdzieś u łoża
W modlitwie, we łkaniu rani swe podnoża!

Wy śmiejcie z niebogi co w ciemnéj swéj sali
I cierpi i kocha,, i modli i żali!
Wy śmiejcie tak zdrowe! – O jasno, kto zbłądził!
Ten śmiech was, was samych najlepiej orądził..
Potulne, rozkoszne, rozpustne królowe,
Na zawsze, na zawsze bywajcie mi zdrowe!! (: odchodzi śmiejąc :)

Luzzi. (: patrząc za nim :)

Ha! zgadłeś ten wybieg panieżu zwołany
Do swojéj, do swojéj niestarz kochanéj?
Nie śpiesz się! – Po tobie my później wyjdziemy,
A razem, a razem u celu staniemy.

Scena 6ta.

(: Komnata przed sypialnią Zygmunta, taż co w scenie 4téj Aktu drugiego. Środkowe drzwi do sypialni wpół otworzone, klęcznica (prie-Dieu) stoi przy nich, na której Barbara z książką modlitew klęczy :)

Barbara. (: sama, oparta głową na ręku i czyta :)

„Bądź pozdrowiony aniele czystości,
„Duszy méj zbawco, mistrzu méj lubości,
„Bądź pozdrowiony!„

(: utonęła w myślach i cichszym tonem modlitwy wymawia słowa Augusta :)

„Bo ja wam jak zbroja,
„Pod tąś zbroją bezpieczna, boś ty jest pierś moja„.
Nie, nie Auguście! daleko od siebie
Wzrosły nam losy z rozdwojoném licem;
Ciebie nazwały polskim królewicem,
A mnie w poddankę miano z rodu grzebie! –
Barbara ważną? o wielkie to chcenie,
Barbara żona! – toć mniejsze sumienie!
Barbara rodowa; to pożałowanie!....
Jakiż piętnie bronił nasze zakochanie!
„Bo i cóż winno dziecię na grobie stworzone?
„Dziś w wieczór!„ – Stańczyk wrzeszł: – „On nosi koronę!„

Stańczyk! (: krzyknęła i zbudziła się z myśli :)

O, przebacz Boże! zgubiłam modlitwę.

(: poczyna z księgi :) „Bądź pozdrowiony aniele czystości,
„Duszy mej zbawco, mistrzu lubości....”
(: znowu w obłąd wpada :) Jakby to kiedyś.... do domu na Litwę,
Kiedym bez niego u rodzica młodą
Barbarą była; krosienka przy oknie,
Złotek panieński co mi przeszył głowę
Poręczą złotą, iglica co zmokłnie
Nieraz mi w palcach!... — „jedwabną osnowę (m)
„Zwiń panno miła!” — i podała matka,
A Gasztołd patrzy i ciągle ma w oku
I szepta ojcu: „Jaka córka gładka!
„Dajcie mi córę!” — „ nie ruszyłam kroku,
A nić mi w palcach nagle tak zgrubiała
Jako wąż w polu, i spłonęłam cała:
Barbara Gasztołdową żoną tak została. —
(: liściami :) Żoną? — on w polu; — żoną? on na łowach,
On lubił więcej w dangowskich dąbrowach
Jak we mnie; a ja więcej zamyślenie
Lubowałam jak męża. — Po domu skrzątnienie
Kilkoro skrzyń z szatami ino mi przybyło
Do panieńskiego stanu. A serce jak było,
A myśl jak była dawniej, ino więcej śniąca;
Aże choroba przyszła. — Żona boleiąca
Zdybała cudze serce, — czyje? — „On z Korony,
„Pamiętaj kasztelanko Gasztołdowa żono!”...
(: wpada Zygmunt August na ostatnie słowa i obejmuje ją ramieniem :)

Z. August. (: pieszczotnie :)

Wy naszą będziecie!

Barbara. (: zmieszana zrywa się :)

Wy przy mnie?

Z. August.

W modlitwie.
I w śnieniu, w żałobie i w płaczu i w śmiechu
Wasz August przy tobie; jak w każdej gonitwie
Koń przy mnie, ja przy was!

Barbara.

O! źleś mnie wzwyczaił!
Nawet mi modlitwa nie idzie bez grzechu.

Z. August.

A kto wam bezemnie modlić się narail?
Ja Zygmunt zazdrośny, mnie dzielić potrzeba
Czy wspomnisz o ziemi, czy westchniesz do nieba!
My zaczniem Barbaro modlitwę na nowo,
Modlitwę tak świętą, że jej pierwsze słowo
To ino raz w życiu przy stopniach ołtarzy
Mówić się powinno! (: Barbara waha głową :)
O Zygmunt nie marzy!
Nie wstrząsać wam głową! — i matka wstrząsała
Gdym zaczął o tobie. — Lecz gdyby i cała
Polska mi gadała jej głowy wstrząśnieniem,
To u mnie Barbaro tak leżysz kamieniem,
Że gdyby naruszyć zachciano go sprzecznie,
To jabym skut berło na miecz obosiecznie!

Barbara. (: z lubością :)

A ja wam, Zygmuncie, cóż zniosę w podziele?

Z. August.

Wesele, Barbaro, bez końca wesele!
Bo z tronu twardego gdy zstąpię strosKany,
I grzywę gdy końska wypuszczę zmęKany,
Z namiotu czy z rady, ty mi dasz w podziele
Wesele, Barbaro, bez końca wesele!
(: w czasie tych słów Stańczyk nie postrzeżony wchodzi na scenę :)

Matka mi życie, kraj mi tron dał,
Włoszki roskosze, tem skąpo miał;
Bo życia nie użyć, a krajem nie władnąć,
Z Włoszkami to z duszą możnaby przepadnąć;
A z wami u boku cnotliwie i śmiele
Wesele, Barbaro, bez końca wesele!

Barbara.

Toś i nam Zygmuncie już myśli przerobił,
Wyzuwam się z płaczu, a częściej zaśmieję:
Nadzieje, Zygmuncie, weselne nadzieje
Kto mnie tak umilił i rozdzięcznie ozdobił?

Z. August.

Twe serce!

Barbara.

Nie nasze, boś ty je pokonał!

|: i rzuca się w podane Augusta ramiona. — Stańczyk wpadł nagle do sypialni Gasztolda; jeszcze Barbara w objęciach królewica gdy chwiejącym krokiem prowadzony od Stańczyka wchodzi konający Gasztold :|

Gasztold. |: z ostatniem wysileniem zgrozy :|

Barbaro! Barbaro!... Jam Gasztold... i konał
Tam mąż twój? — Barbaro! — i podbiegł z swą siłą,
Ratować mnie trefniś, bo żony nie było!
Tu do mnie Barbaro! tu piskle do gniazda! —
Królewic! królewic! — szalona twa jazda
Po głowach, po sercach, po grobach mężonych!
I nie daszże skonać spokojnie!... i w owych
Podjazdach niewieścich tak bujasz... do syta,
Że nie dbasz... choć cię kto przekleństwem powita!...
Młokosie! więc... niech ci... tam niebo odpłaci!
Niech na cię... ostatnim... twe imię zatraci!
Niech Polska... tu zacznie... najpiętniejsze dzieje
Gdy blada... twarz waszą... śmiercią się odzieje!
Niechaj ci wyrywa.. od serca... od łona

Zgon każdą uciechę!.... niech tobie tak kona
Jak we mnie... ostatnia... nadzieja... i siła
Bez ręki... coby twe... powieki.... skleiła....!
Ty umrzesz Barbaro!...

[: stacza się w ręce Stańczyka i kona. — Barbara zemdlała i opadła Zygmuntowi w ramiona :]

<u>Zygmunt.</u> [: zadyszały :]

Ratunku!...

<u>Stańczyk.</u> [: siląc się podnieść Gasztołda :]

Za późno...

[: wpada służba Gasztołdowa z bocznych podwoi na krzyk Augusta i wynoszą ku sypialni ciało Gasztołda. — A w tém ze środkowych drzwi z wielkim trzaskiem wchodzi Bona z całém swém dworactwem, Lozzi, Palli. :]

<u>Bona.</u> [: prosto idąc do osłupionego Augusta, wyrywa mu z rąk Barbarę i rzuca w klęczniki :]

Tu matka z ratunkiem
Dla syna, nie dla niéj; bo kto się ośmieli
Wznieść głowę w koronę, z niéj piorun wystrzeli!
To pamiętać Barbarze!

<u>Z. August.</u>

O matko! z szafunkiem
Śmierć rozdajesz, ale jej nie zgadłaś osnowę!
[: ironicznie :] Z dworem przyszłaś mi matko, by zwiękać pacholę?
[: wskazując Barbarę :] Więc ci z dworem powitać tę przyszłą królowę!
Barbara moją teraz. [: do dworaków :] Wam znać moją wolę!

<u>Bona.</u> [: śmiejąc :]

Jeśli na nią wasz ociec.... [: wpada Montio przerażony :]

<u>Montio.</u>

Co wam siły stanie
Bieżż do zamku! — Król stary kończy panowanie!

<u>Bona.</u> [: przerażona :]

Co!...

<u>Z. August.</u>

Nasz Ociec....

[: chce iść, zachodzą mu drogę urzędnicy dworu, na czele ich :]

Ocieski, Kanclerz. |: który przyklęka i oddaje mu pieczęć :|

Auguście! królem cię witamy
Miłościwy nasz Panie! i zalani łzami
Z łoża śmierci przenosim na twe młode skronie
Nadzieje szczęścia Litwie i Koronie!

Z. August. |: zachodzący z żalu :|

Nasz ociec skonał! |: wybiega :|

|: Bona bez tronu stoi, ale cała drży i dygocze, rękę ma na czole, drugą na piersi :|

Gorka. |: do niej :|

O wam wdowie, jakież nieść pociechy!
Gdy sami płaczem...

Xżę Ilja.

Lecz to trzy niech łaje,
Że z wami do płakania cały naród staje
I jakby jedno dziecię za swym ojcem kwili!
I tylko waszym synem przyszłość sobie mili!

Bona.

Skonał... i moje nadzieje skonały;
|: słoni twarz :| Płacz mnie zostawcie! — wdowie to uciechy.
Wam mnie nie cieszyć płacznemi głosami,
Wam patrzyć jego dziedzictwa i chwały!
Ja was pocieszę nowemi słowami
Któreśmy z dworem tutaj usłyszały;
I wolą syna mego, a Pana w tej dobie
Pełniąc, to ja wam pokażę po sobie
Mą następczynię;..

|: wskazując Barbarę :| Witajcie ją radzi!
|: szyderczo :| Radziwiłłównę na tron mój syn wam prowadzi!

|: krzyk podziwu między panami :|

Jan z Tęczyna.

Wpierw Solimana!...

Kmita.

Wpierw niechaj odpowie,
Czy bez senatu zdzierży koronę na głowie!

Bona. |: ciągle z ironią :|

Królowa wasza zemdlała panowie!
I nikt z ratunkiem? – Montio! mój doktorze,
Daj jej ratunek. – Kto wie? przy jej dworze
Kiedyś miejsce lekarza twa posługa zyska!...

Montio. |: do orszaku niewiast otaczającego Barbarę :|

Wody!

|: i popatrzył uważnie na Bonę sięgnąwszy w zanadrze po małą flaszeczkę; Bona nieznacznie głową mu odpowiedziała :|

Bona.

Niech jej godności użyczymy z bliska;
Prędzej – niechaj po wdowie wiele dziedziczy,
Niechaj nas pierwszych w rzędzie dworaków policzy;
Niech przychodząc do siebie usłyszy te słowa!
W okrzyk panowie!: „Niechaj żyje wam królowa!„
Długiego panowania życzę najgoręcej.... |: wstrzymała się – Montiemu przynieśli kubek z wodą. On wpuszcza krople zwolna – Bona zawisła okiem :|

Montio. |: głośno rachując :|

Raz... dwa... trzy...... ośm... |: oddaje kubek służbie; dworskie damy wlewają omdlałej :|

|: Barbara przychodzi z wolna do siebie :| Bona. |: z cicha, patrząc na nią :|

Rok i sześć miesięcy.

Panowie z ciekawością wpatrują się w wybladłe rysy powstającej. –
Słychać pierwsze uderzenie żałobnego dzwonu za Króla. – Wszyscy poklękli!.

Koniec.

Przypiski

do Barbary —

(a.) Czyć jeszcze z Tarnowa
Jan siadł na myśli i z Gorką Andrzejem
Wiodąc na Wołosz?

Jan Tarnowski wraz z kasztelanem Gorką tyle wymogli prośbami u starego króla, iże pozwolił Zygmuntowi Augustowi być na wołoskiej wyprawie która pod owe czasy przypadła. Nie w smak to było królowéj Bonie; czy w rzeczy obawiała się o syna, czy raczéj o swój wpływ nad nim, dość że królewic nie uciągł kilkanaście mil od Krakowa ubiedz, gdy go nowy rozkaz króla zwołał do dom. — Ztąd wielkie krzyki powstały na Bonę, iże konała Augusta zniewieścić. — /: historyczne :/

(b.) Pierścień Bony. Opis jego i okoliczności tego podarku prawdziwe.

(c.) Toć przeszłą żonę dobrześ skołysała. — Zygmunt August w 17 leciech pojął Elżbiétę Ferdynanda króla rzymskiego córkę. Pięknie i niekazitelnie żył /: jak powiada Orzechowski :/ „ale po staremuż u świekry iż one właśnie synowych nie lubią najmniej, powiadano, nie była przyjemną, w krótce więc umiera". Tak młodzian owdowiał.

(d.) A dwie modlitwy we dwu rytuałach &c. — Jakkolwiek dramat ten wypadł nam na rozmiar więcej komnatnych kobiecych zalotów, nie mogliśmy pominąć owoczesnych sprzeczek to stanów, to kapłaństwa, to dworactwa, o tyle przynajmniej o ile w rozmowach potrąconémi być musiały. Może to komuś mdłe lub niezrozumiałe przypadnie w czytaniu, aléć my wolim prawdzie jak czytelnikowi schlebiać i powiémy, że i jeden przypisek nasz nie byłby potrzebny, gdybyśmy mogli się budować na tém, iż każden czytał, lub ma poczciwe nasze kroniki. Raz więc na zawsze tytułem i rokiem na nim odsełałoby się ciekawego do tła, na którém autor przerabia swój utwór. Myśli i zdania w dziele umianoby rozróżnić na tamto-wieczne i na własne artysty; nie kazanoby mu się tłumaczyć jak przed kratkami sądu, co w tém lub owém miejscu powiedział. Jak n.p. w powyższym wierszu jest zdanie owoczesnego biskupa i tchnie całą jeszcze zaciętością kościoła polskiego z ruskim. — Tak

w(e.) Kanonicy przemyscy &c. dotyka treści Orzechowskiego który miał sprawy i kłótnię o żonę z biskupem Dziaduskim, nawet był jakiś czas pod klątwą. Ciekawa ta sprawa miała poniekąd i europejską interessowność w swym czasie, sławnym listem Orzechowskiego do papieża przeciw bezżeństwu.

(f.) Nam szaraczkom &c. Miano szaraczków ciążyło na uboższej szlachcie, która najwięcej tego koloru w ubiorze używała. Zwady braci starszych z młodszymi już głośnie tętnią w historyi Zygmuntowej; później przejdą w wszystkie dotąd głośne, odrębne dwóch partyi w narodzie.

(g) Trudno patrzeć sucho na wołoskie grabieże &c. Rozpasanie się Wołoszy, podówczas najstraszniejsze, omal Lwowa nie wzięli. (: obacz Orzechowskiego :)

(h.) Wam się chce Wołynia &c. — Przypominamy iż to się dzieje przed ostateczną unią Korony z Litwą; a opor ciągły Księcia Radziwiłła, czarnym zwanego, jest historyczną oppozycją w jakiej w on czas Litwacy występowały przeciw niej, i która dopiero ze śmiercią tegoż Radziwiłła ledwo do tyla przygasła, że w Horodle podano sobie ręce bratnie.

(i) Kiedy wam ciążą prawa Rusi senjoralne &c. Xż. Ilja wystawia równie obraz rozerwań Rusi. Po szczegóły odsyłamy do historyi.

(k.) Własne wyrazy Raczkowskiego rotmistrza, wyjęte z kroniki.

(l.) Dom Torrów. — Starożytny dom naczelników medjolańskiego ludu della Torre, który z demagogów przeszedł w despotyzm, a jednej nocy powstania ludu zburzono ich siedziby; w ich miejscu stoi teraz kościół St. Jean delle case rotte, przez tenże lud wzniesiony w żałobie za tym domem dell Torrów.

(m.) Jedwabną osnowę &c. Dotąd po staremu dają pannie przed ślubem zwijać splątany kłąb jedwabiu; gdy szczęśliwie rozmota, snać przyszłe szczęście domowe które sobie cierpliwością urabi.

Epilog

do

Barbary.

Roku 1548 dnia 9 Czerwca.

Epilog.

W zamku królewskim, w komnatach królowej Bony.

Scena 1a.

(: Bona niespokojnie przechodzi się wzdłuż i wszerz; wtem wchodzi Firlej. :)

Bona. (: do wchodzącego :)

Jakaż wiadomość Firlej?

Firlej.

Miłościwa Pani!
Jejmość królowa przysłała do ciebie w tej chwili,
A mnie z dobrą tą wieścią ku wam wyprawili.

Bona.

Ale jak zdrowie?

Firlej.

Nie wiem...

Bona.

Oj! że wy posłani
Pytających serca nie mieścicie w tonie!
I pytanie bez echa w waszych piersiach tonie.

Luzzi. (: wchodząc :)

Przemówiła...

Bona.

Cóż?

Luzzi.

Jakiś ból zmajaczył głowę;
Połowa, jakby senna, trwożna przez połowę,
Nie puszcza się rąk króla, ku niemu się tuli,
A król piastun jej głowy, woła: „luli, luli!"

Bona.

A doktor?

Palli. (: wchodząc prędko :)

Gorzej teraz; zawrotem rzucona
Chcąc się podnieść, obwisła królowi w ramiona.
Montio jej zadał leki; król ją k' sobie tuli
I woła już: „Czyście wy mej Basi nie struli!

— pauza. —

Bona obchodzi z wolna komnatę.

Bona. (: zatrzymując się nagle :)

Tam coś stuknęło? czy nie ona padła?

Firlej. (: patrząc w głąb :)

To drwiami targła służba nieostrożna.

Bona. (: słucha :)

— pauza. Krzyk! krzyk! słyszycie?..

Lasci.

To kominem gardła
Drzewo prysnęło.

Stańczyk. (: ponuro :)

Tak dusza niezbożna,
Mówią, że piszczy w płomienistej rzecie!..

Bona

Z błazeństwem cicho siedzieć w tej komnacie
Lub wyjdź.. (: i rozkazała na drzwi :)

(: Stańczyk wyszedł; wchodzi szybko Beata Kościelska, na jej krok wzdrygła Bona :)

Bona. (: do niej :)

Ha! koniec!..

Kościelska. (: po ukłonie :)

Z dziękami posłana
Od królowej Barbary i od króla Pana
Za waszą czułość, łaskawa królowo!
Mej pani lepiej, wróciła na nowo,
Nawet i piersi. By króla spokoić
Przyszło jej na myśl bawić się i stroić.

Bona.

A Montio co?

Kościelska.

Pomaga i, by ją zabawić,
Obiecał dzisiaj dialog wyprawić. [: kłania się i wychodzi :]

[: wchodzi Doktor, Bona rusza ku niemu :]

Bona.

I wy dziś chcecie?...

Montio.

Można królowo!
Dzisiaj moje: za dzisiaj ręczyłem wam głową.
[: ciszej :] Szósty dziś miesiąc! a mnie się rachować
I dobrze godzi, mnie dialogować
Dzisiaj lub nigdy, bo wszystko na dobie.

Palli. [: do Lucci :]

O źle coś pójdzie, bo tak szepcą sobie!

Bona.

O! mnie sprzeczać zabawom, niechaj Bóg uchowa!
Mnie cieszyć z innemi, Barbara ni zdrowa.
Dajcie mi prędzej diadem na skronie!
[: do Montiego :] Na waszym dialogu ja chcę być w koronie;
Syn mój, synowa będą i dworskie siła,
Godzi by matka króla dworsko wystąpiła.

[: bierze z rąk Montiego podane jej pismo dialogu, przezuca go oczyma i oddaje mu :]

Dobrze żeś im nierzucił włoskiego zachcenia,
Którem się serce niewiast ku mężom spromienia;
Ani naszej przezroczej na duszę opony,
Ani zaśpiewań naszych któremi, strudzony
W piersi jak w łodzi, rybak wybuje do brzegu.
Im trzeba o ich trzyskach gadać, im na śniegu
Rumieńca ino rosną. Czyste włoskie niebo
Nie jest dla nich jak dla nas żywotną potrzebą!

(: zamyśla się :) Montio! ty dziś poeta; tam ci podnieść ducha:
Wielka winna być scena gdzie trzy korony słucha! (: odchodzi, i orszak :)

Scena 2ga.

Zmiana.

(: Wielka sala. Środkiem wyniesienie zakryte zasłoną, gdzie ma się odgrywać dialog; przy tém wzniesieniu po prawéj ręce stoi troje krzeseł królewskich. Stańczyk opodal za krzesłami oparty o ścianę; wchodzi Smolik :)

Smolik.

Taniś pokwapny na wtórne żarciki,
Że skoczno pędzisz pierwszy w dialogi.

Stańczyk.

Komuż jeżeli nie błaznu teraz czas tak drogi,
Że go woli w dialog rzucić jak w sejmiki,
Albo w inne sprawy? — Dialog, to szpaczek;
To mu i prawdę wolno; dialog to żaczek,
To mu i żarty wolno. — Stokroć lepszy błazna:
Bo mu myśl idzie w scenie jasna i wyraźna,
Ni o kij nie zawadzi, ni w krzywą odpowiedź.
Jest-to jakby swéj myśli szczera, prosta spowiedź
W któréj, gdy się kto pilnie zrachuje z swym wiekiem,
Z człeka ujrzy się błaznem lub z błazna człowiekiem.

Smolik.

Gdybyś ową sentencią w autora zmierzył?

Stańczyk.

Gotów się wziąść za błazna, a niktby nie wierzył.

Smolik.

Czemu?

Stańczyk.

Bo sługa Bony; a słudzy téj Pani
Po imieniu jak cyfry stoją zapisani.
On doktor, — dziś autorem. — O! nie daj Boże!
Aby się w końcu sztuki doktor w autorze

Nie znalazł!

Smolik.

Ciemno mówisz.

Stańczyk. |: znacząco :|

Barbara dziś słabła...

Smolik.

Tak, z rana; ale teraz w zdrowiu, Bogu chwała.

Stańczyk.

Lecz czy tylko nie, amen? |: ucinają; Montio wygląda, zagląda na kortynę dialogu i stanął zamyślony, oparty o wezgłowienie :|

Stańczyk. |: do Smolika :|

Tam stoi zagadka!

|: wchodzą dworzany: Jan Ocieski, kanclerz; Rej; Bernard; Wapowski; Gamrat; Xiążę Radziwiłł :|

Jan Ocieski, kanclerz. |: ogłasza :|

Królestwo ichmość! |: wchodzi August z Barbarą :|

|: z przeciwnej strony Firlej wchodzi i ogłasza :| Firlej.

Królowa matka!

|: Stańczyk, gdy wchodzi Bona, szepce do Smolika :|

Stańczyk.

Już idzie rozwiązanie! |: ukłony i przywitania królestwa z Matką :|

Smolik. |: do Stańczyka :|

Jak zimne zwitanie!

Wapowski. |: odpowiadając mu :|

A godność Mospanie!

|: siadają w krzesłach; królowa Bona nieco naprzód wysuwa swoje; dworzany w grupie stają w przeciwnej stronie siedzących. Montio, ukłoniwszy się, daje znak czarną laseczką, zasłona dialogu się podnosi :|

Dialog

|: Skała ciemna. Djabeł na uwięzi z ogromnym ogonem i brzuchem odętym, rogi na głowie :|

Djabeł.

Wielce przemożne królowe i panie!

Ja djabeł siedzę tutaj na me ukaranie;

Kuso mi tu, bez pierza i nizerne jadło,
Siedzi człek w turmie jakby się co skradło.
A przecież, cni panowie! nie jeden z nych braci
Kradnie i lepiej, lepiej się bogaci;
Ale król dobry i rzeczpospolita,
Więc siedzi; – gdzie? – w urzędzie i kradnie do syta.
Mnie zaś święty archanioł do turmy osadził,
Żem jedną duszę porwał i z nim się powadził;
A dusza drobiazg, nie wiem czy garść zboża zważy,
Dawniej złoto ważyła – a zwada do twarzy
Każdemu krzyknąć, wrzasnąć, to nawet na zdrowie.
Hej! na miłość djabelską, zwadźcie się panowie!
Niech się djabeł naciesz trochę i zamorze;
A jakiem poczciw, djabeł wam pomoże! –

O szkoda wielka, panie, żem ja tak okuty,
Bobyście wasze miały zepsuśne cykuty.
Co jabym tam na świecie lubym nie dokazał!
Wiele jabym krotochwil bawnych nie namazał!
Święty panie Michale, popuść-no mi trawce!
A ja-to nie jednemu zaraz dmuchnę w twarz.
(: Święty archanioł opuszcza się, z mieczem w ręku, na obłokach :)

Nie dla ciebie – lecz **Archanioł.** (: do publiczności :)
~~Ua~~ Zacne widząc zgromadzenie,
Iᶜʰ zabawę z nauką wielce sobie cenię,
Więc ci pasłka popuszczam djabelskie stworzenie;
Ale mi do krotochwil nie naparłuj cnoty,
Poczciwych nie kuś, ino złym to płataj psoty;
Aby twa gra służyła na naukę ludzi,
Niech poznają co dobre, a co dobrem łudzi!
Pękają twoje więzy. (: grom słychać w niebie i okowy djabłu odpadają :)
Niech się skała kruszy.

Baw ciało, ~~jej~~ ucz nicości, — ale wara duszy! |: Archanioł znika :|

|: Djabeł ośmielony podnosi się z ziemi przestraszony :|

<u>Djabeł.</u>

Ależ-to na odjezdném tęgo z bicza trzasnął!
O! znam ci ja te gromy; jam okiem nie zasnął
Od owéj strasznéj chwili, gdym z chęcią w źrenicy
Chciał sięgć na Boga stolicy;
I kiedy takie gromy zwiały mnie z góry,
Zleciałem, jak to mówią, z góry na pazury;
I strach mi obiadł kości w postaci anioła,
I piorunem mi świeci i piorunem woła:
„Przeklęty!" — i przyłożył straszne miecze swoje.
A trzeba waścionie wiedzieć że się strasznie boję,
Jak chłop bata, jak szlachcic turmy, jak niewiasta
Kiedy jéj czepiec na wspak włożę.... ale basta!
Drbm! otrząśnijmy biedę i obaczmy przecie
Wokoł, co się tam dzieje? co stoi na świecie? —

|: ogląda wokoł krajobraz i widzi budynek na boku :|

Karczma! to jeszcze piją? to moja bożnica
Jeszcze się nie zwaliła? — Obaczmy jéj w lica,
Obaczmy w jéj i serce, czy też dużo mieści...

|: różne tłumy wychodzą i wchodzą do karczmy :|

Hu! ha! szlachty jak mrowie, hu! i rój niewieści!
Będzie zarybek: Djabeł jak gość tam czekany.
|: chce iść :| Hop!.. ale jam ci jakoś dziwnie zubierany.
|: ogląda po sobie i chodzi po scenie :| Ogon! a panie Djable, ogon! — tu na świecie
Trza pętlicy na piersi, ferezji na grzbiecie;
Boć ludzie lgną ku temu, jako dobre żaki:
Więc mi się ustrój. — Hola!.. służba.. hej chłopaki!

|: zlatują się małe kurzetki, chichoczą i kłaniają mu :|

<u>Djabeł.</u>

Pasa!

(: dają mu pas; on ciągle chodzi i obwiniąwszy się w pas :)

A pas z ogonem, to coś djable brzydko;
Uciąć go. – Ej to boli! – co robić z tą kitką?
(: do Karzełka :) Słuchaj! daj-no go wasze, toć go pasem przepnę,
A jak mi kto do pasa, to go z lekka trzepnę.
A teraz mi ferezyję! (: podają mu :)
Czapkę!
(: wkłada w nią rogi :) Dobry schowek!
(: do Karzełków :) A co?

Karty.

Dziw! dziw! z djabła człowiek!

Djabeł.

Cóż dziwnego że djabeł człeka postać nabył?
Kiedy to nie z jednego człeka cały djabeł.
(: Karty skaczą koło niego czyniąc krotofile :)
Dobra noc, Belzebuby! jak to żabstwo wita.

Karzeł.

A gdzież strojno jegomość?

Djabeł.

Iza sejmik i kwita.

(: Scena się zmienia, dwór i królowa w śmiechach, szepty w orszaku :)

Wapowski. (: do Reja :)

Włoch-to djabła po polsku przebrał dla gawiedzi;
Ale prawdziwy djabeł, oj! czy nie tam siedzi? (: pokazuje na Bonę :)

Rej.

Widzisz waszę, djabełby w naszych czasach żebrał,
Gdyby chcąc zbijać grosze w czepiec się nie przebrał.

Król (: z cicha do żony :)

Basiu moja! jak tobie?

Barbara.

Wesoło i miło.
Jakże mi się rozkosznie to djablę zmieniło!

Scena 2ga dialogue.

|: Wnętrza karczmy. Szlachta w grupach to piją, to siedzą. Djabeł za szlachcica przebrany, ze szlachetką panem Marcinem, dobrze ciętym, pije za stołem. :|

Djabeł. |: nalewając mu kufel :|

A teraz się waszeci pamięci nalało.

|: podaje mu szklankę :| No! trąćmy!

Marcin.

Toć z ochotą... a... tak mi się zdało

Że was znam.

Djabeł.

I dobrze, mój panie Marcinie!

Marcin |: ściska się z djabłem :|

A mój serdeczny kumie!

Djabeł

Jak kuma po rynie,

Jam tobie był sąsiadem gdyś trzymał Witczutki

Marcin. |: popijając :|

A! a! a!

Djabeł.

Nie jedniśmy ściągnęli beczułki!

Takoś się dziarsko trzymał, aleś się wylenił.

Marcin.

Ba, ba, ba! żeby mnie był djabeł nie ożenił

Ze swą rodną siostrzycą...

Djabeł. |: śmiejąc :|

Żonka za kołnierzem!

Pijaweczka!

Marcin.

Oj! żebyć! ale to moździerzem

Jak huczy, trąbi, bębni od rana do nocy,

Że człek nieraz wyleci z domu jakby z procy,

I gdzieś chyba tu spocznie...

Djabeł.

Pokrzepi się?

Marcin

Niby

Djabeł.

A rady na to....

Marcin.

Rady? – Chyba jejmość w dyby;
Ale silna, o! silna!

Djabeł.

Po staremu, swacie,
Ja wam dalbóg pomogę. – Wy mnie w domu zwołacie;
Ja mam słówka uczone na swary i złości,
Ja doktor na małżeńskie owe przyjemności;
Jakem poczciw! obaczysz...

Marcin.

A, mój dobrodzieju!
Jakże tam?... Jędrzej?

Djabeł.

Jędrzej.

Marcin

Mój panie Jędrzeju,
Niech cię uścisnę! (ściska go.)
Ale coś waść trącisz smołą?

Djabeł.

(sobie.) Gotów mnie szlachcic poznać!
(do Marcina.) Ot tak, będąc na Koło,
I zwalałem se poły...

Marcin.

Umyjże się waszeć
Bo moja bić smoły! – Jać ją nieraz straszę,

Gdy mi zacznie doskwierać i wywijać krzyki,
Że ja djabła sprowadzę na takie sejmiki;
A ten smolny jegomość z jejmością się sprawi.
Gotowa na was myśleć... że...

Djabeł. |: przerywając śmiechem :|

Ha! ha! to bawi!

|: na stronie :| Czekaj! ja ci dopiekę mój panie Marcinie!
|: głośno :| Ale my tu zginęli jako mucha w winie,
A tam coś bracia swarzą? |: coraz głośniejsze swary pijących :|

Jeden ze szlachty.

Trza to rekuzować!

Inni.

A! nie inaczej!

Pierwszy.

Każdy jako chce, ślubować
Może i winien. Szlachcie, to sobie zabawa;
Ale co król! król winien z ślubem w nasze prawa
Nie zajeżdżać do woli, lecz jak szlachcie pozwoli:
Na pożytek krajowi! — Tak panowie sejmowi.

Inni

O, tak!

Djabeł. |: zrywa się z ławy i pośród nich staje :|

Bardzo rozumna pana brata mowa;
Ale czy zechcą tak nogi, jak głowa? —
|: do siebie :| Trza ich poważnie. — |: głośno :| Kraj jak pijanica,
Dzban to lud, a panowie — panowie szklanica!
Szklanica ciągnie póki dzban pełny:
Ale gdy owca zażąda wełny,
Gdy dzban zażąda by mu oddać wino;
Odda wtedy szklanica? — Obaczcie się ino!

Marcin |: głośno :|

Ho, ho, ho! dobrze mówi!

Pierwszy.

Lecz do sensu proszę!

Djabeł.

Albom mówił bez sensu? – Więc do zgody wnoszę:
By każdy przy swém obstał; tém powaga wzrasta.
Nie zechcą? – Krzyknąć, „veto!" sejm zwalić i basta!

Szlachta pijana.

Zgoda na to!

Djabeł.

Z inakszym trybem jak pójdziecie,
Wszyscy, co do jednego, w swobodach zginiecie!

Pierwszy.

Zakonkludować!

Marcin.

Dobrze, niech się król nie żeni!
Lepiej mieć djabła z dala, jak djabła w kieszeni!
Ja to wiem z doświadczenia. – Moja dobrodziejka...

Pierwszy.

Co tam waść swą Gertrudę, aż na króla tyka!
Owszem, niech się król żeni!

Inni. |: przerywając :|

Niechaj się nie żeni!

Pierwszy. |: krzycząc :|

Żeni, ale...

Drudzy. |: krzycząc równie głośno :|

Nie żeni....

Djabeł. |: zaciera ręce z ukontentowaniem i lata między szlachtą :|

Niezgody, niezgody!

Żyję...

Pierwszy. |: krzyczy :|

Otóż ożeni...

Drudzy.

Veto! – hej swobody

Inni.

Veto, bracia! i veto...

Pierwszy.

Czekaj, zięcie djabła!

Inny.

Ale waść go zgotujesz!

Pierwszy

Bodaj zmora padła!

Na niezgodę! (: wskazuje djabła :)

Djabeł. (: drwiąc :)

Ba! na waść! bo ja z głosem wspólnym

Trzymam, choćby....

Pierwszy. (: biorąc się do korda :)

Obaczym!

Djabeł. (: łapie Marcina przed się i rzucając nim na pierwszego :)

Marcin za ogólnym

Głosem; rąb się...

(: pierwszy ciął Marcina pijanego po uchu, chcąc dosięgnąć djabła; a djabeł uciekł pod ławę i z pod ławy krzyczy :)

i choćby... przez te rany krwawe,

Hej bracia! dalej za mną!

Jeden ze szlachty. (: śmiejąc :)

A gdzie? czy pod ławę?

Toć się nie pomieścim!

(: śmiech ogólny szlachty; dwór także w śmiechu. :)

Z. August. (: do Barbary :)

O! i ciężkie przebyłem dla mej Basi walki!

Wielkie o serce moje biły się rywalki,

Ty i Ojczyzna! – Alem Boga wezwał w radę,

Obum on serce może przysądził, i zwadę

Zmienił w lubość.

Barbara.

A ja ci, mój mężu, tak mało
Dzięk dała!

August.

Ino kochaj, jak to się kochało! |: pieszczoty :|

Wapowski. |: do Reja :|

Już trąca polityką; z lekka króla zaciął.

Rej.

Czy króla, czyli jego związku nieprzyjaciół,
Trudno poznać; bo Włoch lis, krętym biegiem ściga.

Radziwiłł. |: do Ocieskiego :|

Jak się do naszej Bari dziarsko król umizga!
Włoszka mało oczyma nie pożre tę parę;
By jaskółki przed burzą, tak jéj oczy szare.
Zda się, że i dialog coś jéj nie do smaku,
Gotowa swego Włocha obwiesić na haku;
Bo już djabeł co szlachtę przeciw króla drażni,
Musiał z królową Boną być w dobréj przyjaźni.

Ocieski, kanclerz.

Dziwnie! bo ten dialog grają po jéj woli.

Radziwiłł.

O! gdyby tak, to i dla nas będzie szczypta soli.

Smolik. |: do Wapowskiego :|

Sejmik w karczmie! – dla śmiechu, dobrze. – Lecz, za katy!
Dziwnieby się trzymały nasze pany braty,
By wiedziano ze dworze na śmiech szlachtę tyka,
Mieszczące życie publiczne w miejscu gdzie się tyka!

Wapowski.

Oj! bo znasz jakie miejsce kędyby nie żyło
Publiczne życie nasze! – byle dwóch mówiło,
To już o niem brat bratu ze swą radą staje.
Mniejsza miejsca; – waga słów wagę miejscu daje!

Kłótnia, jak dym nad ogniem; dym ognia nie zdala;
Ale, o bracia moi, taki dym nie zala,
Co się z publicznej kuźni na jawę wyrwie.
Ciężko nie kipieć wodzie gdy pełne naczynie!

|: Pod owe rozmowy zmieniła się scena dialogu na wnętrze domu Marcina. Pani Marcinowa z pękiem kluczy, oddaje worek pieniędzy służącej dziewce. :|

Marcinowa. |: do niej :|

Już wiesz kędy to schować aby mój nie ruszył,
Boby go w flaszę zamienił i z flaszą wysuszył. |: służba odeszła :|

|: w tém środkowemi drzwiami Marcin owiązany, Djabeł go prowadzi. :|

Djabeł. |: do Marcinowej :|

To zuch! – Sługa jejmości; ledwom go wydostał,
Tak się z panami braty na dobre wychłostał!
Odcinałem go z przodu by nie wziął po pasie,
Ale się ot pan Marcin zawadził w tym czasie,
I jeden: hej go w ucho! – ja go za to w nogę..

Marcin. |: kiwając głową :|

Nie tak było!

Djabeł. |: z cicha :|

Sza bracie! bo ci nie pomogę.

Marcin.

Tak, tak było. – Lecz z kądże waści wlazł pod ławę?

Djabeł.

A i bardzo! bom widział jak cię w ucho prawe
Drugi mierzył. – Zasłonić już nie było czasem;
A więc ja, bęc o ziemię! – i wielkim hałasem
Zamroczyłem szlachcica i nuż go za nogę!
Wlazł on biedak pod ławę, jam mu wskazał drogę.

Marcin. |: sobie :|

Tęgo kręci!

Djabeł.

Lecz jejmość patrzy jak na marę!

A myśmy z jéj małżonkiem zeszli w lata stare
Z przyjaźni...

<u>Szlachcic</u>. |: wskazując na djabła :|

To pan Jędrzéj! |: djabeł się kłania uniżenie; Jejm...

<u>Jejmość</u>. |: do męża :|

Zkąd się waszć wzięło
W dom wpuszczać lada kogo? — Dom, to boże dzieło,
Dom przybytek! — Kiedy kto za niski w dom wchodzi,
Do miary wadzenia głową nie dochodzi,
Biada mu! progi kala, głową nie urośnie,
A z nóg się zwalić może choćby grzmiał donośnie.

<u>Djabeł</u>. |: sobie :|

Czekaj jędzo!

|: między widzami szepty głośne :|

<u>Radziwiłł</u> |:

To dla nas!

|: wszyscy z natężeniem patrzą w królewską parę; Barbara drży :|

<u>Z. August</u>.

Co ci Basiu miła?

<u>Barbara</u>.

Jakaś mi się gorącość ku głowie rzuciła.
Możeby przestać?

<u>August</u>. |: do niéj :|

O nie! to niéj matki sztuka;
Ona-to zawstydzenia twego okiem szuka
Tak chciwém. — Dwór nazajutrz słowaby rozwłóczył:
„Że ktoś za niski w dworzec wszedł i to poczuł".
Niechaj grają, gadają, niech ni matka szali!
Basiu! tyś już królową!

|: podnosi się z prędkością, uśmiech stoi na twarzy i do grających :|

Dobrze! Krewni dalej!

|: siada; scena jak poprzedzy — <u>Barbara ciągle w dreszczu tuli się ku niemu</u> :|

Marcin.

Hola! konadatorko! ja tak chcę i kwita,
A jejmość się o rady niechaj mi nie pyta!
Boć nie wiem kto tu panem?

Djabeł.

Ja nie wiem.

Marcinowa

Ja nie wiem!

Marcin |: sierdzisto :|

Ale będziemy wiedzieć.

Djabeł. |: sobie :|

Popiół nad zarzewiem,
To węgle lepiej gorą; ja ich sztuczę zgodą.
|: głośno :| Ależ panie Marcinie! |: Marcin wyrywa mu rękę i idzie w jeden kąt izby :|
|: idzie do Marcinowej :| Ej! z taką wadą!
Gniew w licach jak nietoperz co, gdy słońce krzepnie,
On chce latać; wylezie, uwięźnie i ślepnie. |: Marcinowa w drugi kąt :|
Gdy małżeństwo zdąsane gdzieś po kątach broi,
Djabeł dla równowagi wpośród izby stoi
By się dom nie zawalił. |: wskazując na kąt gdzie niewiasta :|
Oj! tam gniewów tyla
Że mimo djablej mocy budynek się chyla.
Het, na stronę jejmości!
|: głośno do jednej strony :| No!
|: do drugiej strony :| Jakże tam było?
|: leci do Marcina, z cicha :| Panie kumie, ty fukaj!
|: do jejmości do ucha :| O! jejmość aż miło!
Tak trzeba pana męża trzymać, bo to zwada.
|: znów do Marcina idzie :| Jejmość jak na kobyłę siwą na cię siada;
Nie daj się panie kumie!
|: do Marcinowej :| Pan Marcin przekora;
Chce byście ustąpili jakiegoś tam wora,

Co to dziś...

Marcinowa.

Patrzaj! patrzaj!

Djabeł. |: leci do Marcina :|

Jak na cię zwija!
Mówi że ino Marcin codzień się upija,
A w gumnie ani portał...

Marcin

Jaka gospodarska!

Djabeł. |: leci do jejmości :|

Pan Marcin znowu: waszże nie pilnujesz garka,
A sam...

Marcinowa. |: rozztoszczona krzyczy :|

Kufla!

Djabeł. |: leci do Marcina :|

Oj, kufla!

Marcinowa.

Miodu!

Djabeł.

Miodu.

Marcinowa.

Piwa!

Marcin. |: rozgniewany :|

A to mi z litaniją! — Coś waści dogrzéwa,
Moja pani kokoszo! |: djabeł leci do jejmości :|

Kury pilnuj!

Djabeł. |: do jejmości :|

Kury

Marcin.

Mléka patrzyć!

Djabeł. |: z przekąsem jej wtórzy :|

O mléka!

Marcin.

Sera, by go szczury
Nie zjadły! szczurów...

Djabeł.

Szczurów..

Marcin.

Z niemi tobie wojny
Szukać waści...

Marcinowa.

A tobie?

Djabeł. (: jej dogadując :)

Jaki to spokojny
Ten pan Marcin?

Marcinowa.

Wojaku!

Djabeł. (: przelatuje do niego :)

Pijaku

Marcinowa. (: dogadując :)

Domowy

(: małżeństwo zbliża się do siebie grożąc :)

Djabeł. (: sobie :)

Ostro idzie; ino co, wezmą się za głowy! –
(: obcierając się z potu :) Alem się tęgo spocił; bo bez przeproszenia,
Między stadłem to djabeł dużo do czynienia
Zawsze ma, i wolałbym huzarją dowodzić,
Niż owe złote związki kołysać i godzić.
Uf!

(: Marcinowa trzaska drzwiami i wychodzi :)

Djabeł. (: do Marcina :)

Jakaż to przechera!

Marcin.

Aż mi szumi w czubie!

Djabeł.

U! u! – A dawnoż jako już waściem po ślubie?

Marcin.

Jak dawno?.. ba i dawno, sześć miesięcy prawie!

Djabeł.

Jużci? – No! tom źle trafił, to już po zabawie
Zeszło się, na orzeszek tak idąc po drodze,
Ale trzeba się zgodzić i ja was pogodzę.

Marcin.

Alež...

Djabeł.

Bo kto raz weźmie sobie do dom' biédę,
To musi ciągnąć póty, póki... czekaj! idę,
Pomówię z nią sam na sam. (: odchodzi :)

Barbara. (: chwyta mocno Zygmunta za rękę :)
Coraz gorzéj, gorzéj...

Z. August.

Nic to Basiu, niech idą te przycinki sporzéj.
Pani matka wesoła! – Nasze sześć miesięcy
Nie minęły, nie miną; my coraz goręcéj
Kochać się będziem Basiu! – Nie drżyj mi u łona,
W mych objęciach zapomnij co tam skwarczy Bona.
Śmiéj się ze mną, jeźli kochasz, choć cię serce boli!
Śmiéj ze mną!... wesoło! i głośno... do woli!
(: śmiejąc się :) Ha, ha, ha!... jak mnie kochasz!

Barbara.

Już i śmiać się zacznę,
Gdy mnie w imię miłości każesz. – Lecz opaczne
Jakieś mi mary stoją!

Z. August. (: ze złością :)

Dla śmiechu, Basiu moja, rzuć to, zdepc pod nogi!

Trzech nóg łykać nie winno!

Ociecki. (: do Radziwiłła :)

Królowa się mieni!

Sine jej drgają usta, twarz gore z płomieni!

Radziwiłł.

Czegoby? czy z przymówek? — Czyby się wstydziła
Że z domu Radziwiłłów aż na tron wstąpiła?
To nie było wyrokło jak na Radziwiłła!..

Smolik. (: do Starca :)

Coś nam zbredził pan Monti! z szlachcicem sfolgował,
A jejmość zbytnie żywą, i dziarską zmalował.

Stańczyk.

Oj nie zbredził pan doktor i dobrze zatroił;
Odgadł te czasy! — Szlachcic dawniej się nie dwoił
Jak za nas na dwa życia, publiczne, domowe.
Dawniej zamierzkał w pierwszem: tam szablę, tam głowę,
Tam poduszkę miał w polu; a w domu zniechana
Siedziała mu niewiasta, jak sługa u pana.
Dzisiaj powoli sunie z tych zapaśnych szranków,
Dzisiaj może dożyjem niewieścich kochanków,
I za czasem gdy z pierza zawładnie niewiasta,
Miękkim duchem grać będzie męzka pierś żylasta;
Zniewieścieje mu łono i jak pijanica
Skoczy w rańtuch, z rańtucha nie ujrzysz szlachcica!

(: Zmiana w dialogu za drugim znakiem Montiego; światłość niebieska, w górze jak przez mgłę lekką widać chóry aniołów — cichą melodją arfy czasem przerywa. Wchodzi kobieta w bieli, w ręku koronę trzyma, klęka i koronę podnosi oburącz ku niebu. :)

Chór aniołów.

Ten wyraz boleści, to godło wielkości
Z rąk twoich zżebrała śmierć dzika;
Co było nicością, to wróci nicości.

Niewiasto, niewiasto! ta ziemia próżności
Pod której kolanem twa ziemskość utyka,
Zapomni imienia i twego znaczenia!
Tu do nas, tu do nas, zapragnij schronienia!

Z. August. |: wpatrując się mocno w postać klęczącą na ziemi coraz w

Cóż to?

Chór aniołów. |: dalej :|

Królewskie wygody, królewskie powicia
Nie mogły cię schronić, nie mogły dać życia
Na dłużej, niewiasto, jak na chwilę zgonu!
Bo komu dwie cyfry spisano na czole,
Rodzenia i życia; to temu w półkole
Splątano i trzecią, grobowy głos dzwonu!
A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapragnij schronienia!

Z. August. |: ciągle tą postacią zajęty :|

To czary! jéj głos i postać!

Chór aniołów.

Dobrze ci było na ziemi zostać!
Głos berła, złota, strojów i blasku
Miał dla cię język miłego wrzasku,
Jakim się dziecię pieluszne bawi;
Ale za stopą klepsydra stała,
Ledwie ci stroje przymierzyć dała,
Już wyszła i pierś twą skrwawi!
A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapragnij schronienia!

Smolik |: na stronie do błazna :|

Jakiż to koniec wszystkiej osnowy?
Tam figle djabła, tu śpiew aniołowy.

Stańczyk.

Czekaj!

Z. August. (: do siebie :)

To Anna moja z księżniczą koroną!

(: do Bony :) Matko! jakże podobna z moją przeszłą żoną!

Bona. (: do Syna :) (: patrząc szydersko na Barbarę która [...]ęcą na scenie coraz więcej drży :)

Z którą?

Z. August.

Z tą, co umarła tak nagle.

Barbara (: przestraszona :)

Auguście!

Coś i do mnie podobna!

Z. August. (: tuląc ją :)

Dziecko, jam w rozpuście

Był wtedy i niepilen skarbu, to go skradli!

Ale dziś Basiu, oniby pobladli

Za każdy włos twój; a ty nie drżyj luba!

Jam teraz król, a w tobie znalazła się zguba.

Barbara.

Ja drżę z lubości. — Głos tych aniołów

Wywołał we mnie jakieś uśpienia

Miłe, spokojne, chętne zachcenia;

Spać, spać Auguście, głowę ci złożę,

A przed tą chwilą, to nie daj Boże,

By kto tak cierpiał jakem cierpiała!

Ciało się rwało, teraz jakby dusza rwała

I gdzieś, gdzieś leciała! (: kładzie mu głowę na ramię :)

Z. August.

O! trzeba Basiu abyś dosłuchała.

Ta sama scena........, niewiasta ciągle klęczy, a z boku prowadzi archanioł djabła już w właściwej jego postaci :)

Djabeł. (: wypraszając się archaniołowi :)

Ino dokończę z panią Marcinową!

Chwilę, pół chwilki! a potem z mą głową,

Książę anielski zrobisz, co każąty nieba.

Archanioł.

Potém skończysz zabawę, dziś cię niebu trzeba.
Czas nadszedł. |: wskazując :| Ta dusza niewieścia w téj chwili
Żegnała ziemię; anieli zmówili
Prośbę do tronu, ty podaj skargi.
Klęczy przed sądem. – Wyszczérzaj wargi
I krzycz jéj błędy!.. bo któż nie błądzi? –
Skarż. – W niebie wielki sędzia słucha i sądzi!

Djabeł. |: wpatrując :|

Skarg na nią, na co? – ot je w ręku trzyma.
Ta korona me skargi! – Ona wzrok Kaima
Zatrzymała w koronę i nie wzniosła więcej
Oczu jak na koronę! – Niby najgoręcej
Kochała: co? – Koronę! – Dla niéj dała usta,
Od grobu czyjegoś zbiegła jak rozpusta
I tuli żal w koronie!

Barbara. |: krzyknęła i rzuciła się rob... :|

Ah!

Z. August. |: zrywa się z wściekłością :|

Stójcie oszczerce!

|: do Bony :| Matko! patrz dalej! masz ku temu serce;
Masz i naukę, umiesz słówka włożyć
Któremi sztucznie można cnotę zgnieść!
|: woła na Barbarę :| Pójdź moja Basiu!
|: Barbara niewzruszona, głową skłoniona na poręcz krzesła, nie daje znaku życia. Dwór skoczył ratować ją. :|

August. |: nie postrzegając jeszcze jej zemdlenia :|

Wstań królowo moja!
Wstań Basiu luba! – Wstań Augusta żono! |: bieży ku niéj :|
Cóż to?.. |: widząc nieżywą, krzyczy :| hej Monti! Monti!

Montio. |: dając znak do zapuszczenia kortyny :|

– – – – – – – – – – – Już skończo...

Stańczyk. |: do Gnolitka :|

Widzisz? Włoch skończył.

|: rzucają się dworzany, na czele Radziwiłł ku ratunkowi :|

Bona. |: z całą dumą wstaje z królewskiego siedzenia i do osłupiałego Augusta :|

|: wskazując na Barbarę :| Cóż to? że ktoś zasłabnie,

|: wskazując na scenę dialogu :| albo ktoś pomówi,

To się wolno dla matki zapomnieć synowi?

O nie! – Syn chociaż królem, niech zna matki władzę!

Tyś dziecko u mnie. Dziecko od siebie odsadzę

Kiedy się w złości zżyma, szaleje i bredzi. –

|: do swoich dworaków :| W podróż! w podróż! za długo goszczę śród niedźwiedzi!

|: odchodzi ze swoją przybocza. :|

|: Król August z zatamowaniem wzruszenia stoi przy krześle Barbary. :|

|: Dworzany ratujący Barbarę, szemrzą cicho: :| Skonała!

Koniec.

3.

Posiedzenie Bacciarellego

Malarza.

Powtarzam opowiadanie którem słyszał dzieckiem w domu mego dziada, sędziego B.... co był mi ojcem i matką. Jak dziś pomnę i gest i wyrazy malarza Włocha, a nim był sam opowiadający Bacciarelli; a powieść jego utkwiła mi głęboko, bo miała dla mnie coś tajemniczo-ciekawego jak dla dziecka. W reszcie stanowiła u mnie ważną epokę, bo się toczyła przy obrazie wielkim w złotych ramach, świeżo przyniesionym do żółtego pokoju, mego Sanctum-Sanctorum zabaw. Mówiący często na ten obraz skazywał. Jam słuchał; ciekawy, coby to za jeden był na nim ze złotemi szlifami, w niebieskim mundurze, z białą, atłasową kamizolą?

I jakem się dowiedział że to król dawny, muż co dzień przed nim w całym pędzie drewnianego konia, w papierowym kołpaku wyprawiać szyki i trąbić do boju. O! bo wtedy dzielny był ze mnie żołnierz i szczęśliwy w potyczkach! – później nie tak.

„Więc posłuchajcie wraz ze mną, dzieckiem, opowiadań malarza, artysty! – ......

......W końcu marca ... roku, z rana, gdym się miał udać do pracowni mojéj w zamku królewskim, przysłał po mnie xiąże Prymas karetę swoją z prośbą, że czeka na mnie w pałacu biskupim, chcąc w ważnéj sprawie pomówić. Za chwilę spełniłem rozkaz i nie meldowany zachodzę do jego komnaty. Był w rozmowie cichéj i głębokiéj z xiędzem Mejerem spowiednikiem; xiąże nie ujrzał mnie, lecz spowiednik spostrzegłszy wchodzącego urwał rozmowę. — Xiąże utopiony słuchał jéj jeszcze, dumał, wnet prędkim krokiem przeszedł się kilka razy w pokoju tuż obok mnie, a wychodząc z zadumy, szeroką swą dłonią uderzył kilkakroć w czoło. — Otworzył usta, chciał mówić, w tém oczy jego padły na mnie, zmieszał go ten widok, zawrócił słowa na wpół wybiegłe i głosem, więcéj drżącym z bojaźni jak gniewu: „Kto tam i czego wy chcecie?„ zawołał, a potém poznając mnie: „Ha, to wy Bacciarelli! — z zamku? cóż mi z zamku przynosisz dobrego? —„

Mości xiąże! wołany od waszéj miłości...

„Wołany? od nas? — tak! tak! — przypominam, to nie odemnie, — Grabowska, — tak, odemnie. — Chciałem byś mi mego odmalował brata; — teraz nie wiem czy mi się to na co przyda! — Ja mam, mam już malowanego brata, wszak prawda xięże Mejerze?.. dodał z przyciskiem, obracając się do spowiednika; wszak prawda że mam malowanego brata?.. i stąd złe wszystko, i stąd dojść może aż do tego, że on swego więcéj mieć nie będzie!„

Znów posunął krokiem po hebanowéj posadzce, z zaciętą wargą, z zamyślonem obliczem: „Ha! bo to trzeba głowy nie serca, a mój brat cały sercem. Słowo jakie nas i jego zbawić może, on go nie zrozumie. Jemuby trzeba głośno wobec całego świata krzyknąć wspólnie z narodem „Tak„, a on tego nie zrobi, a on nie ma mocy ku temu, ani też mocy aby przeciw narodowi „Nie„, całym swym majestatem utrzymał. — Mówić mu? — toć jam tyle razy już mówił, błagał, dowodził. — Odkładał, odkładał; później, później! — a ty mi mówisz że już nie czas Mejerze?„ —

I stanął w prost spowiednika, badawczo na jego ruchy zapatrzył. Xiądz Mejer ramionem ruszył, z lekka przebrał wargami, po tém spojrzał na mnie: —

„ O! ja sam widzę że nie czas; już dziś więcej rządzi pałac na przeciw kapucynów, niż
„ mek, a z drugiej strony ciągnie burza ciemna, cicha, piekielna, a może sprawiedliw
„ kryzys, kryzys słabego ciała rzeczypospolitej! – Ja niechcę bydź przy tem przesileniu!
„ nie będę przy niem!„ – wołał Prymas, i dłonią swoją bił znacząco o poręcz krzesła
Widząc że wiadomość chwilowa, trzecią i tajemniczą do mego zwołania żadnej
styczności mieć nie mogąca, opanowała umysł księcia, chciałem się usunąć z k
nnaty i cofając się z lekka uderzyłem przy wychodzie nogą o drzwi gabinetu.
Ruch ten zbudził Prymasa, skinął ręką bym został, przetarł czoło, – zdawało
się że i z oczu zdjął łzę nabiegłą i spokojniejszym dodał głosem:
„Czekaj Bacciarelli; zrobisz mi obraz króla jegomości w naturalnej wielkości„
„ciała, obiecałem go; a żeby cię zachęcić do oddania zupełnego podobieństwa, dodam
„ iż go obiecałem osobie, która króla mego zna z bliska i może bliżej jak my oba,
„ patrzyła mu się nie raz – rozumiesz?„
Mości Xiążę! wasz rozkaz w krótce ... i jak ...
„ Już ja wiem, mój Bacciarelli, że ty go dobrze oddasz; więcej bym cię in
„ o pośpiech prosił, bo kto wie? ...„
Zamilkł i zasępił czoło. – Ja zaś widząc że posłuchanie moje skończon
i nie ma czego bawić, skłoniłem księciu i odjechałem do pracowni.
Nazajutrz rankiem, ledwo co czerwone słońce rozbiło mgłę wiosnianą, przy
moim trójnogu w pracowni siedziałem koło rozciągniętego płótna i rozzoraj
cone zarysy, kręgłemi znaczyłem kontury. Otoż go masz, mówił dalej Bacci
relli, do ś. p. dziada mojego wskazując na podarowany obraz, ale nie takim by
dnia tego. Owal twarzy królewskiej zaledwiem obrzucił gruntem, postawa w j
kiej go teraz widzisz, siedziała mi dopiero w myśli; alem się nad nią nie m
czył, nie rozkładał wiele, charakter Stanisława sam mi ją natchnął: prawa r
ka na poły w białą, atłasową kamizolę założona, jakby wskazująca serce, ów
gest dobroci co wrodzonym pędem zda się wskazywać w tym królu to, czém jego
tura przemawia; a lewą nie kładłem na rękojeść szpady, ani dumnie w pas
bieskiego munduru, – nigdym takiego ruchu u niego nie widział, choć nań co dz
patrzałem, – oparłem ją w krawędź szkarłatnego krzesła, tę piękną, białą, krągł
rękę Stanisława i czepiłem się jéj naprzód pędzlami mojemi; twarz, głowę, ubi
i cienie, wszystkom ominął, zapomniał dla téj jednéj ręki, boskiéj ręki. Każdy

malarz, uważaj dobrze mój sędzio, w obrazie swym, człowieka lub natury, ma jedną myśl szczególną, która go nad inne pociągnie, która panuje jego obrazowi i spowiada znawcy o uczuciu, jakiém malarz w ciągu swéj pracy oddychał; poznasz ją po pieściwém oddaniu jakiego szczegółu, który ci z całego utworu naprzód uderzy w oczy. I to nie fantazia, nie wybryk artystowski podszepnie nam to wyszukanie; natura sama daje nam wzór, my tylko rozględnie i bacznie podchwytujemy jéj wyraz szczególny, którym zarysowała szczególnego człowieka. Kiedy raz pierwszy ujrzysz kogo, uderzy cię w twarzy lub postawie jego jakiś wyraz odrębny lub układ odmienny, którym ty znaczysz w pamięci swojéj tego człowieka, i już go potém poznasz, rozróżnisz między wielu innymi którycheś widział. To przemówienie twoich oczu pamięci było ukośném tajemniczego szczegółu, którym natura wlepiła tego człowieka w ogół swych tworów. Malarz chwyta to i ceni, na co wy prostém i zwyczajném patrzycie okiem; bo wam idzie li o poznanie, nam o tajemnicę oddania.

Tak moją ulubioną myślą stała się ręka Stanisława; porwałem ją na płótno, zdawała się miętnieć pod pędzlem. Chciałem w niéj wszystko oddać co tylko malarz oddać jest zdolny, i owe życie nabiegających żyłek, i ową lekką, nie dojrzaną mocność, która pulchnym kobiecym rękom blasku dodaje, i ową pochopność w ściśnieniu, którą tak często król mnie witał. W moim malarskim języku chciałem być dworakiem i wywdzięczyć się za to ściśnienie ręce, które na wzajem uścisnąć nie mogłem. I tak mi coś pochlebnego, lubego siadło na pędzlu, tak mi przytomną stała się jéj forma i rześkość, żem zachciał ją oddać ale tak oddać, iżby każdy spojrzawszy na tę rękę, nie bacząc twarzy i reszty obrazu, krzyknął: „Ha! to Stanisława ręka!"

Żadnego cienia, ino pełne jasne światło rzucam na dłoń i palce. — O! gdybym miał cienie dawać, położyłbym je na jego czole szerokiém choćby dla tego, by potrzyć marszczki niespokoju i bólów co się tam wypisały; takie-to wtedy przykre świeciły mu czasy. —

Czyż jak pędzel powoli mi sunie, ale ja się tak pieszczę z tą ręką, że mi go od niéj oderwać się nie chce; a przecież czekają na ten obraz i wczoraj jeszcze wieczorem pani Grabowska tajemnie z pałacyku Łazienek przysłała po mnie i w pobliskiéj alkowie siedziałem długo i bacznie, podczas gdy z królem bawiła i niby z niechcenia zawadziła go do gry, abym z niego mógł wziąć podobieństwo. — Onaby tak rada mieć prędko swego kochanka! — Ale to i mój kochanek ten obraz! — rodząc go mam całą rozkosz ojca patrzącego w dziecię jak rośnie.

Później on będzie dla nich, dla wszystkich, teraz jest ino dla mnie. Ja go mam skoń-
czonego tu w głowie, widzę cały ruch jego, cały skład, całą harmonię tego co będzie dla innych
co już jest myślą dla mnie. A w tém, rzecz dziwna, jakby mnie coś rzuciło od obrazu! uk-
czyłem, upuszczam pędzel, urwałem robotę, i myśl fantasta pomknęła mi po głowie: „Gd-
„by stanąć, porzucić pędzel; zostawić bez koloru, bez życia, bez rzeźby i cieniów, istotą
„zarysowaną ledwie, i tę postacią którą dopiero kilka oznacza linii; i tylko ta ręka, t
„jedna ręka żyjąca z owym różowym blaskiem krwi, co się w palcach promieni gdyby z
„stała, sama, nie oparta, żyjąca w tym nie żywym obrazie, zawisła na tych kilku l
„niach, nitkach co przez krzesło stanowią niciały! – Gdyby zostawić przyszłym w
„kom tę zagadkę malarza, ten kaprys artysty! – niech myślą, niech zgadują, niech
„robiąc twarz, usta, oczy, rysy do téj ręki! – Gdybym w rzezie obrazu położył tak
„szeroki, tak wielki cień, jaki padnie kiedyś z grobowca na tę żyjącą postać-męża?
„Gdyby uprzedzić śmierć w jej skutkach i tylko sercu ludzi zostawić rodzinne p
„ste zgadowanie téj ręki! Ktoby odgadł? Ktoby poznał tego którego teraz każdy
„i wielbi? Kto? –„

Ja panie Bacciarelli, odezwał się głos po za mną wchodzącego Szambelan
Strzemborza, który mój wykrzyk uniesienia wziął za proste pytanie ciekawoś
Ja, panie malarzu, przychodzę ci przerwać pracę waszą; ale śpieszcie, śpiesz
mną, dziwne i straszne opanują was rzeczy; król na was niecierpliwie czek
dowiecie się o wszystkiem: i po co...

Nie tracę chwili, śpieszę do króla; – zastałem go zmienionym jak nigdy; on
tak rozmowny, witający, oniemiał tą razą i długo bez słowa, bez powitania p
szło mi czekać w komnacie. – Turkot powozu zachodzącego przed okna królew
skie przerwał to przykre milczenie. Zbudził się Stanisław jakby z przykr
go snu, jakby z przykrego wypoczynku po smutku. Czytałem w jego twarzy
że słowa które miał do mnie mówić, dużo go kosztować musiały. – „Ha! rz
„pojedź mój Bacciarelli! i wskazał na karetę, weź pędzel i płótno; – gdzie? oni ci p
„wiedzą, oni powiedzą kogo.„ – odwrócił się, zasłonił oczy rękoma, ciche szlocha
jakby się dalej skarżyło przeczenną. Mnie na ustach była ciekawość, bom jeszcze
jak żyję nie odbierał polecenia z takim smutkiem i niechęcią wydawanego. Zna
jąc dworskie zajścia i chmury, z których najczęściej niepogoda na twarz królewską
przypisywałem dolegliwość jego nowym starostom pani Luly z Anną Grabowską

Dwie te zapaśnice jak kręglem, grały królewskim umysłem w przekór sobie i spokojność jego była jak ten syn pierworodny któremu matka umrze, a ludzie w miejsce jéj pieszczot litość mu dadzą; więc jemu niby to dobrze, ale często spłacze sierota serce króla, nie żeby obie jednako kochało, ale dobroć wrodzona, dobroć bez hartu, bez wyboru, dobroć któréj najlepszą stroną była słabość i uległość każdemu wewnętrznemu wrażeniu, trzymała obie rywalki u boku króla; i raczej wolał przenieść następstwa zazdrości, plotek, całą walkę pokojową tych pań, nad chwilę jedną wyboru, odtrącenia któréj z tych dwóch zapaśniczek lubości.

Lecz i one miały więcej za sobą jak tę słabość króla, więcej jak piękność swoją; one wyrosły na dworze w potęgę dwóch partyi które się objawiły w narodzie. Słabo stał tron Stanisława bez dzielności w sobie, bez samoistności, bez korzenia w narodzie, bez współczucia możniejszych. Panowanie jego, był-to bluszcz na mogile i jak bluszcz od samych poetów lubiony.

Wielkie mary narodowych pojęć przeciągały koło tego tronu, bez nadziei w nim, bez spodziewań, bez ognia którymby mogły zapalać ku niemu swe serca. Ogół narodu czuł że sam za siebie myśleć musi, że nikt za niego nie myśli, że jeśli działać przyjdzie, powiedzą mu: „działaj narodzie, my o tém wiedzieć nie chcemy" — Piękną swą rękę Stanisław opłacił w przyrzeczenia z piękną obcą mocarką. Namiętność człowieka stanęła później zawadą w obowiązkach króla: poseł był kochankiem, stolnik dłużnikiem; za późno Stanisław królem został, a za poczciwym aby posła i stolnika w sobie zabarzyć. Kiedy więc na naród przyszła kolej myślenia, znalazło się myślących głów wiele, a każdy w swoim sposobie. — Są kwiaty w królestwie roślin, jedne co kwitną dla siebie, popadną, oślepią i bez owocu schodzą; są drugie co mają łono z miodu,* motyl je całuje, cierpią w sobie, i jeszcze owoc pod nogi przyszłości rzucą.

Tak były w rzeczypospolitéj dwa kwiaty ogólnego myślenia: ślepiące kwiaty tego królestwa z imionami swojemi: Czarnowskich, Potockich, Czartoryskich wiodły rej w myślach o narodzie, ale — sobie kwitnęły: chciały mieć kościół swój otwarty, ale wielki ołtarz dla siebie. A druga część myślących jeszcze nie miała znaczących imion; gotowała się do kwiatu z ciężarnym bólem, to gdzieś w postrzałach konfederatów, to znów w piersi podkanclerskiéj, to owdzie w kościelnym kąciku, to gdzieś przy warsztacie szewca; ale miała jedną nazwę,

* nie dla siebie; rój do nich pędzi, muszka niemi żyje.

chęć samoistnienia; jeden cel, dobro ogółu; a nie myślała o sobie, ino jako o urzę-
ku, kapłanie, szewcu, lub gdzie ją kwitnięcie zastanie. Otóż dwie te partyje po-
oblicze króla przychodziły nieraz śmiało, zalotne i chciały go badać i sprzedać z fo-
On niby nie słuchał, nie wiedział niby; raz jednak partyja konfederatów uści-
ła króla porywczemi rękami tak mocno, że aż but i rękawiczkę zgubił, (a
poczciwy szewc później dopiero but mu dokroił, a podkanclerzy Hugo rękawicz-
kę odrzucał; po tym kroku jednej partyi przyszło do tego, że druga nacierać spo-
rzyj, dwie potencie rozgoniła w biednej krainie i ożywotnie końca zabiegów
swoich. I ci panowie protyją dworackie karki przed królem, bo im chce się ko-
lami zostać, a również nadzieja patrzy na sprzymierzone i sprzedane od nich
wojska. Król się na to uśmiecha i idzie do Łazienek bawić się z Lutą lub
bawełką. Ale jedną razą i tam go przydybała polityka: dwie te niewiasty
zwarzyły się i dały sobie walkę na zabój: „Ty lub Ja" — Lecz aby dojść do celu
aby wspólnictwo w działaniu przeciw rywalce otrzymać, podały ręce partyjom
narodu i przeciw sobie pod chorągwiami politycznych wystąpiły zamierzeń. —
stan obecnej chwili zdał mi się dosyć ilumnacyją rozmyślenie starca i jam go nie
chciał bez pociechy zostawić, jam go konał przytomnością moją wrócić do wsz-
mania żałoby; i jeszczem stał w sali z zegnającym ukłonem, gdy nadszedł sza-
belan z przypomnieniem że kareta zaszła. Król zwrócił się raz jeszcze ku m-
pożegnał ręką, i postąpił ku drzwiom sypialni. Za wychodzącym sunątem okie-
i zdało mi się widzieć w jego gabinecie czarny strój kobiety, co się odedrzwi
suwała kiedy król je otwierał.

Sprowadzony śpiesznie ze schodów zamkowych, ledwo w karecie dowiedzia-
łem się z rozkazu jaki szambelan w głos woźnicy rzucił, gdzie mnie wiozą;
nie daleka była ta podróż, do prymasa pałacu; wczoraj ją odbyłem. Ale jakże
różne wczora od dzisiaj! jakże różny sam pałac zastałem! Świątnią spokoju i
uszanowania przerywane szelestem przeładywaniem służby, trzask drzwi je-
dne po drugich, w sieniach kilkunastu z liberji w ciekawe grono zwinięty
szemrało między sobą. Przedemną wybiegł z pokoju kamerdyner i krzyknął na
nich: „Wody!" —; leniwy ruch kilku z czeredy dał się widzieć po tym naglącym
kazie. Wchodząc do sali postrzegłem pośpiech kamerdynera, obrany z wszelkiego usza-
nowania dla miejsca i osoby pana jego, drzwi wszystkie otworem, ostatnie do alko-

książęcej w które śpieszno wkraczał, zatrzask za sobą toskotliwie. Zmieszany, nie wiem gdzie iść, kogo pytać, komu meldować, gdy po za mną słyszę głos pani Grabowskiéj w czarném żałobném odzieniu, oczy zaczerwieniałe z płaczu, jéj śliczne siwo-błękitne oczy którym tak dobrze obok czarnych splotów, którym tak wymownie grecko-sarmacki noszek przewodniczył i ów dołek na podbródku z którym często pieszcząc się król Stanisław mawiał: „Ty będziesz miała dwóch mężów lub dwóch kochanków, „Anusiu!„ — Wabny ten pąszek łazienkowskiéj oranżerji, cały w rosie, pomięty płaczem, lirem jak chmurą szczerniony, rankiem w pośród tych krążeń lokajskich, w pośród nie sprzątniętych komnat pałacu, zdał mi się jak zapomniana doniczka róży, kiedy po zabawie i tańcach wyniosą wszystkie ubrania, kwiaty z salonu, a onę królowę kwiatów zapomniawszy z gołemi ścianę zostawią.

„Pójdź za mną, panie Bacciarelli, ozwie się wchodząca, téj ostatniéj posługi „król od ciebie wymaga; przypomnij nam to, co odtąd dla nas z rzeczywistości przypo„mnieniem ino być może!„ — To mówiąc postąpiliśmy w ciemną sypialnię Prymasa, różową firanką u okien zaciśniętą.

Niestety! teraz zrozumiałem i boleść króla i czarny ubiór Grabowskiéj i nieporządek pałacu, usprawiedliwione przedemną. Xiążę Prymas leżał na łożu z przymartą źrenicą, z posiniałą twarzą, jedną rękę trzymał na piersi ale tak zaciśniętą, jakby się mocował jeszcze z bólem tłoczącym mu łono; a drugą trzymał wzkartałną kołdrę łoża, pomiętą wściekłemi poruszeniami palców. Duchowna czapeczka zasunęła mu czoło w połowie, głowa w wielkich poduszkach wyrobiła dół tak głęboki, że ledwo nos orli przeważny można było rozeznać między najeżonemi rogami poduszek; wyprężone ciało mówiło bólem, przecież widać w niem było wolę, nie ratowania się, nie chęć powstania z łoża i wołania pomocy, gdyż cała postawa jego rzucona i podana była ku ścianie; a w twarzy przy ostatniém tchnieniu znać chęć wypogodzenia swych rysów, jak gdyby dla mnie malarza, jak gdyby chciał umilić skon i dać wyczytać z czoła swego, że się nie lękał śmierci.

Xiądz Mejer stał nad jego łożem w chwili naszego wejścia. Pani Grabowska pobiegła ku niemu. — „Jakże, Xiężę spowiedniku, podejrzenie nasze?„ — „O! jak prawdziwe! „patrz pani, na tym stoliku, tuż przy łożu, stoi jak stał dzwonek nie tknięty; ręka „nieboszczyka, patrz, o cal jeden daléj za nim położyła swą książkę modlitw, brewiarz;

„kto mógł tam dosięgnąć, nie mógłże dzwonka ruszyć? – Przecież nie dzwonił, nie wołał!„(
– „Ależ on mógł wpierw się modlić, wpierw położyć książkę, zanim ten napad wytrącił
„mu przytomność, że potem do dzwonka nie trafił.„ –

– „Mógł wpierw się modlić, to prawda; ale kładąc tę książkę on już... wiedział że umrze
„a chcąc się ratować byłby mógł zbudzić służbę. – Patrz pani! patrz Bacciarelli! brewiarz
„założony, modlitwa za umarłych; tę kartkę zagiął i położył otworem; a wczoraj w wie-
„czór gdym przyszedł na dobranoc, on mi nie kazał z rana przychodzić i rzekł dość
„znacznie, abym dziś go zrozumiał: „Nie przychodź dziś wcześnie, bo ja jutro długo,
„„długo leżeć będę!„ – „

A mnie w pamięci powtórzyły się wczorajsze Prymasa wyrazy: „Doszło aż do
„tego, że on swego brata mieć nie będzie!„ – I strach mnie zdjął za tych dwóch bra-
ci, co obaj wzywali pędzla mego dla siebie, którym jakaś ciemna świeciła gwiazda,
jakaś wielka groziła ręka, kiedy przed nią, woleli bramy śmierci sami przekroczyć
jak czekać jej uderzeń. Stałem zwikłany niespodzianą bojaźnią, szukałem okiem
artysty w tej niemej twarzy cechy, piętna, jakiem oznaczyć na płótnie rysy tak mi
dobrze znajome, czy go przywrócić do życia i dać mu jego uśmiech zwyczajny i ten
umizg twarzy którym z Prymasa często człowiek, kochanek przemawiał; czy
przepomnieć krewkość Ciołków domu w swych familijnych rysach, a zbudować
samą powagę xiążęcą i naczelnika kościoła? Alboteż oddać całą przestrogę bratnią
co śmiercią swoją chciał zapisać królowi? przestrogę tak wymowną, większą niż
ból fizyczny, krok hańby samobójczej, który przecież w porównaniu co mogło nastą-
pić, musiał być dla niego krokiem honoru, kiedy go xiąże Poniatowski, kiedy go
duchowna osoba wybrała, spełniła. – O tak! niech jego nauka nie będzie stracona
na przeczemnie! – Myśl ostatnią wielkiego jego domu winien pochwycić ~~pędzla-~~
~~mi~~ malarz; bo cóż malować jeżeli nie szczytność wewnętrznej walki, która i w twa-
rzy zbójcy jeszcze malarzowi da poklask za wydanie budzącej się szlachetnej rotacji
Zabieram się więc do dzieła; światła ile trzeba wpuszczam przez podniesienie
do wpół okna karmazynowej firanki, reszta alkowy ciemna, aby mi obecność
osób mogących nadejść nie psuła ułudy samotności; w nogach łoża ustawiam
trójnóg malarski. Tym czasem cicha rozmowa xiędza Mejera z panią Grabow-
ską toczy się przy głowach zmarłego. Małom jej zważał, dopóki szczególny ruch
rozmawiających nie zwrócił nań uwagi mojej; z pod oka popatrzyłem na mówią

cych. Troje ich było; widać że podczas mych przygotowań nieznacznie musiała wejść trzecia osoba słuszna, w duchownem ubraniu, czoło szerokie pełne myślenia, oko dość jasne i śklniące świeciło w ciemności i bacznie we mnie zwróconem było. Byłto ksiądz Hugo. Nie witałem go bom dojrzał, jak tajemnie podawał jakąś karteczkę niewielką pani Grabowskiej, jak ona przerzuciła wkrótce w ręce księdza Mejera z tem samem chowaniem się przedemną, i podczas gdym się schylał dla rozłożenia nóg mojego pulpitu i gdy wciąż badawcze oko Hugona siedziało we mnie, widziałem jak ksiądz Mejer wkładał ją zręcznie i śpiesznie w rękę zmarłego. — We dworze, mój sędzio, tego widzieć nie trzeba, czego nie chcą aby widzianem było. Milczałem więc; ale odtąd i okiem i słuchem przyrzekłem sobie być niemym świadkiem sceny, jaka przedemną odgrywać się będzie, a ciche pytanie Kołłątaja: „Ale czy pewno król jegomość nadejdzie?„ rzucone do ucha Grabowskiej, dość jasno tłumaczyło mi przeznaczenie tego zwitka.

Widząc rozmawiający że pierwsze krzątania artysty skończone i bratem siatkę do zdjęcia rozmiaru twarzy, ustąpili w ciemniejszą część alkowy, nie odstępując mnie jednak śledzącym wzrokiem; jam rzekomo nie dawał baczności na rękę, wiedząc że nie czas aby owe pismo odkrytem być miało.

Po chwili ruch w pobocznych komnatach oznaczał wejście kilku osób; znajome skrzypienie butów ostrzegło mnie i obcych, że król idzie. Chód jego wolny coraz się wyraźniej odbijał i pani Grabowska skwapliwie ku drzwiom sunęła, lecz posłyszawszy za nim szelest kobiecej sukni, wstrzymała się nagle u progu, by nie wyjść na przeciw rywalki; i tak witała króla w progu samej komnaty niskim pokłonem i rzuconemi łzami. — Czy widok wchodzącego brata do brata, który mu już oddać powitania nie mógł, czy podobieństwo rysów dwóch tych jej kochanków, czy w rzeczie prawdziwa boleść, owa nagła kobieca boleść rzuciły Grabowską, nie wiem; dość, że chwila witania była chwilą zemdlenia Grabowskiej, piękném swém ciałem padła u progu alkowy w nogi królowi, rozkrzyknęła piersią, zatętniła gardłem i koral ust jej odstąpił. Król w drzwiach stojąc zatrzymany jej upadkiem wejść nie mógł dalej, ani ratować umdlonej ramieniem; pierwszy co przed nim wszedł cześnik koronny Tadeusz Dziedusycki porwał omdlałą w pół i z ziemi unosił, a s po za króla ciekawo i badawczo spinając się na swe palce malutkie, przyglądała się tej scenie Lulу, z owym kobiecym przenikliwym wzrokiem co to od razu pojmie, czy zemdlenie jest skutkiem rachunku czy natury,

~~[illegible]~~, i postrzegłem w krąglutkiej twarzy markizy figlarny uśmiech znaczny, a mi odjął połowę prawdziwego żalu, jakim mnie ten przypadek Grabowskiej opanował. Nie wiem, ale to szamotanie się cześnika z zemdloną, i ów upór Grabowskiej do usunięcia się z przed nóg królewskich, zdawało mi się jakby umyślnem przetrzymaniem go w progach komnaty, aby tym czasem rywalkę swoją wystawić na nieprzyjemne czekanie przede drzwiami alkowy. Może i chciała Grabowska dać do zrozumienia markizie, że ona tu jak w swoim domu miała prawo ciałem swojem zaledz komnatę w oczach króla pana, może jej chciała przymówić że Luly ino jak gość ciekawości tam stąpa, kędy Grabowskiej panowanie sięgało.

Weszli nareszcie do komnaty król Stanisław, pani Luly, szambelan Strzembosz, a dwoje paziów zostało we progach alkowy. A teraz oko w oko spotkały się dwie rywalki, jak oko w oko stanął brat bratu, życie śmierci. I cofnąłem się od mego pulpitu aby w ciekawszy obraz popatrzyć. — Żałość Stanisława załamała ręce nad łożem brata, cichy smutek utulił każdego oddech, że mógłbyś bijące serce posłyszeć; dwie twarzy Luly, Grabowskiej zapatrzały w siebie z całem przerażeniem tego spotkania nad grobem. Tak gdy przyniosą dziecię do pokoju, kędy jego umarły ojciec leży, ono z całym pędem życia wyciągnie ku niemu rączęta; ale zestraszone nieruchomym ojca wyrazem osłupieje niemowlę i zapatrzy tym wzrokiem, którym się zdaje śmierć rozumieć.

Wyniosła kibić pani Grabowskiej, carną otulona taftą, straciła to brzemię ciała, które ją przysadkowatą i niby krępą czyniło; a czarna kreppowa flora z głowy rzucona wpół ciała lekką i wysmuklejszą udały jej postać, ciemne pudrem narzucone włosy w trzy korony splotów ubrane, nad czołem bujały jak wieża, a wpośród nich czarna upleciona wstęga, jak ścieżka kręta i śliska, świeciła czarnym atłasem; dwoje siwych oczu zdało się srebrzyć wzrokiem; to księżyc w pogodnej nocy grudniowej, kiedy natura w bieli a w bieli takiej była właśnie twarz Grabowskiej. — A Luly, Luly kochanka, Luly francuska, roztrzepana Luly nie miała czasu rzucić na siebie żałoby, i woń jej i ubiór jak z balu, zlatujący z ramion jakby dopiero z objęć lubego; a twarz jej krągła rumiana, ciemnawa biciem krwi co się tak w jej piersiach śpieszyła, a oczy jej czarne, jasno-krwiste jakby z nich ogień patrzał; a wargi jej dwie wiśnie bliźnięta, na które patrząc trzeba było o całunku myśleć. Taka Luly z swoją wysmukłą, ulatującą kibicią, z rozpuszczonym jasnym włosem w kędziory à la Titus, odpowiadała

na wzrok surowy, poważny Grabowskiéj złośliwym, figlarnym rzutem swych oczu.

Dość długo trwały, ta niema zaduma króla i niema walka dworaczek; – podczas niéj Hugo w najciemniejszy róg komnaty skryty, błyszczał ino białém swém czołem po nad głową króla, po nad baszty warkoczów damskich, po nad schylone służby królewskiéj orszaki. Chcącego witać go, Tadeusza Dzieduszyckiego cześnika odprawił tajemném skinieniem ręki i ciaśniej w kąt się zatulił; alem uważał, że się nie zdziwił cześnik obecnością Hugona, snadź go się tam spodziewał, może i żądał.

Król Stanisław chcąc przejść najwolniejszym wyrazem żalu z głębokiego smutku bratniego do majestatycznéj powagi, obrócił w okoł od łoża nabrzękłe oczy i ujrzawszy mnie, drżącym ozwał się głosem: „Bacciarelli! czyście poznali brata mojego?„ –

Rzewne pytanie nie wymagające odpowiedzi, ino spowiadające tak dobrze żałość i cierpienie, rzuciło mi łzę do oka; aby ją ukryć i nie rozżalić więcej króla przysunąłem się nagle do mego pulpitu, rozprowadziłem kilka kolorów na pamięć, dorywczo, jak gdybym i ja chciał przejść z przykrego położenia człowieka do mego obowiązku malarza. A chcąc zmusić niejako Stanisława do opuszczenia łoża, poszedłem ku ciału i, niby w malarskim celu, zasunąłem twarz Prymasa głębiej w bieliznę. Cofnął się król, ale o krok ino, i patrzał niespokojny na me krzątania; słyszałem głębsze westchnienia jego piersi, jakby się spodziewał, że ja wyraźniej rysy nieboszczyka odsłonię w odpowiedzi na jego słowa. – W tém ruch całéj alkowy prędki, ciekawy, ruch do którego musiał i Hugo należeć; bo słyszałem jakby drapanie się po ścianie obcasów wspinającego się człowieka, dał mi do zrozumienia iż na mnie spoczęła cała uwaga chwilowa, cała nadzieja effektu ułożonéj kartki, owéj tajemnicy, czyli też celu obecnych. Posłyszałem szelest krepy odpychanéj dychającą piersią Grabowskiéj, zgiąłem się ku łożu, król też po za mną nachylił swe czoło, aby ostatni raz ujrzał bratnie oblicze. Teraz czas, pomyślałem: i, poprawiając okrycie łoża, nieznacznie z zaciśnionéj ręki Prymasa począłem adamaszek wyrywać; tam był ów bilet: i za drugiém pociągnięciem jakby żywe roztwarły się palce i pismo widomie moje i królewskie uderzyło oczy. – Poskoczył ku niemu król; – widziałem tylko drżącą nie do poznania ręką skreślony z wierzchu napis: „Królowi bratu memu.„ – już je król czytał; a ja spokojny, zimny, jakby rzecz najnaturalniejsza w świecie się działa przed memi oczyma, odszedłem od mego trójnoga.

Jednakże była osoba, która dziwną tę scenę niedowierzaniem przyjęła i naprzód

ogniste swe oczy wlepiła we mnie by czytać, wykręt-to? czy prawda? – Śmiało i bez najmniejszej poznaki, cały zatopiony w pędzlu, zniosłem ten śledczy wzrok pani Luly; ale coś ważniejszego musiało ją uderzyć w pani Grabowskiej, bo z niej już nie spuściła wzroku, a ta całą siłą utonęła w czytającym Stanisławie; wargi zacięte Grabowskiej mimowolny ruch ożywiał, jakby słowo po słowie czytała lub przypominała sobie treść listu który król trzymał. Ten ruch tak był jasny, ściągnienie jej rysów tym oczom tak wyraźnie malowało nie ciekawość, ale pewność tego co król znalazł; rzut z pod oka na ciemny róg komnaty co nie uszedł baczności Luly, tak dobitnie przemawiał o podrzuceniu i współnictwie Grabowskiej; że Luly nie mogąc z prędkością wziąć się do rozwagi, z gestem i przekonanym uśmiechem rzekła do niej dość głośno: „Ha! pewno ci prymas wszystkie tam swoje klejnoty zapisał!"

Rumieńce byłby wypłynął licem Grabowskiej, gdyby tak niespodziewane odkrycie tak śmiało rzucone jej przez rywalkę było odgadnięciem treści pisma: ale ona pojrzała tylko szyderczo po małej francuzce i odwróciła od niej twarz swoją. – Cała przebiegłość Luly straciła trop prawdy z tego co zaszło nic już nie odkryć, rzekła więc na pierwsze słowa królewskie. On w framudze okna twarzą do obecnych w obu rękach drżących rozwinięty zwitek dawno czyta i drży dawno, choć tam nic jak widać przez spód papieru ledwo kilka nakreślonych linii; skończył wreszcie, – pomięszana i rozczulona warga krótkie, urwane wiesza mu słowa. – Skinął na służbę zwykłym sposobem gdy ją odprawić chciał, ukłonem ręki obu zapaśnicom dał jakby pożegnanie. Grabowska i Luly niepewne i ociągające się odchodzą do drugiej komnaty. „Zostań, księże Mejerze, zawołał na spowiednika" – a w tém i z rogu komnaty poważny sążnistym krokiem przeszedł przed królem Hugo, wolnym pokłonem się uniżył i chciał iść dalej za cześnikiem.

„Wy tutaj Hugonie? zagadł król zdziwiony; i wy? – Kiedy tak, zostańcie mi przy „boku. – Panie Strzembosz i wy Bacciarelli zaczekajcie z służbą w przybocznej sali, ja tu „nie długo zabawię." – Pokładłem pędzel i paletę, za nami sam król drzwi zawarł i całe grono nasze, świadkowie i uczestnicy tej sceny prócz króla, Mejera i Hugona obaczyliśmy się w przybocznej wielkiej marmurowej sali.

Ciche naprzód szeptanie w alkowie prymasa, po naszém wyjściu wszczęte, dolatywało uszów, jak łkanie ulewy co bez wiatru kropliste bije w ziemię. Luly poszła ku oknu najbliższemu ściany alkowy, co się patrzyło w ogród nie wielki prymasa ale kierunek jej głowy mniej się podawał ku szybie jak ku ścianie, jakoby chciała po-

słuchiwać rozmowę; i w rzeczy samej, oparłszy się dobrze o tę ścianę, można było głośniejsze chwytać wyrazy. Grabowska, co aż dotąd w pół wahającym się chodem zdążała ku drugiemu oknu, widząc wybieg Luly namyśliła się, zmieniła chęć i ku temuż samemu oknu gdzie stała Luly podeszła. Skinęła na służbę, podano im stołki, a Luly z widocznem skrzywieniem podziękowała ukłonem za tę usługę, co ją pozbawiła sparcia się o ścianę i wygodnego podsłuchania. Jednakże musiała usiąść; inaczej, obok siedzącej już Grabowskiej w obliczu patrzących na nie dworaków, czyżby nie utraciła godności? czyżby nie mogła żartobliwość pomówić, że Luly przy niej usiąść nie śmiała? — Jam stał o kilka kroków za niemi i, jakoś niechcenia, podanemi w tył rękami opierałem się o ścianę, przerywaną i obejętną rozmowę kiedy się ściszały odgłosy alkowy, prowadząc z wielkim cześnikiem. Ciekawość w mém życiu zrobiła mnie artystą, mój sędzio, a teraz podsłuchiwaczem; jednakże w pierwszej chwili téj sceny sztuka moja wzięła górę nad prostą ciekawością. I jakże wziąść nie miała, gdy obok siebie dwa wyrazy miłości tak różne siedziały w osobach dwóch rywalek królewskich? — Kontrast ich z sobą przekonał mnie, że Stanisław prawdziwie po ludzku i po królewsku kochać umiał, i to co z początku zdało mi się niestałością jego, pokazało w nim znawcę. On miłował nie dwie kobiety, ale dwie miłości.

Miłość czterdziesto-letnia Anny, co się do ostatniego przedmiotu swoich uczuć przyczepia powojowym skrętem, co czuje że raz ostatni kocha, gdzie przychodzą bole zazdrości jakich młodość nie zna, jakie doktor za chorobę wziąść może, a które jak ostatnie drżenie strony najprzyjemniejszą melodją brzmią; jest-to kwiat mocny, pełny zapachu, co kwitnie bez jutra, a każdy wdzięk swój opadający płacze srebrniczym żalem: — taka miłość przemawiała z lica Grabowskiej. Krągłość form i skończona wydatność silnie zbudowanéj postaci nie zaszkodziły bynajmniej jéj kibici, ale owszem pokazywały całą moc, całą sposobność do téj walki, owo kwitnienie co się ma szamotać z przekwitem. Przedramie łączące się z piersią nie wskazywało żadnéj linii przedziału; wdzięk do wdzięku zdał się przypadać i łonąć jak śnieg do śniegu, by stworzyć tę krągłą pieszczotę co wyzywała snycerskie dłuto. I patrząc na nią musiałeś wyłącznie ziemskim uczuciom oddać duszę i ciało; tak kiedy patrzym na dąb, mimowolnie ściskamy pięść, jak gdybyśmy próbowali w nas mocy, patrząc na wyraz siły w drzewie; — Krągłość

form zawsze w nas budzi ziemskie zachcenie, to pęd co każe dziecku wyciągać rączęta po najkrąglejsze jabłko; — i gdyby mi nie malować Kupidyna użycie, oddałbym go z tym pełnym jabłkiem w dłoni klęczącego u nóg pani Grabowskiej, jéj dałbym to wypukłe czoło gdzie zda się, że myśli jak starzy mieszkańce rozgościli się w gospodzie i, długą siedzibą i szamotaniem podnieśli kurz lekki, co jak lekka chmura naniósł zmarszczkami między jéj brwi ciemne.

A w drugim obrazie, w obrazie Ludy rozmiłował Stanisław ów płochy szał dwudziesto-letniego uczucia, co to igra z miłością, ale kocha jakby raz tylko kochać się miało; co to się zamyśla lub wróży przyszłość z biegu chmurki dojrzanéj przez okno, co się martwi snem dziwacznym lub krojem sukienki nie w smak; uczucie młode, przelotne, któremu trzeba skoków, hałasów, tańca, świecideł, aby mogło powiedzieć że szczęśliwe; któremu dosyć jednéj niepogody w dzień zamyślanéj przejażdżki, aby się nierzeszczęśliwém nazwało; serce w tym wieku jest owa ptaszyna przywiązana nałogiem do klatki, któréj się zdaje że, gdy od klatki odleci, to już samo nie ma na świecie Boga, coby dla niego o ziarnkach pamiętał. Cała postać Markizy, każdy ruch téj nie wielkiéj gnącéj się kibici mówił o owém pierścieniem uczuciu, co ją kochanką Stanisława zrobiło: czoło gładkie śliczne, nisko płowemi włosami zarosłe, oczy czarne, żywe, kropkowane znakami piwnemi i owe lica ciemnawe goręcéj krwi francuzkiéj, pomawiały o rozkwitającym wieku kobiéty tu zachcenie kaprysem, leda przeciwność burzą, a każda burza bolem, ale jakim bolem? — My męzcze, Sędzio, śmiejem się z tych bolów kobiécych, ze spazmowych bolów co rozstrajają chęci z obecności; ból ten fizyczny napastuje tylko takie pieszczotne stworzenia i przychodzi z bicia krwi ku głowie i ku tym płowym włosom, co tak wymownie o delikatności nerwów świadczą, a które są jakby bladym kwiatem na nierodzajnéj ziemi, ledwie wilgocią wypędzonym z jéj łona. Ale takie główki mają swoje myśli, a jedna piękniejsza od drugiéj, a wszystkiemi chciałyby zhańbić kochanka; więc mu prawią o swoich rojeniach edeńskich, a kiedy mówią to wezmą taką postawę natchnioną, ulatującą; tak się zegną z czołem zamyślonem na swoją drobną rączkę, że człowiek patrząc na nie, chwyta je prędko w ramiona jakby się bał, by one rojeniami swemi nie wydarły mu się z rąk, z przed oblicza jego i jak marzenia, które czuje że mu z duszy uciekają, nie uciekły z niemi. —   Takie mi myśli widok tych dwóch faworyt

nastręczył i zatopiony ciągłem pogadankę z cześnikiem. —

– Tym czasem rozmowa króla i jego radzców głośniejszą się stawała, gruby głos Hugo-na coraz gęściej przerywał powolne króla odpowiedzi i stłumione, ale prędkie Mejera przymówki. Uważałem iż, im głośniejsze dolatywało słowo, tém Grabowska rozmowniejszą się stawała; to zagabywała Lulę o jakie drobnostki ubioru, to o jaki szczegół jej gustu lub zmianę w ogrodach Łazienek. Niechęć Luli w rozmowie tém widoczniejszą była, im głośniejsza była alkowa; nieraz w pół odpowiedzi ucięła aby podsłuchać; wtedy Grabowska naprzykrzoném pytaniem: „Co? co?" mieszała niebogę. ——

Ale nadeszła chwila w której my wszyscy i sama pani Grabowska oniemieliśmy z uwagą. — Wybuch grubego głosu Hugona, stłumiony wykrzyk króla, poruszył mimowolnie wszystkich głowy ku ścianie. Słowo po słowie cedziło się przez ten mur komnaty i dochodziło jak szum gdzieś podziemnej rzeki. ——

„Jakto! co chcecie? – Cóż powie na to monarchini moja?" były pierwsze słowa królewskie, co drżące grozą czy bojaźnią przybiegły do nas i przylgły całą mocą odtętnionego głosu. ——

— „Co powie? – odparł gruby głos tamtego – Niechaj co chce powie! niechaj zagada do „nas kilkunastu tysiącami bagnetów, my jéj tysiącem piersi odpowiemy! Monarchini „waszą, nie naszą. Królu! raczej ci pytać co powie naród sierota? co powie lud „przemożny? co powie Kościół matka? co powie kraj ojciec? – O! to co ona po„wie, my to już dawno słyszeli „i niedawno na grodzieńskim sejmie, i teraz „wiemy, jak w radzie twojéj mitośćiwy panie kłania się jéj zaklęta cień w nie„jednéj podmówionéj piersi! By tak gadać i chcieć jak ona, trzeba nią zostać, „jéj służyć; by tak gadać jak my, by tak chcieć jak my, trzeba nami zostać, „trzeba chcieć nas przyżenić do życzeń ogółu, trza ręki, głowy i ręką wyprężyć „aże do Litwy, głowę podnieść w wysokość tronu! . . . . " ——

— „Lub w wysokość rusztowania!, przerwał cierpki głos króla." ——

— „Choćby! – ciągnął śmiało Hugo, – choćby los i tam kazał wznieść głowę! „to lepiej czynem spotkać oko w oko miecz kata, jak spuścić głowę w kotary, „jak zamajaczyć trucizną i położyć się na pościel śmierci obok z przyżenioną „hańbą! – Królu mój, patrz tam! . . . " ——

— „Dość! dość podkanclerzy! szanujcie brata mego, mnie króla szanujcie!" —

— „Królu! nas w sobie uszanuj! – Oni wciąż błagają językiem, oni mewi

„Twami płaczą, oni moją pieśnią modlą! — Dwie wielkie bramy roztoczono przed tobą! jedn
„z północy, wabi na północ, głaszcze i straszy, wyciąga ramiona niby siostra do kraju,
„niby kochanka do ciebie. Ni siostra, ni kochanka z niej; złota i pereł ma huk, my się
„nie kochamy w złocie, my się nie stroimy w cudze! Niech siostra śniegi swoje, niech
„kocha stepy swoje, my jej całunki znamy! — Nasz Zygmunt stary całował ją już, aż
„stracił dwie koron z głowy! — A teraz miłościwy Panie, my ci drugą otwieramy bra
„mę; ona do włości naszej wiedzie; twój cię nie inny wabi lud! da ci ona miłości mi
„sto złota, miasto pereł piersi swe w okół cię sparze, że do cię nikt nie przejrzy, że
„cię nikt nie sięgnie nim z łona prócz Boga! —
— „Prócz zguby! bo na co mnie namawiasz Hugonie? — Kraj tak słaby, brak mu
„wszystkiego: wojska, skarbu, zbroi, pomocy, pieniędzy, ludzi! —
— „Nie! jemu brak tylko ciebie, najjaśniejszy Panie! — Kraj nasz jak piękna ko-
„bieta ale wstydliwa, okrywa swe wdzięki, zatula bijące łono i oczom nie daje mó
„wić o mocy jaka w niej gore! — i nie poznawszy można o niej rzec jak my w tej
„chwili, najjaśniejszy panie, że ona słaba, brak jej wszystkiego, skarbów, mocy
„sposobów; ale niechajno przyjdzie miłości pora! — Moc jej tryśnie z piersi dzie-
„wiczych, wdzięki rozgorą, skarb znajdzie w dzieciach swych, w ramieniu zakipi
„siła i wielkich, wielkich chybaby trzeba podstępów, aby jej wydrzeć ulubieńca
„O! bądź nim, najjaśniejszy panie! Bądź nim od dzisiaj — na zawsze! albo.....

Tu nie dochodziły nas słowa; szmer jakby innej wplątywanej mowy, zda się
Mejera szeptanie, przerwało ten ostatni wyraz, co w kształt piorunu bił przez
ścianę, i tylko słychać jak chrzęszczy kotara, bita mocną prawicą Hugona; a po
głosie Mejera czy przy łożu, czy jakoś z samego łoża umarłego wyrwał się stra-
szny grobowy krzyk: „Ratuj się!„ — Zadrzeliśmy, szmer ustał, głos ustał,
skrzypienie butów królewskich oznaczało przechodzenie się gwałtowne króla
w alkowie; stawał, znów chodził, w tém jedną razą dobitniejszym wyrazem
jak dotąd, jakby w nim cała odezwała się burza: „Ha!.... cóż mam robić,
„odezwał się, z wami?...

Na ten wykrzyk Luły podniosła się z krzesła z iskrzącém okiem, z zapy
rzoną twarzą, z zaciśnioną dłonią pomknęła ku Grabowskiéj. Tak czołga p
trawie wiatr jesienny, nim się zerwie i rzuci na drzewo pobdzierać liście po
żółkłe. Dwie władze któremi dotąd Luły przeważnie wychodziła z walki, opa

-ły jednym razem odbite podstępnym tym krokiem Grabowskiej; oręż miłośnicy i polityczki zadrżenał w jej dłoni francuzkiéj i wykradziono jéj monarchę w kochanku. Kto wié czy w téj chwili zerwania się z krzesła pierwsza myśl jéj nie była za samym kochankiem? bo gniew jéj i ból był więcéj kobiécy, bo popatrzyła w Grabowską okiem dwudziesto-letniéj dziewicy, co to szuka zmarszczków, różu, bielidła na licach rywalki i potém śmiechem gorzkim wyzywa, mówiąc: „A teraz patrz we mnie!"

Ale u Grabowskiéj całe zapomnienie, całą uwagę zajął krok stanowczy, krok polityczny; tryumf swój zapisywała nie na karcie serca, ale na karcie historji, i spostrzegała swą kibić wydatną, mocną, okazałą, jak szermierz stający w szranki co na krzepość swych członków rachuje. Pierwszy raz zapaśniczki nie zrozumiały się w natarciu; i gdy młodość trzpiotowata wyzywała podżyłe wdzięki Grabowskiéj, polityczna intrygantka znalazła szydzący śmiech którym za swój róż i marszczki oddała. Osłupiała Luly pewnością i spokojnością twarzy rywalki zwątpiła o sobie i rozpłakała jak dziecię. Wtedy po małém naszém zgromadzeniu przebiegło uroczyste, rozradowane Grabowskiéj oko; schyliliśmy głowy ku niéj jak domyślni dworacy, a jéj skinienie zalotne i protekcyjne zdało się mówić: „Teraz wiecie kto z nas dwojga panuje!"

A w około sali jakże się zmieniła gra twarzy obecnych! – Cześnik Dziedu-szycki ściskał mi rękę, jakbym mu jaką wyrządził posługę; jasność uradowania wypełniła zwyczajne kątowe sklęśnięcia jego oblicza, śniade policzki przeleciał brzask rumieńcy, oczyma spoczął na Grabowskiéj. Strzembosz z jednéj nogi na drugą się sadził i przytupywał i kręcił, widać jak mu w téj chwili ciężał obowiązek szambelańskiéj służby, bo jużby z dobrą i ciepłą nowinką obleciał pół Warszawy. Nawet roztrzepane paziowe grono przestało swoje ułamki na migi i rozgorzało twarzą, rzekłbyś: że te pączki poczuły dobrą ziemię pod sobą i czerwienieją przeczuciem przyszłego życia.

W tém nowy turkot powozu, prędki, gwałtowny obrócił nasze oczy ku drzwiom sali w chwili, gdy przez nie posunęła Luly jakby uciekająca. Ciekawość kto przyjechał długo zatrzymaną była, albowiem po wyjściu Luly nikt nie wchodził, ani też turkot nowy nie zapowiadał, iżby ona odjechała. Młodość co nie tak prędko może znieść niepewności, podawała paziowi ochotę odemknąć drzwi do przedpokoju by od niechcenia zajrzeć, gdy w tém drzwi gabinetu prymasa skrzypnęły i ksiądz Mejer

zaprosił nas i panią Grabowskę do króla.

Wracam z innemi, ja do mego płótna z zimną malarską obojętnością, odwilżam pędzle i farby naciskam. Król we framudze okna pobladły, zmięty, nachylił głowę ku ramieniu jakby się zmęczył, że ją długo w prost wielkim planom i myślom Hugona nadstawiał, a Grabowska jak witająca z podróży, jak gwiazda obiecująca pogodę, rozjaśnione swe lica mili ku królowi; Stanisław zdał się postrzegać tę nową radość we wszystkich twarzach wchodzących i widział i zdał się to nie rad widzieć. Słabość charakteru ma u siebie to niechętne rozjaśnienie, że się dała na coś stanowczego namówić, jakby nie pewna czy dobrze zrobiła, jakby troskliwa by więcej świadków nie miała przeciw sobie, gdy nie dotrzyma przyrzeczeń. Jednak konieczność choć potwierdzenia się była potrzebną królowi, więc posunął ku pani Grabowskiej i tzawym głosem, jednak dość wyraźnie aby był od wszystkich słyszany, powiedział: „Patrzaj pani! ręka braterska to mi ostatnie dała pożegnanie, z myślą o
„ mnie umarł i z wielką przestrogą!”

— „Przestroga? —” zagabała ciekawie Grabowska, chwiejącą ręką biorąc podane jej pismo
— „To minęło; — niebezpieczeństwa nie ma, gdy jest o niém wiadomość.” —
— „Raczej, gdy jest pewność, że niebezpieczeństwo podzielaném będzie przez wszystkich
„ odparł Hugo dobitnie. Stronnictwo zginie gdy będzie całość, a całość przeciw swej
„ głowie nie podniesie miecza.” —

„Strzeż się i ratuj!” czytała niby z cicha Grabowska.

Król stał i słuchał jakby nowemi dla niego były te słowa, choć je nie dziesię razy na téj kartce przerzucał i powtórzył w zamyśleniu: „Strzeż się i ratuj!” a potém wolnym i słodszym głosem doczytywał z pamięci: „W tak wielkiéj burzy
„ lepiejby ci było, mój Stasiu, moją śmiercią było zakończyć!” — „Prawda! o prawda!” zagadał ciszej, i gdy ku łożu zatoczył okiem na brata; „On już taki spokojny, panowie!”

— A Hugo ponuro szepnął na stronie królewskiej: „O! bo się umierać odważył!”

Jeszcze nie dosięgła Grabowska wrócić królowi przeglądane pismo, Stanisła jeszcze w braterskich łzach tonął, gdy chód prędki i szelest kobiecego stroju dał się słyszeć tuż przy drzwiach alkowy; po czém zwinnym krokiem wbiegł do komnaty hetman Ożarowski, prowadząc Luly pod rękę; ale Luly odmienna nie owa upokorzona rywalka, nie owe kwilące dziecię, ale całe dziecko, któr

teraz tak łacno uśmiech i radość odzyskało, jak przed chwilą nagle zapłakało oczęta. Pokole naszém przeszła ciekawość, więcéj obawa; stronnictwa wystąpiły widomie i jakby dały sobie spotkanie przy łożu śmierci. Luli, Grabowska, dwie lampy i Czarowski i Hugo, dwie dusze, dwa ognie tych lamp. – Znałeś Czarowskiego mój sędzio? tę figurkę suchą a krótką, tę chorowitą ruchliwość w małém ciele, te zielone oczy z żółtemi kropkami po sobie, co przypominały bajkę o stu-oczym Argusie, te podrzucania się ramionami w chodzie i podczas mowy pełki ruch do skoku, i ów wyżyłowany skład twarzy człowieka, co się naużył w rozpuście? – Wszystko to razem weszło z nim do alkowy ubrane zwyczajnym śmiechem, co potém w złéj dla niego chwili wyszedł w ludu w przysłowie. Ubiór jego krusy i obwisły, mimo całéj staranności krawca, aby to zwiędłe wypchać stworzenie, dziwnie latał na ruchliwéj postaci hetmana. Frak z aksamitu poważnym krojem, szerokiemi połami łatował się po cienkich nóżkach w jedwabne pończochy strojnych, i skakał po nich jak brona po roli; a mała szpadka u boku z porcelanową rękojeścią, za każdém zgięciem Czarowskiego czepiała się jego kamizoli niemieckim krojem wyciętéj, w pośrodku z ogromnemi klapami nieco na spodnie opuszczonemi. – Hałaśnemi ukłonami zbrudził uwagę królewską, obecnym nie skłonił; ku pani Grabowskiéj pochylił się jakby do ukłonu i, gdy ta zwyczajem dworskim niskiém dygnięciem oddawała mu zaczęty ukłon, on nagle sprostował się, niby się schylił tylko rękojeść wiszącéj szpady poprawić, obrócił się tyłem ku niéj i plecami między nią a królem stanął. Mimo całéj powagi smutku ten złośliwy żart tak był śmiesznym, że Luly nastąpiła sobie nóżką na nóżkę, aby bolem stłumić huczny wybuch swéj wesołości. Grabowska mało ze złości nie pękła.

Chcąc pomścić niewagę hetmana i okazać jak wiele znaczy Grabowska w téj chwili: „Miłościwy Panie! rzekła nie ruszając kroku, – mój brat waszy „mógł wam tak śmiałą podawać radę; i gdy do niéj przyszł aż głosu śmierci aby „ją uroczystą uczynić; kto mój was wielbi i kocha nie dla siebie, żywym języ„kiem będzie w jéj myśli gadał do was, w jéj myśli modlił za wami i trzymał „się jéj jak przykazania.” To mówiąc wyciągnęła rękę z karłą. Król postąpił ku niéj dla odebrania, a Czarowski co się na drodze między nią a królem znajdował, musiał się cofnąć o podal i tryumfującą swoją postawę opuścić. Ciche szeptanie Grabowskiéj z królem trwało jeszcze chwil kilka. Dość wyraźnie zda-

wało się namawiać Stanisława, by nie każdemu chciał ten tajemny list pokazywać; skończyła podniesionym wyrazem: „Bo przy waszym boku nie jeden zły człowiek „zalega znakomite miejsce!" — Ożarowski połknął pigułkę, skrzywionym marsem bardziej, gdy król pismo z rąk Grabowskiej schował w zanadrze do kamizoli.

Hugo prędki i popędliwy w działaniu, jak każdy co się stale na jedną rzecz odważy i chce ją gwałtownie konać wiedząc, że w samej gwałtowności leży nieraz siła wypadku, sunął przed Ożarowskiego i powierniczym tonem jął nalegać na króla iżby tajemnicy zaniechał.

„To co jest pismem brata do brata, najjaśniejszy panie, niechaj wasza miłość w bratniem „zatrzyma schowaniu, w sercu; ale głos prymasa do króla, ale okoliczności ogólne, ale „skutek namysłu waszej królewskiej mości, niech będą jasne jak słońce! Ja podkanclerzy nie zaprę mego głosu i porady, jaką w tak ważnej raitem dobie, i temi ją jaśniej „wypowiem, im prędzej teraz mogę znaleźć w nim zdaniu przeciwnika." — „To mówiąc zmierzył surowem okiem Ożarowskiego.

„Czy tu gabinet narad królewskich?" z ironią pytał hetman.

„Jeżeli waszmości chodzi o gabinety, możemy kazać przeforsztować ten pokój na „dwoje, gdy za wielki aby głos waszy słaby mógł być w nim słyszanym; odparł „z dumą Hugo. A może tej chwili nie jesteście do rady przygotowani, hetmanie? „Może nie macie instrukcji w kieszeni? — Do Igelstroma nie daleko i otwarta droga panie Ożarowski. — To idź waszmość! ale otwarcie; niech król wie, niech „i my wiemy, że tu nie hetman radzi, ale wysoka monarchini organem waszym „gada zamyśla. — Krótka tu rada, może długie działanie; ale rada krótka, być „pocziwym albo nim nie być" — „Co!" ^ — „Tak, panie hetmanie, urzędnik mówi do urzędnika, nie Hugo do Ożarowskiego! — Burza grozi, lud chce osobnym stanem zostać „zdzielić się od króla i od nas; zostanie władzą, jeżeli władza opuści go i nie poda „mu swych ramion!..."

„Co! lud-burzą? — Czy nie ten lud, czy nie ta burza grozi królowi panu i „nam mości podkanclerzy, którą ja mam w ręku? odparł Ożarowski wyciągając „z kieszeni zwitek. Wielki lud! wielka burza! którą hetman ponieść w kieszeni, „której się podkanclerzy uląkł, a którą już swe głupstwo tłumaczy teraz przed wysokimi dowódcy wojska sprzymierzonych!"

I tu rozciągnął listę krótką imion nieznanych, obojętnych, szlacheckich i miejskich a za każdym odczytem nazwy dodawał szyderczym tonem: „to piekarz, to rzeźnik

— ^ Wykrzyk Ożarowskiego, powinien zająć wiersz osobny. —

„to oddany strzelec z wojska, to szewc!” — i owoż burza, owoż strachy, któremi waszą
„miłość ktoś przeraża? i nawet w łzach śmierci braterskiej śmią szydzić z podstrojoną miną?
„Właśnie że przy łzach brata nabyłem pewności! — odparł Król —
„Czego? — przerwał prędko Ożarowski z zwyczajnym swoim gestem, podrzuciw-
szy ramiona i wspinając się na palce — „Czego? najjaśniejszy panie!”
„Tego, odrzekł mu spokojnie Hugo, o czém sam hetman faktycznie donosisz, wzburzenia lu-
„dzi! — Wasz zwitek nie jest prostym spisem imion dla monarchy, nie jest nic nieznaczą-
„cym wypadkiem dla polityka. Wasz zwitek, to kilkanaście głów na które kat czeka; wasz
„zwitek, to głos rozruchów wewnętrznych, które z piekarzów, rzeźników i szewców mówią
„związkiem jednym, wolą i chęcią jedną, politykowi czasowemu nietajną!”
„Zapewne, zagadł Ożarowski szczypiąc, że takiemu politykowi jak dostojny
„podkanclerzy, może ten związek i nie tajnym; po myśli? — raczej, na myśli, chcia-
„łem powiedzieć.”
„Mój Hetmanie! na myśli i po myśli u mnie dobro kraju! nie wiem
„jak komu?; ale mam w to, że przyboczni rajcy królewscy więcej mają na my-
„śli siebie, jak króla; swą własność, jak własność ojczyzny; że u nich urząd i znaki
„urzędu, liberją którąby chcieli na coraz złocistszą zamieniać! — Ja kapłan, u mnie
„Chrystus łamiący swój chléb z rzeszą, mistrzem; — ja podkanclerzy, u mnie dawcą
„pieczęci i dobrodziejstwa, król; — ja człowiek, u mnie ludzie braćmi: Chrystusa czy-
„ny przykładem mi, kanclerza powinność świętością, a głos braci ucisku lub bolu
„przestrogą! — Rybacy-ci-to chodzili z Ewangelią, a przecież jéj się teraz i hetman
„nie wstydzi!”
„Być może! a być może że to co mi się nikczemnie wydawało, przerwał chrypliwie
„Ożarowski, z większą wiedzą, kanclerza większych nabrało rozmiarów. Prosim o
„ich udzielenie, gdzie? jaki związek? kto w nim? kto burzą włada? projekta, wido-
„ki? — Wam-to pewnie nie tajno, kiedy tak strasznie rozwarliście postrach, prosimy,
„prosimy! lista może nie zupełna? może to wygi związku co pełza na zniszczenie
„króla, na rozerwanie związków kraju naszego z dobrodziejnym nam sprzymierzeń-
„cem? — Wy o głowie wiecie i o ramionach tego nowego Dawida? prosimy! prosimy!”
I zgiął się nad zwitkiem jakby do pisania nowych imion, i popatrzył szydersko w twarz
Hugona. Czekał, podrzucał ramiona; ten zaś milczał i szerokie ręce okrzyżował
na piersi. — „Najjaśniejszy panie! podkanclerzy milczy, podkanclerzy wie, podkan-

„dzierży powinien wydać! szczebiotał Ożarowski – powinien! choćby pierwsze imię bunto-
„wnika było jego wtarne!”

Król z powagą podniósł źrenice na hetmana, lekkim uśmiechem przyjął jego zapa-
lone wyrazy i spuścił głowę.

„Ha! rzekł Ożarowski urażliwie, moje już zwierzenie nastąpiło; mnie niegodnemu
„tajemnic Izydy nie pozostało może jak dosłuchiwać ostatnich bełkotań popularnego sfin-
„xa! ale wasza miłość króla, nie pójdziesz w przekor dobru publicznemu: z waszych
„ust dostojnych hetman dalszych rozkazów posłucha i tajemnic się dowie! – Dość mi
„na ich imionach, królu! resztę mi powinność wskaże co z niemi zrobić.”

„Jako! odezwał się król oburzony; wy mnie intrygować myślicie panie hetmanie!
„Wy we mnie, ciągle stolnika widzicie? – O, zmiarkujcie się panie Ożarowski! kto
„hetmana wojsku przełożył, może wojsku hetmana odebrać!”

Na te słowa zadrżała Lulу, jej jedynej podstawie zemsty zagrożono; gałęź której
uczepiła się upadająca faworyta, była trzciną, tylko, gdy ona w nią wierzyła jak w dr-
wo zbawienia. – Ale właśnie tam gdzie byłby się dąb skruszył, trzcina wytrzymała! –
Na silny podmuch królewskiego oburzenia!, Ożarowski umiał się ugiąć, niby żałowa-
przeprosić niby, w krótkiej nizinkiej mowie rozbroić gniew królewski, przekłamując
prędkość i nieobaczność swoją na żarliwość o dobro króla i kraju; a wiedząc z ja-
słabą powolnością król odpuszczał winy, a z jaką ciężkością przyszłoby mu dopełnić
obietnicy groźby, mgnieniem ócz przeszedł z mowy tłumaczenia się w ton zaczepki:
„I nie w inakszym celu, najjaśniejszy panie! – kończył poczęte przeprosiny, – przymó-
„wiłem kanclerzowi, i ciągle będę przymawiać, aże dowód dowodowi odpowie! – Bo
„i czegoż chcą, ci panowie ze swojemi projekty?” – tu zwrócił się dumnie do Hugona, –
„jakichże skutków gwałtownych zrywaniem uchwał sejmowych, traktatów tak świę-
„tych i święcie przyjętych? – Niech się pytają, w nasze żywe oczy, was króla i pana,
„kędyście sami pierwsze najczystsze pokładli zaufanie? – Czy moc co wam nadała
„koronę – – – – –

„Nikt nie nadał!” odezwie Hugo.

„Nie nadała, ale dopomogła! – chcę mówić; czyż ta sama monarchini ręka mia-
„łażby swoją zwalić budowę?! czyż w sercu proszonych chcianoby za bramy wyrzu-
„cać, aby sobie tamiej zgotować bankiet samowładztwa? – O wiem! oni nie od-
„powiadają, wasza rachubie, bo tron mocniej stoi stoczęty ich piersią! A jeżeli to bez

„kosztów ziemi i ludzi obejść się nie może, toż dobrym patryotom imać ten powód do zarzewia
„buntu, którego pierwsza iskra niech padnie na tron królewski? — Bankietu! bankietu im
„się chce, przy którymby spijali rozstrojone zdrowia, ażeby w końcu pijani na jeden okrzyk
„burzliwy się zgodzili! — Sobótek, sobótek góralskich! przy których, spaliwszy podpory
„wielkości narodu, osmoliwszy starożytne domy i imiona; zrównawszy ogniem, wyrokości co
„im w skokach bachanckich taranem stoją, mogliby się równiejszym tańcem nahasać! I
„gdy my z zagranic wodę na ten ogień nieciem.......

„Złoto mów, złoto panie hetmanie! a cóż prawdy w tej wielkiej mowie usłyszym.
„Bankiet? Do bankietu trza zbytków, szczęścia; a oni go dawno, już od Zygmuntów nie
„znają! — Do Sobótek trza ognia; wygorzał, wygorzał on w starożytnych zgliszczach
„domów przedniejszych! cóż chcecie aby w ubogich lepiankach się trzymał? — O! gdyby tam
„był, jużby się dawno ofiarne paliły dymy!"

„Piękna żałoba, panie podkanclerzy! i w porę! głęboki wasz umysł przecież raz
„wydał co myśli!"

„A my dotąd połapać nie możem, co hetman zamyśla! — Bo, na Boga! jeżeli
„tak drżysz za tém, aby prędzej czyimś sługą zostać, na co ten ogień hetmanie!
„dość milczkiem spełniać rozkazy....

„Dość tego!" przerwał król. —

Ożarowski przygryzł wargę, skupił się jak pająk Tarantula, gdy nagabany chce
parsknąć jadem w nos przeciwnika; szarzał oczyma po Ługowie, to po uśmiechają-
cej Grabowskiéj; ugotował parskającą mowę i byłby odciął do żywego, gdy w tém jeden
rzut oka na króla dał mu poznać, że cięciwa gniewu Stanisława tak była mocno sprężona,
iż jeszcze włos jego uwieść, a cały szpetny Ożarowskiego przepadł na wieki. — I z pająka
on teraz ślimak! pieni się jeszcze, ale w mowie nie znaczno czy to pjana złości, czy śli-
na ustępującego dworużka; słodko drży głos jego, powiesz: on niewinnie urażony gła-
szcze i płacze słowami.

„O! bogdajby w słowach waszych, mości podkanclerzy, tyle było ostrości, ilebym na nią
„zasłużył, gdybym aże musiał czytać ukazy do kochania mego kraju i króla pana! Bog-
„dajby szczera prosta wasza dusza miała choć jeden ból tak gwałtowny, jaki mnie obchodzi,
„gdy z politycznych ślizgań się moich ktoś tak ohydne rzuca na mój człowieczy charakter po-
„twarze! — I oni gardzą, że ktoś po lodzie nierównym postępuje krokiem! I oni skarżą,
„że ktoś wśród burzy na przewrót suknie obleczе! I oni myślą o sobie że politycy! dla

„tego że sami, mając szorstkie nogi, łatwo się z ludem, chcą mówić, z ludem oczepią; a
„nie mając pięknej sukni na sobie, sukni coby się w kronikach Ożarowski, Potockiéj
„pisała, nie dbają, że je błoto zbryzga! — I oni patryoci! bo w czasie maszkary chodzą bez
„masek! — Na co im maski? gdy ich twarze tak obojętne dziejom, narodowi, że ich
„i bez maski nikt nie zna. — Nudny to! nudny, co pstrzą wszędzie! — Ale, miłości-
„wy królu! nudny i lwowi dokuczą!„ — Zdjął łzę z oka, westchnął krótko, jakby się wstydził że
go mogło coś zaboleć i kończył: — „Najjaśniejszy panie! na dzień maszkary dość
„było słów; w dzień czynów bardziej rozwita prawdziwe oblicze. Sądź nas, najła-
„skawszy panie! niech wszyscy sądzą! i waszych przenikliwych oczu niewieścich,
„słodzinkim cedził głosem, — tych pięknych siwych oczu Ożarowski pytać się o sąd
„nie wzbroni, czy hetman nie był kiedy polakiem? czy w dworakowo słynnie zapo-
„mniał się w urzędzie i w radzie? —„ To mówiąc, nagle ku pani Grabowskiéj
się zwrócił.

Zdumiona, zmieszana tak prędkim lisim wybiegiem mówiącego, Grabowska nie
znalazła słów w piersi, oddechu nawet, tém bardziéj gdy wszyscy popatrzyli na nią
gdyż każdego jak ją zdumiał ten wybieg mowcy; gdy sam król nawet, zwiedziony
szczerém niby zaufaniem w sobie hetmana, co do swéj przeciwniczki widocznéj tak
śmiało podniósł pytanie, wziął w końcu milczenie Grabowskiéj za akt przekona-
nia i zachwiał się.

Ożarowski to pojął, i zręczny szermierz krok po kroku bił w zwątlony umysł
królewski. Już teraz i list prymasa był w jego ręku, i z lekka szyderstwem zaczą-
nał krótką przestrogę bratnią, i niby żałował nieboszczyka; ale z owém słówkiem
co to z daleka mówiło do króla o otumanieniu, o biednéj głowie sprawowanéj bo-
lem, co nie tak czysto pojmować mogła: że wreszcie natoczył Stanisława w swą
stronę, zwichnął, zarozumował, zatrzymał, aże w końcu sprawowany król dłu-
giemi namysły: „Róbcie co chcecie!„ zawołał „ja nic nie wiem Mogonie! jam nic
„nie słyszał hetmanie! — Co Ożarowski wie, niech hetman powie! — Co Stanisław
„wie, król nie powie! — Umywam ręce; ale Bóg widzi niewinne! — Róbcie co
„chcecie; ja nic nie wiem i wiedzieć nie chcę!„ (c) — Skłonił się prędko, na
tosze brata szybkie porzucił wejrzenie i wyszedł.

Wychodzili wszyscy. — Tuły tuż za królem, Ożarowski uczepił się do boku jego
i w swym tryumfalnym pochodzie ostatnich dobywał sił wymowy, wyjaśniającéj

jego widzenie rzeczy; za nimi Grabowska poniżana, tłocząca się wraz z Luly, ni try-
umfująca ni tracąca nadzieję, czekająca tylko chwili aby się przysunąć do ucha króla;
nie tak tama w porzucaniu walki, nie tak upadająca za pierwszym ciosem. Za nie-
mi Hugo ruszył sążnistym swym krokiem; czepił go ksiądz Mejer i obaj, patrząc
na ten ogon wlekącego się orszaku króla, uśmiechnęli szyderczo.

„Toż koniec? i takiż koniec, mości podkanclerzy?„ zagabał ksiądz Mejer z cicha.

„Czekaj prałacie, odparł Hugo, to wywołanie! to wyzwanie dopiero! – Dwu-
„racy, my dworackie wywołaliśmy siły; walkę partyi narodu przenieśliśmy w wal-
„kę pokojową dwóch matron. W takich czasach i pod takimi królem, mój kapłanie, ży-
„cie publiczne, obradowe, hałaśliwe, przodków życie, zamieniało się na prywatne,
„potajemne gabinetów intrygi! Przed Augustem Zygmuntem na piotrkowskim sej-
„mie, gdy posłowie nasi poklękli w oba kolana, z prośbą by rzucił dla nich swą
„Basię, nie za prostą oni odmianą połowicy króla ~~ani~~ klęczeli; oni prosili, by
„życia prywatnego nie przenosił nad publiczne życie, by komnatnego głosu mniej
„chciał słuchać jak głosu w narodzie. Nie przemogli, nie uprosili! Szala ko-
„biecego wpływu przegięła się, pomimo całego wspaniałego krzyku Jana z Tęczyna.
„I jabym teraz, jak on w ów czas, wolał lepiej Solimana widzieć na tronie,
„jak dwie kobiety! (d) – Bo Soliman musiałby albo brodę zgolić i żegnać się krzy-
„żem, albo żegnać się z głową. – A teraz, czekajmy końca! – Tym końcem
„będzie jaki wieczór lub ranek, będzie komnatna walka dwóch matron; a szczę-
„ście narodu już ino od wrzeciona faworyt zależy!„

„To jednak dziwne turnieje.„ odparł ksiądz Mejer niespokojnie; „któby ich
„czekał? – My dopełnili swego; godzina mowy przeszła, godzina czynów bije. Je-
„dnego wiecie nasza zabiła!„ i tu wskazał na prymasa; „a drugi ją odebrał i strawił.„

„Strawił, myślisz?„ rzekł podkanclerzy; „Ja myślę że go strawi!„

„Bądź co bądź, bracie, dodał Mejer, godzina czynów bije! a ja już więcej wstrzy-
„mywać nie myślę.„

Tak szepcząc wychodzili z altany zasępieni obaj. – Sam jeden zostałem kończyć
obraz zaczęty; ale myśl moja pobiegła za innym zaczętym obrazem, któremu tłem gra
wielka dworaków, kolorytem dwie miłości, malarzem naród.

Długi przeciąg czasu minął, mój sędzio, między tą sceną wyzwania, jak ją na-
zwał Hugo, a istotną walką, której także, dzięki memu portretowi, świadkiem byłem.

Groźne wypadki nastąpiły po owym świecie objawionych partyi; tajemnica poczęła chodzić z odsłonioną twarzą, a naprzód zdjęli maskę panowie za Czarnowskiego przykładem. Po składzie rzeczy miarkowałem że w zamku tryumfuje Luly; król przybrał rolę nie działającego przez się człowieka. Czy to było skutkiem miękkości jego charakteru, czy wypadkiem głębokiego wyrachowania, aby w każdym razie mógł padać nie związaną niczem ręką przeważającej partyi, trudno odgadnąć malarzowi; historykom Stanisława to zostawmy. Grabowska zamknęła się w letnim swym pałacyku Łazienek, lubo zwykle o téj porze zamieszkała w mieście; w zamku zaś nie widziano jéj od owéj pamiętnéj sceny u prymasa. Niebytność swoją kryła przed ogólnem uważaniem pokrywą ciężkiéj żałoby; co dość zdało się podobnem, ile że każdemu jéj stosunki z księciem tajemnemi nie były. Wreszcie przyszło do tego, na czem Grabowska zakładała wszystko, że Stanisław zatęsknił po niéj. Rana świeżo zadana sercu królewskiemu śmiercią brata, niemiała troskliwéj piastunki w roztrzepanéj Luly; owszem francuzka odganiała od niego to wspomnienie tém więcej, że myśl o bracie zaraz na nowo natrącała Stanisławowi ów bilet, spotkanie, namowy i cały dramat przebytéj walki. Już nieraz król, co rzadko zwykł był czynić, wspominał o chętném porzuceniu zamku o świtającej wiośnie; często przejeżdżał pozłotną karetą Łazienki, nie wstępując w prawdzie ni do swego, ni do Grabowskiéj pałacyku; bo w każdéj przejażdżce usłużna Luly towarzyszyła królowi, i umiała tak nakierować wolą jego, że z tego zachcenia, co tyle mogło dawać nadziei jéj rywalce, urabiała dla niéj coraz większe dokuczenie. Tak każdy objazd Łazienek stawał się hasłem u dworu do ogólnéj przejażdżki, i cały ogon dworskich pojazdów włókł się za Stanisławem i turkotliwym swym biegiem po pod oknami biednéj samotnéj łazienkowskiéj pustelnicy przelatywał z wrzaskiem i wesołością, jakby urągając zapomnianéj. Nieraz i ja wpleciony zaproszeniem którego z szambelanów oblatywałem to ciche schronienie dworaczki, i nieraz zdało mi się widzieć, jak podczas trzasku biczów i kół turkotu perskie firanki w oknach zapuszczone zadrgały ciekawą szarpnięte ręką, i w ich małéj szparze muślinów sine oczy zaklętéj mieszkanki świeciły.

Środa to była. Wieczorem odbieram wezwanie kobiecą ręką kreślone, iżbym z obrazem prymasa, który właśniem co wykończył, jutro rano w pałacu Łazienek się stawił, że takie jest żądanie proszącéj i z wolą króla zgodne; podpis:

Grabowska.

Więc mój obraz, jak ów misterny węzeł gordyjski, zdał się rozwijać nici rozwlekłe intrygowego kłębka. Był to ostatni tydzień przed Wielkanocą; ostatni czwartek, między czwartą godziną rano wpadł do mnie nagle tenże sam posłaniec, co mi wczoraj kartkę wręczył, i zaklinał bym się zabierał do Łazienek, gdyż i król zbudzony, i w rychle dla pilnej sprawy uda się sam do pałacu, gdzie go już pani Grabowska czeka. Jadąc uważałem ruch dość znaczny na Krakowskiém przedmieściu i Święto-Krzyzkiej ulicy mimo porannéj doby.

„Wcześnie już widocznie zaczynali!„ przerwał Bacciarellemu mój dziadek; i w niebieskich jego oczach coś młodzieńczego, wesołego, a razem ognistego błysnęło. —

Przybywam do Łazienek i niezabawem turkot królewskiej karéty zatrzęsł szybami pałacu. W zwierciadlanéj sali w dogodniém miejscu ustawiałem portret prymasa. Król wchodzi, za nim Grabowska z zapłakanémi oczyma, w czarnéj grodeturowéj robie z krótkiemi rękawy po łokcie, a od nich aż do ramienia czarne bryzy koronek kładły się jedna na drugie. Ogon szeleszczącéj długi dworskiéj etykiety czynił jéj kroki poważnémi; zdała się w téj chwili ową smutną kapłanką cieni, którą przy urnach grobowych rzeźbiarz w pół zgiętą zwykle rozrzuca, by płacz wyrolać. Głos Grabowskiéj przybrał owe brzmienie poważne, długo w samotności zostającéj osoby, w któréj słowa nie nawykłe często w usta przychodzić, w chwili bolu lub żalu nabierają tętna organu, co huczy drgającémi usty.

„Królu mój! oto ostatni raz jeszcze twój cię brat wita i ostrzega! — I kiedyż?
„kiedyż Stanisławie, jeśli nie dziś miał ci powiedzieć ostatnie słowa przestrogi? — Wówczas nie chciałeś ich słuchać, gdy się odzywały z małéj piersi twój przyjaciółki i sługi „Anny! — nawet pierś Hugona była za niską, aby strach w królewskich twoich obudzić „myślach! — To więc teraz posłuchaj innego głosu!„ — Stanęła; rękę podniosła ku Warszawie: głos dzwonów, jednego po drugim, co się zrywały jak ptaki; potém głos nieustający pomieszanych wszystkich kościelnych dzwonów, głos gwałtu, dolatywał do nas.

„Ogień?„ zawołał król pobladły.

„To krew!„ odrzekła ciszéj Grabowska, — „Królu! to nasza wielkanoc!„

„Dzwony?„

„To głos miasta które się budzi, może aby nie zasnąć więcéj!„

„Grabowska! co to! co to jest!„ zwołał przestraszony Stanisław i załamał ręce

nad głową, i tak modlące dziecinne rzucił jej wejrzenie że znać, jak mu serce zubożało w męzkości, jak tam mało samoistnego ducha! – Grabowska chwyta za rękę króla, ciągnie ku obrazowi prymasa i głosem mocnym, co już do rozkazu się bierze: „On „przepowiedział, zawoła, on i teraz przyszedł dodać ci odwagi mój królu! – działać! „i działać!"

„Ale jak?" zagabał król wzruszony.

W tém wpada oficer od ułanów królewskich. Kurz na nim i wystrzelony pistolet co na pasku się dygotał, jasno mówiły o jakiémś poruszeniu miasta. Od czapki skłonił czarną rękawicą, podkręcił wąs, sprostował się i zameldował:

„Pułkownik Hajman z regimentu Działyńskiego idzie na pomoc swoim"

Król stał, skrzyżował piękne swe ręce na piersi, popatrzył na oficera i powiódł oczy ku niebu.

„Pośpieszcie z Bogiem!" odpowiedziała Grabowska za króla. Król głową skłonił, oficer brzęknął ostrogą, cwał konia przebrzmiał w dziedzińcu, znowu cicho; ale głos dzwonów jęczy ciągle nad Warszawą.

Straszna to chwila była, mój Jędzio, i dziwna! – Tam z dala krzyki, czasem jakiś strzał doleci; to znowu ruchy jak wozów, jak wołań, jak pogoni. A nas troje, król, Grabowska i ja, samotni prawie w tym letnim pałacu, co jak Wenecja z wody i w wodzie wzrósł; w pół zawieszeni w ruchach, w przestrachu, bez straży, bez owego tłumu dworaków, nawet bez żadnego dworaka; z nikąd wieści, z nikąd pewności! – Szybą popatrzym; to z jednej strony biały kamienny Sobieski skacze spokojnym ruchem po Turku na kamiennym moście, to z drugiej wysepkę widać i na niej teatrzyk ze swemi w pół rozrzuconémi drzewy, taki spokojny, zaciszny, jak czekający dziś aktorów; nigdzie żyjącej istoty, ruchu nigdzie, nigdzie pewności zachowania, nawet ucieczki! – O tak! bo nie wiem jako komu, ale mnie w tej chwili zające chciałoby się wyścignąć!

W tém między drzewami alei wiodącej od miasta jakiś punkt czarny zwrócił naszą uwagę. Nie szedł on prosto ku nam, ale od drzewa ku drzewu skacze, to się ogląda, to pędem leci; przycupnie, znowu ślizga, i coraz bliżej pałacu. Już teraz poznać można i salopkę francuzką czarną, i ów kapturek od niej zarzucony na głowę, i widać małą nóżkę....

Ha, ha, ha! śmieje Grabowska. – Idąca przeszła mostek co w dziedziniec wiedzie.

Grabowska jeszcze głośniej śmiechem zanosi, podbiega w narożne okno, otwiera je, rozpiera się oburącz w boki i śmieje co może z gardła: ha, ha, ha!

Pielgrzymka nasza stanęła chwilę, strząsła się jak przestraszone ptaszę i czém prędzej wlata do sieni pałacu. Była to Luly, biedna uciekająca Luly! — Burza miasta zastała ją pewno na łonie jakiegoś wabnego wieczora; bo atłasowy biały trzewiczek z kokardami, resztki swojej świetności na małych nóżkach dorabia. Zgrabna kamizelka w stanika szamerowana, *juste-au-corps* zwana, ściska jéj zadyszaną pierś; u góry jeszcze jakiś listek robionego kwiatu, co z Francii pocztą przyleciał, zatrzymała szpilka, gdy sam kwiat gdzieś w téj węgrówce rozkołatany odleciał. Zastraszone oczęta, włosy i głowa płowe w pół kapiszonem ścienione, miały ów wabny nieład Pytonistki, kiedy z trójnoga się zrywa przestraszona mocą nawiedzającego ją boga. Przybieżała ku nam, padła na pierwsze podane krzesło i, małemi nóżkami tupocąc o marmurową posadzkę z zimna i ze złości, złożyła jak ku modlitwie ręce i obróciwszy się do Króla: „Uciekajmy!
„uciekajmy!„ wołała.

„Dokąd?„ ironicznie pyta Grabowska.

„Wszędzie, byle nie tam, mój Królu! — Tam śmierć brudna, ohydna rzeźnicze
„ku mnie wyciągała dłonie! — Tam dzwony gonią złowieszczym krzykiem! — Jam
„uciekać musiała! ja Luly! piechotą, ważna dworska Króla, z karety wyrzucona,
„wyśmiana, a jakieś pyzate, wąsate twarze ważyły się mnie grozić, wyolec!
„I nie śmiej pani! oni orężem grozili, oni przy mnie szukali Króla! pijane ich
„ręce szukały w okół mnie, złota pewno; to rozboje! — Rzuciłam im łańcuch we-
„necki, wraz łańcuch drogi mój Królu, podarowany mi w dniach szczęścia. Ośle-
„pione ich oczy nie poznały złota, odrzucili w błoto, w błoto zadeptali piękny mój
„łańcuch wenecki; oni nie łańcucha szukali, oni was szukali! — Wynieśli mnie na
„swych błotnistych rękach i w głąb się karéty zaryli z krzykiem: Król! gdzie Król!
„w ów czas porzucona na środku ulicy podbiegłam chyżo, uciekałam; — uciekłam,
„Bóg wie gdzie? — tu, do Łazienek chciałam się skryć, uciekać, byle wiec, byle dzwo-
„nów nie słyszeć, byle krwi nie widzieć! bo tam i krew płynie, a wszystko
„Króla wołają!„

To opowiadanie przerywane łkaniem szczególne na Stanisławie sprawiło wrażenie. „Szukają mnie? szukają?„ wołał, „dobrze! Bacciarelli! każże nawrócić karécie!„

„Królu! co chcesz czynić?„ zawołały obie rywalki.

„Pojechać do nich, w miasto! na cóż mnie darmo szukać mają? na cóż zwlekać? – Abož
„tutaj nie znajdą?„

„Uciekaj królu!„ wołała Luly.

„Lepiej im ponieść głowę, jakby ją sami wziąść mieli!„

„Kto? oni?„ przerwie Grabowska, „oni tej głowy upatrują jak słońca, nie żeby ją
„chmurzyć przestrachem, ale jak słońce, by im świeciła pogodą! – Czarne wam myśli,
„monarcho, zostawić dla biednej Luli, co zwalała błotem nowe swe atłasowe trzewiczki„

„I któż mi ręczy że oni nie chcą mej zguby?„

„Kto, miłościwy panie? – Podkanclerzy Hugo!„

„Hugo?„ – wtórzył król z cicha i długo, jakby na tém imieniu chciał zakładać
jakąś nadzieję.

A Luly zawodząc z płaczu: – „O! wyście to rozdmuchali ten ogień, Anno! bo
„wam do miary każdy krok, chociażby o czyje życie chodziło! Burza co na tej ko-
„ronowanej głowie zawisła, was przestąpi, nie nadepcze, boście za małe na jej ob-
„jęcia, boście za trwożliwe by w czasie wybuchu pozostać. Podpalić i uciec, spalić
„i śmiać się potém, ha! na to was stać jeszcze! – Ale oburącz szamotać się z bu-
„rzą jak ja szamotałam; gadać ze śmiercią, widzieć twarze oprawców, leżeć w ich
„ręku, i tylko słyszyć, i tylko czuć, i tylko boleć nad losem kochanka, o którego do-
„pytywały się ich wszystkie głosy, o! to nie dano Annie!„

„Droga Luly! tobie tak groźne każde głośniejsze stąpienie! tobie tak straszne każde
„dzwonu bicie! tyś się musiała zmęczyć, o Luly, słysząc tyle uderzeń dzwonów tam
„na górze! Biedne wylęknione dziecię, mój królu, jakby się co z rąk niańki wyrwa-
„ło, jakby je co zestraszyło z rąk niańki! – Oni ci nie dali dokończyć wieczora i
„stumanili wąsatémi twarzami oczęta przywykłe w koło siebie widzieć samą do-
„rodną młodzież!„ To mówiąc pochyliła się nad nią i, jakby matka potulająca
przestraszoną córę, lekko ku piersiom swoim zwróciła jej jasną główkę.

Poznała żart Luly; a odrzucając się z uścisku Grabowskiej: „O moja pa-
„ni! rzekła, jeżeli o strachy chodzi, nie umiem ich wywoływać, ale im stawić
„czoło, jak francuzka. U nas między życiem pałacu a ulicy większy jest przedział,
„jak w naszem polskiem wychowaniu; w francuskich dworach raz ino ręka gmi-
„nu dotyka dworskich dam szyi, i to jedna ręka kata! – W tedy wiemy co to są
„wszystkie słowa i ręka; ale po niéj już dworaczka przestaje być dworaczką i kobietą!

„U nas uśmiechy i słowa nazwyczajone do ucha salonów nie umieją zagadać do gminnej gawiedzi; nie umieją jak my wyciągać im rękę do pocałunku, rękę jeszcze ciepłą od pałacowych uścisków. Piękne niebo Francii my znamy albo przez szyby zamków naszych, albo w przejażdżkach uciechy, na których lud jak wodne fale łaska się w około naszych pojazdów, aby nam przypatrzyć z niska, i jak woda przepłynąć w oczach. Czy on żyje, my nie pytamy o to; że żyje z nas, to wiemy i każemy mu dla nas robić karety, stroje, umiatać drogi, ulice; sadzić ogrody i drzewa, aby było komu zapłacić, aby zarobił na siebie i pokrzyczał nam: „Vivat!" — My raz ino kochamy; ale w on czas z objęć koronowanego kochanka wiemy tylko jedną drogę: do krat zakonnych, i jak de la Vallière cierpieć umiemy. My raz tylko chodzim po piasku; ale wtedy idzie się krokiem Maryi Stuart do pnia czarnego, kędy błyszczy topór!"

„Pieszczone dziecię salonu!, jakże twe drobne nóżki musiały wiele cierpieć od błota ulic Warszawskich!"

„Znały mnie tylko obuwie, moje paryzkie trzewiki; ucierpiałam strojem, nie sercem."

„Uciekałam! uciekałam, powiedz Luly! boć przecie my to sami widzieli i samaś rzekła, żeś uciekała z przestrachu?

„A wybyście nie uciekali, Anno?"

„Grabowska nie miałaby czego uciekać."

„Ha, prawda! możeby ją szewc własny, albo krawiec znajomy wybawił?"

„Mnieby moje imie zbawiło."

„Które? czy faworyty?"

„Imie kasztelanowej krakowskiej! Imie stare rodowe i godność stara we własnym kraju!"

„I popularność Hugona wspólniczki?"

„Prędzej, jak Ozarowskiego kochanki."

„Czyjej? — kto? —" i zerwała się Luly.

„Twoje i ty!" odpowiedziała Grabowska, całem okiem mierząc biedną rywalkę.

„I to w obec was, najjaśniejszy panie! przy boku tego kędym się myślała już wolna od przebytych złorzeczeń, gdy nowa podwarz pośmiechem pada okrutnie na moje zranione serce! — Nikt nie pożali, nikt nie odeprze, nikt się nie ujmie!"

„Zaczem? — Za waszą niewinnością może?"

„Przynajmniej niechby mnie to niewiasta zadawała!"

„Albo cierpiąca, albo zastraszona równie jak wy? – Ha, ha, ha! biedna dziecino! za-
„wszeby tryumfowaćbyś chciała, a to nie codzień niedziela! – Nie codzień można po pod okna-
„mi biednej samotnicy w Łazienkach przelatać powozistym pojazdem! – Nie codzień można
„urągać jéj smutkowi turkotem kół, biczów świstem! – Nie codzień Anna zamknięta w za-
„lu! Nie codzień można jeździć w karétach, czasem po błotnych ulicach Polski trza prze-
„lecieć w salonowéj sukni, jak migająca mieszczka! – O! boś ty Lady Marlboży życie
„chciała przewlec na dworze polski jak stroik mody, i uczuć, jak ubioru, nie zważać
„na gościnnéj zmienić ziemi! – A u nas jeszcze nie cała Francia!„

„U nas niewiasta bardziej przykuta do ziemi jak do nieba! My przez kościół nie pokazujemy dro-
„gi kochankom do komnaty naszej; (c.) ale my pierwej o kościołach jak o kochanku myślimy. A je-
„żeli co ukochamy, to nie naszém salonowém zajęciem osadzamy to przy sobie, aby nam się
„uśmiechało, podawało ramiona, bawiło! – My o naszym miłośniku matczynem turbujemy
„się sercem, w miłość jak kwiat poglądamy; ale nam na względzie i łąka na któréj ten kwiat
„wschodzi, Łące téj, téj ojczyźnie naszego kwiatu życzymy tak dobrze i wiernie, że na nię
„burzę czy pogodę zgadniemy, przeczujem, zaklniem; bo chmura co nad nią wisi, ma grad
„lub grom dla kwiatu naszego. – Dla tego my polskie niewiasty częściej depcemy piasek
„ziemi naszéj; znamy ją nie okiem pałaców, trącamy ją nie tylko kołami karoc na-
„szych, ale piersią znamy i, gdy się ona zapieni, zaburzy, my nie uciekamy jak dziecko
„w atłasowych białych trzewikach, gnani grubym głosem motłochu; my silniejsze od was!
„w postoł myśli i ręce zespolim z podnoszącym się ludem! i tam gdzie wy głowy, my
„ledwo rękę podamy! – I przeleci burza nie tknąwszy nas ni mieczem kata, ni
„dęsem słów uszczypliwych. A jeśli przemokniemy łzami, to w zaciszy lekko nata
„kara kochanki osuchnie przekonaniem, żeśmy jak polki cierpiały!„ —

„Ale jak francuzki kochać nie umiały! – O pani moja! miłość wasza to żarty
„przeciw naszéj miłości; to wieśniak z pod Czerniakowa chcący się bratać z nasze-
„go Bouflera pasterzami! – Gdzież u was to zajęcie się wyłączne lubym przedmio-
„tem, żeby się aż o świecie zapomniało? – Gdzież to zajęcie lubego aby on o wszy-
„stkiém zapomniał prócz nas, prócz téj alkowy, prócz téj sofy co go wiąże przy nas?
„W miłości wy nie myślicie o sobie, i chwalisz się tém Anno? – Biedna pochwała!
„Więc jakże chcecie aby kochać mieli, co wy nie kochacie? – aby im było to drogiém co
„wam i na myśli nie było? — My kochając, kochamy siebie, szalejemy za sobą;
„godzina lustra, toalety, jest milsza dla nas, wabniejsza może jak godzina schadzki

„z kochankiem; bo my przy nich, przy lustrach toczymy z nieobecnym tysiączne, różnolite
„rozmowy, a na każdą dobieramy coraz nowych odpowiedzi, coraz nowych poruszeń i
„rzutów, w którychby samo nasze ciało mówiło drżąc, i probujemy jak [illegible], tych
„ruchów wdzięczących się sobie, aby ich potém kochać„

I Luly jakby przypominała sobie owe lekcie, dawane jéj przez miłość [illegible],
odrzuciła kapiszon z głowy, uśmiechnęła się do lustra co na przeciw błyszczy, krótką
salopkę ściąga na nogi aby błoto pokryć i, jak mistrz zasiada do gry umizgów. — Ma-
łe swe czoło wyprostowała ze zmarszczków, płowe włosy zgładziła na czole, kilka kędzio-
rów co za daleko w tył zabiegły, nawołała w przód szyi i, śmiejnym, chichocząc gło-
sem tak bawi zdziwioną Annę.

„Oto wzór dla was! oto godzina toalety! — Posłuchaj pani przed odjazdem moim, —
„bo ja tu nie myślę bawić, a dobrze że więcej jedno doświadczenie ci przybędzie, więcej
„jedna umiejętność podobania się ludziom, — ty z ludźmi zostaniesz, tobie tak ludzie
„potrzebni, i różni ludzie! a mnie dość jeden! —„ To mówiąc rzuciła wszystkie jasne
na króla wejrzenie i kończy dalej swoje umizgi przed źwierciadłem.

Zbladłą twarz małą pociera rączką, wnet rumieniec trysnął; ona do niego uśmiechowe swo-
je w całus urabia usta i, rzucając go w powietrze: — „Tak go — mówi — całować będę gdy mi
„o miłości zacznie prawić; perłowe ząbki z lekka przysłonię wargami, pocieszę twarz
„jego całusem, ale z lekka: ot tak — w powietrze tylko, ledwo dotknę, potém odrzucę głowę
„nieznacznie, żałując niby. Ten rzut tak dobry jakby wahanie, jakby pół gniewu żem tak
„długo czekała. — On spojrzy; to ja zmrużam oczy by do łzy, poruszę piersią by do westchnie-
„nia, i dam mu chwilę wypytywania bojaźni, i nawrócę mu myśli ku smutnym obrazom
„rozłączenia, cierpienia. — O! bom cierpiała! Rywalka moja miała go dopiero w swych uściskach,
„szczęśliwy i wesoły powrócił od niéj; gdy go wesoło, szczęśliwie przyjmę, to o mnie jak o
„dalszym ciągu jéj pieszczot myśleć będzie; pobawi, ale się nie zmieni; jéj, jéj kochankąbym
„piastowała! — On pyta, błaga, płacze!.. Podnoszę oczy, zwolna, ot tak; w szklanném oku
„drży mi łza, ale jeszcze nie pełna, nie z rozczulenia, jest-to jakby dawna łza poczęta jego
„niewidzeniem, w oczekiwaniu na niego; sama nie płaczę, bo źwierciadło mówi że mi z tém
„nie dobrze. Więc lepiej gorzki uśmiech rzucić, ale tak luby, żeby go nie rozdrażnił i
„nadał chęć całowania mi ust, — ha! patrzcie! czy nie piękny ten uśmiech zaczęty jakby się roz-
„śmiać, a z wolna prostujący się w twarzy, nie kończący się, zaniechany?* i znów łza ta sama,
„przystygła, nie spadnięta, nie otarta. — On się zaklina! on się szamoce, on przysięga że mnie

* i znów oczy spuszczone.

„ nie zapomina, nie zapomniał! — Pomnę rękę po czole, zatrzymam drobne me palce, powoli czoło na
„ rękę, rękę na jego spieram ramieniu, w pół zgiętą kibicią niby mu się zwierzam, a jednak lekko
„ ciężę mu tylko. To ciężar ciała które zdaje się kłaść, ale drży by nie trafiło na twardy kamień,
„ którym się boi zranić lub ukłuć! — I tak, w pół zgięta, ja słucham jego głosu i bicia serca,
„ i ciepłe powietrze mych ust spragnionych, patrzcie! jak dyszę, jak go oblewa! — On się poi
„ moim oddechem, on się tak zgina ku mej kibici, by ją uścisnąć w ramionach. — Ale
„ mi mówi moje zwierciadło, że mi tak pięknie w płacznej postaci; więc ja się kłonię,
„ więc ja tak, płaczę! — Kto wie? może ja naprawdę płaczę!!! — Bo to jest męka drżeć tak
„ o niego, bo to okropnie kochać nie samą; bo to okropnie nie mieć prócz niego nic a nic
„ więcej na świecie! — Słuchajcie dobrze! Pustą dziewczynę on skochał, sercem polubił i
„ jej powiedział za pierwsze słowo: „Ty będziesz moją na zawsze!“ — I uwierzyła pusta
„ dziewczyna; ciepłe swe niebo, piękne salony, zabawy świetne, wszystko rzuciła dla
„ niego i tu zjechała, gdzie jej nikt z ludzi znajomem okiem nie wita; lecz ona o to
„ ani pytała, bo w nim świat cały, matkę i braci i swe uciechy i swe zabawy zgubiła.
„ Jakże nie płakać, na co udawać! chyba udawać można wesołość? — Ale niebodze co
„ w nim ma wszystko, gdy jej to wszystko ktoś poniewiera, jakże nie płakać, po-
„ wiedzcie! — Pogonię za nim i pierzo za nim w błocie i płaczu, w trwodze i w ża-
„ lu biedna ma sierota goniła! A on, ni przyjął, ni mnie przycisnął, ani dał poznać
„ że kocha! —

I zmilkła Luly, prawdziwie płacze! — August co dotąd stał niewzruszony, co
się z początku jej przysłuchiwał, niby dorywczo i bez uwagi, zerwał się teraz mło-
dzieńczym skokiem, podbiegł aż do niej, a Luly, — Luly płacząc rzuca mu się w ra-
miona.

Zdrętwiała Grabowska! — W jej oczach rywalka w objęciach króla; w jej oczach
król ściska przeciwniczkę, całuje, pieści! — i świadek, ja świadek stałem jak wszys-
ty w tej sali!

Pocieszona i spieszczona podnosi z wolna głowę z królewskiego ramienia, a obra-
cając głos do Grabowskiej: — „A tajemnica takiej potęgi, — rzekła jej na pół z uśmie-
„ chem — oto jest: kochać tak jak francuzka; goniąc kochanka choćby po błocie, choćby
„ w objęciach rywalki i z nim uciekać, nie prawda królu? choćby od świata korony.
„ Uciekać? uciekać? — O Panie! to nie myśl wasza! to tej szalonej głowy! — W dzie-
„ jach twego domu nie ma u królów takiej myśli! — Daruj mi panie! Przebacz mi

króla! – Ale krew hańby… „

„Krew Henryka Walezego! – odparł Stanisław poważnie, – Ja w nim hańby nie widzę.”

„Uciekać! opuścić! – woła Grabowska – Czyście wy o tém myśleli? – Nie chodzi o mnie, ja u was mało; alež tron niechaj zaważy!”

„Oni cię na nim zabiją!” szepce Luly.

„Oni cię gonić będą!” woła Grabowska.

„Uciekniem chyżo!”

„Dogonią!”

„Ja cię ocalę! ja cię ukryję, przebiorę, ukryję!”

„Nie ocalisz! nie uwierzesz! – Ja wydam…”

„Kogo? – Jego? króla kochanka wydasz? – Ha, ha! Polka! chce króla wydać! ha, ha! – Kochanka chce śmierci lubego? – Piękna miłość, piękna cnota kochanki Polki!”

W tém z poza muru gruby głos nieznajomego przerwał śmiejącej Luly. – Postrzegliśmy do okna i głupowata, dobrze nam wszystkim znajoma postać Jacusia, publicznego trefnisia Warszawy, uderzyła każdego w oczy! – (f.) Tałował się pod oknem, musiał tam nocować niepostrzeżony, gdyż w tej chwili tuląc się mocno w łachmanisty swój płaszcz, podskakiwał całą siłą do góry bijąc hołubca dla rozgrzania, i śpiewał sobie jak zwykle własnym krojem krakowiaki, któremi tak obrzucił Warszawę. Głos jego śpiew warjacki, podpity, miał coś strasznego w sobie i dziwnego.

1.

Oj, hulajcie dzieci! bo hula babula!
Oj, hulaj Jacusiu! bo Warszawa hula!

2.

Tam Dzwoneczki dzwonią, tam dzwoni i hula;
A Jaś się śmieje, bo Warszawa hula!

3.

Oj, ja tam pójdę, nie znają mnie za króla!
Jaś się nie boi gdy Warszawa hula!

4.

Na kamiennym moście patrzcie na dziadula!
To król polski, to Sobieski na Turczynie hula!

5.

I ja też w tej dobie jak królątko zrobię!
Skarz Sobieski, króla lepszy i ty Jaciu robię!

6.

Oj, hulajcie dzieci, bo hula babula!
Oj, hulaj Jaciu, bo Warszawa hula!

7.

U mojego króla Grabina i Lula!
A dla Jacka święto płacka, gdy Warszawa hula!

I ku Warszawie krzyżował ręce, to znowu w podskoku ku ziemi się czai, jakby był pokłonem do okien Łazienek; pierś mu coraz mocniej dyszy; z ust rozegrzanych skokiem, para dymem się wali; a on wciąż się kręci, wciąż kłania ku królewskiemu oknu, i słychać już tylko z zasapanych piersi czasem, nieznacznie:

.... hula! ...... babula!
..........bo Warszawa hula!

Dziwny ten obraz pijackiego tańca i ten śpiew Jacusia był jakby pożegnaniem miasta, przeniesionem królowi do Łazienek przez posłannika, trefnisia ludu. Łachmany skaczące w takt dzwonków, śpiew dyszący całą głupowatością i ironią mazurską, pijana wódki i pijana szału co mówią o hulce miasta, drygotanie członków z zimna i wpychanie się w łachmany co mówią o nędzy; wszystko to stanęło w oczy Stanisława, żegnając go językiem prawdy i szczeroty. – Nic nie brakło, nawet poezji którą tak król lubował; ale tą razą z ust Jacusia nie sadzonym Naruszewiczowskim lała się rymem.

Gorzko się zamyślał Poniatowski, nad przeszłością pewno! bo wciągnięte rysy jego oblicza i ten wzrok zamglony, co jakby sięgał w głąb duszy, nie o przyszłość się kłopocą! – Wszystko mu znikło z pamięci! – Jeden Jacuś ciągle tańczy, śpiewa i tupa! – Jedna przeszłość królowi się wije, śpiewa o nim i tupa na niego.

A Luli szwarzy Grabowska: „O patrzaj, to ich trefniś! może go do ciebie wysłali pani kasztelanowo! – W toalecie poseł i z dobrą miną! – On śpiewa, dowcipkuje; może go podkanclerzy zdworaczył? – Możeście go nuty uczyli w waszym pastelniczym domku? – Gra i muzyka cudowna!"

„Jak na pożegnanie, stosowna! – odgryza Anna – i przy tryumfalnej uciesze wa-

széj w miejscu trąb i kotłów, niechaj wam służy jego piosenka!” —

A w téj chwili, jakby zmówiony Jacuś znów głośniej śpiewa:

O! ja tam pulcę, wezmą mnie za króla!

Jacuś się nie boi, gdy Warszawa hula! — Ucina, staje, głowę obrócił ku alejom, rozśmiał się i wskazał palcem. —

A tam z daleka widać tłum jakiś, jak czarna plama między dwoma rzędami topoli, wałęsający się by woda się sunie. — To oni! — Czołem widać kilkunastu konno, lecz i ci trzymają się tłumu nie goniąc przodem.

Luly skrzykła, porwała króla za rękę, wybiegła z nim w przedsień: „Kareta! kareta!” woła, wskazuje trzymając ciągle rękę Stanisława i ciągnie za sobą.

Czy dojrzeli ruch i osobę króla idący od miasta, czy też w istocie pochód ich ciągle był tak prędkim, ale my o nim z dala sądzić dobrze nie mogli, dość, że król nie wspiął drugiej nogi w stopień karety założyć, gdy wrzask i tętent koni wyrwały się razem z tłumu i jednym skokiem otoczono karetę. Zemdlała Luly; król najspokojniej zwrócił się do drzwi pałacu i z otaczającym go tłumem wszedł do sali. W tłumie Grabowska gdy zoczyła podkanclerza, nie wraca już do pałacu, ale czém prędzej siada do karety obok zemdlonéj, drzwiczki zamyka i na woźnicę woła: „Spiesznie do Czerniakowa!”

Po półgodzinnej jeździe Luly przychodzi do siebie, trzęsiona powozem budzi się, przeciera oczy, patrzy obok i pyta: „Gdzież jestem?”

„W karecie.”

„Gdzie król? — Któż tutaj?”

„Ja!” odpowiada Grabowska.

„Ty Anno? — Boże! co zamyślasz?” i chwyta ją gwałtownie za ręce.

„Nic, durno! — Chciałaś się przejechać, jechałyśmy; teraz wrócić możemy, już po przejeździe.”

Dano rozkaz; wracają do Łazienek, już tam króla nie było. — Jadą na zamek; na zamku jak dawniej, cicho, spokojnie; tylko w Krakowskiem przedmieściu i święto-krzyzkiéj ulicy konie musiały z wolna przechodzić; bo tłum był wielki, a w niektórych miejscach obie damy słoniły twarz chustką, bo błoto było bardzo czerwone.

Przypiski.

a.) Mowa tu o porwaniu Stanisława przez konfederatów, i o scenie w marymonckim młynie, kędy Kuźma miał być wybawcą Króla.

b.) Domysły i szczegóły nagłej śmierci prymasa opowiadam historycznie i wiernie.

c.) Własne słowa królewskie, kiedy doń przyszły władze niejakie z oświadczeniem: że Igelstrom ino Królowi chce się poddać.

d.) Jan z Tęczyna dał się słyszeć (: jak mówi Orzechowski :) „iż wolałby Solimana widzieć na tronie „polskim niż Barbarę."

e.) Któraś dworska zapytana od Ludwika 14go kędy wchód do jéj altany: „Droga do niéj, N. Panie, odrzekła — przez kościół."

f.) Warszawa miała w on czas trefnisia swego; siadał on najczęściej w bramie Saskiego ogrodu i zaczepiany, dowcipnemi odśpiewywał krakowiaki. Podobno zwał się Janiś, jednak za historyczność nazwy nie ręczę. Za mojéj pamięci również przedmiotem ciekawości i żartów niejakich był cio; pół-warjat, mający niekiedy przy karykaturycznéj mimice i chwile pociesznych żarcików.

Koniec.